To przed pińską opatrz drogą
Wóz twój dobrze w potrzeb wszelką;
Bo w pustynię wiedziesz wielką,
W ziemię dżdżystą i ubogą
Wincenty Pol, „Pieśń o ziemi naszej"

„ECHA POLESIA"
Kwartalnik Zjednoczenia Społecznego „Związek Polaków na Białorusi"

Założyciel:
ODDZIAŁ BRZESKI ZS „Związek Polaków na Białorusi"

Adres Redakcji:
Brześć, 224023
ul. Moskiewska 344 – 56

Redaktor naczelny:
Alina Jaroszewicz

e-mail:
poczta@echapolesia.pl
klub_polski@wp.pl
Tel. w Brześciu:
00-375-162/42-45-72

Numer ukazał się przy współudziale Senatu RP, Fundacji „Pomoc Polakom na Wschodzie" i Fundacji Pomocy Szkołom Polskim na Wschodzie im. Tadeusza Goniewicza oraz Ofiarodawców.

Adres korespondencyjny:
Fundacja
im. T. Goniewicza
20-611 Lublin
ul. Kazim. Wielk. 9/60
Tel. (81) 747-6163
e-mail: fundgon@neostrada.pl

Foto na okładce:
str. I – Monitor „Kraków" – archiwum
str. II – N. Melcarek
str. IV – L. Potonia

Skład i łamanie:
Juliusz Król

SPIS TREŚCI

Władysław Anders
– polski „żołnierz niezłomny"

Dnia 13 marca 2007 r. w Senacie RP zaingurowano Rok Generała Władysława Andersa, ogłoszony uchwałą Senatu RP z dnia 20.XII.2006 r. pod honorowym patronatem prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego. Aktami państwowymi przywrócono Wł. Andersowi wszystkie należne prawa i honory, zaś 11.XI.1995 r. pośmiertnie odznaczono Generała Orderem Orła Białego. Senator Piotr Ł. Andrzejewski, przewodniczący Komitetu Organizacyjnego, zwrócił uwagę, że uchwała Senatu w sprawie ustanowienia roku 2007 Rokiem Generała Władysława Andersa jest także oddaniem czci jego żołnierzom, których wyprowadził z „imperium zła" i wiódł zwycięskim szlakiem do Ojczyzny przez Monte Cassino i Bolonię, którym ojcował do końca swoich dni na wychodźstwie.



Generał Władysław Anders (1892-1970) to w historii Polski postać na poły symboliczna, a na poły tragiczna. Zawodowy oficer Wojska Polskiego, uczestnik wojny obronnej, jaką Polska samotnie toczyła we wrześniu 1939 r., później więzień Łubianki, następnie dowódca polskiej armii, formowanej od lipca 1941 r. w ZSRR z więźniów wyciąganych z łagrów i zsyłek, a wreszcie dowódca II Korpusu Polskiego we Włoszech (rozsławionego zwycięską bitwą pod Monte Cassino). Po zakończeniu działań wojennych w 1945 r. nie mógł powrócić do swojego kraju, o którego wolność walczył na tak wielu frontach II wojny światowej. Za swojego życia nie doczekał się nawet oficjalnego uznania w Ojczyźnie. Odwrotnie – zwalczany przez komunistyczną propagandę jako skazany na banicję zdrajca, został pozbawiony obywatelstwa polskiego, a jego postać i zasługi próbowano wymazać ze zbiorowej świadomości historycznej. Dopiero w wolnej Polsce jego postaci przywrócono należną rangę. Senat RP w związku ze 115 rocznicą urodzin Generała ogłosił rok 2007 – „Rokiem Generała Władysława Andersa".

Życie Władysława Andersa „od zawsze" związane było z wojskiem. Urodzony jeszcze w czasach zaborów, karierę wojskową rozpoczynał w armii rosyjskiej. W pierwszej wojnie światowej, dowodząc szwadronem dragonów, został trzykrotne ranny. Od 1917 r. służył już w w utworzonym w Rosji I Korpusie Polskim, dowodzonym przez gen. Józefa Dowbór-Muśnickiego. Kiedy na odradzające się od 1918 r. młode państwo polskie uderzyła Armia Czerwona (wojna polsko-bolszewicka 1920 r.), dowodził 15 Pułkiem Ułanów Poznańskich. Zasłynął tym, że nierzadko osobiście prowadził swoich żołnierzy do ataku. Za wykazane bohaterstwo został nagrodzony jednym z najwyższych polskich odznaczeń wojennych – Orderem Virtuti Militari V klasy i czterokrotnie Krzyżem Walecznych.

Wielkie umiejętności wojskowe okazały się jego znakomitą „przepustką do historii" również po tzw. zamachu majowym Józefa Piłsudskiego w 1926 r. W czasie przewrotu Anders opowiedział się po stronie rządowej i do końca opowiadał się za prowadzeniem walk przeciwko J. Piłsudskiemu. Sukces odniesiony przez zamachowców i obalenie rządu Wincentego Witosa oznaczało dla wszystkich dowódców, lojalnych wobec rządu, zmarginalizowanie, a nawet odejście z wojska. Talent i umiejętności dowódcze W. Andersa, dostrzeżone przez Marszałka J. Piłsudskiego, spowodowały jednak, że nie tylko pozostał on w armii, ale powierzono mu dowództwo 2. Brygady Jazdy. Awansowany w 1934 r. na stopień generała brygady, trzy lata później objął dowództwo Nowogródzkiej Brygady Kawalerii, która stacjonowała m.in. w Baranowiczach. Po raz kolejny swoimi nieprzeciętnymi umiejętnościami dowódczymi wykazał się już w czasie obrony Polski we

wrześniu 1939 r. Kiedy na czele swej brygady kawalerii osłaniał odwrót Armii „Modlin" przed atakiem niemieckim, został ciężko ranny, ale nie opuścił swoich żołnierzy. Pomimo ciągłych ataków Luftwaffe i napierających formacji pancernych, potrafił zręcznie wydobyć wojsko z matni i doprowadzić je do Warszawy. Atak sowiecki 17 września 1939 r. zastał Andersa na Lubelszczyźnie. Podjął wówczas próbę dotarcia do granicy rumuńskiej lub węgierskiej, lawirując pomiędzy nacierającymi wojskami sowieckimi i niemieckimi. Wprawdzie jego oddziałom udało się przebić przez linie niemieckie, jednak już pod Lwowem zostali zaatakowani przez Armię Czerwoną. Wywiązały się ciężkie walki, w rezultacie których Anders został ponownie ciężko ranny i 29 września dostał się w ręce sowieckie. Grupa Andersa była jedną z ostatnich tak długo walczących formacji bojowych Wojska Polskiego. Cywilne władze polskie oraz ci żołnierze, którym po przegranej kampanii, udało się dotrzeć przez południowe granice na Zachód, utworzyli najpierw we Francji, a potem w Anglii legalny polski rząd na działający na uchodźstwie i odtworzyli Wojsko Polskie. To właśnie wojsko kontynuowało walkę o wolność Polski.

Wraz z aresztowaniem zaczął się najbardziej tragiczny, ale i heroiczny rozdział życia generała. Przetrzymywany krótko w więzieniu na Brygidach we Lwowie, został następnie przewieziony do więzienia NKWD na Łubiance w Moskwie. Tylko twardemu charakterowi zawdzięczał, że udało mu się przetrwać brutalne przesłuchania, głód i ciężkie warunki w celi. Z beznadziejnej sytuacji ocalił go wybuch wojny niemiecko-sowieckiej oraz zawarcie w dniu 30 lipca 1941 r. polsko-sowieckiego układu wojskowego. Na mocy porozumienia podpisanego przez premiera polskiego rządu na uchodźstwie, gen. Władysława Sikorskiego oraz ambasadora sowieckiego w Londynie, Iwana Majskiego, w ZSRR miała zostać utworzona Armia Polska. Na jej czele stanął zwolniony z więzienia Władysław Anders. Sytuacja, w jakiej znalazł się Związek Sowiecki po ataku niemieckim w czerwcu 1941 r. i gwałtowne parcie wojsk niemieckich na wschód, spowodowało, że ZSRR potrzebował jak najwięcej sojuszników do walki z III Rzeszą. Z tej też przyczyny korzystna dla Stalina wydawała się wówczas koncepcja wsparcia tej walki przez polskie oddziały, stworzone z dawnych obywateli państwa polskiego, wywiezionych w głąb Rosji po 17 września 1939 r. Układ przynosił, wprawdzie na upokarzających warunkach „amnestii", wolność tysiącom Polaków zwalnianym z łagrów i zesłania, by stać się bazą dla nowo formowanej armii. Mimo licznych utrudnień, jakie wkrótce zaczęła stosować strona sowiecka wobec obywateli RP, by ograniczyć napływ ludzi do tego wojska, do Buzułuku, gdzie ulokowało się dowództwo na czele z Andersem i gdzie znajdował się ośrodek formowani armii, zaczęli napływać masowo Polacy. Z tej masy schorowanych, wygłodzonych rodaków wkrótce też generał stworzył regularną armię. Kiedy napływ chętnych do polskiego wojska przekroczył przewidywane przez Związek Sowiecki ramy, a sytuacja na froncie wschodnim zaczęła się stabilizować i nie przybierać już ram klęski, władze sowieckie coraz mniej chętnym okiem patrzyły na rozbudowywana armię polską, stosując coraz to nowe utrudnienia w jej formowaniu. Kiedy po raz kolejny zmniejszone zostały racje żywnościowe przeznaczone dla wojska i cywilów, co groziło śmiercią głodową tysięcy ludzi, nie wywiązano się z kolejnych obietnic dostaw uzbrojenia, po porozumieniu się z polskim rządem emigracyjnym, idąc także za radą Brytyjczyków, gen. Anders zadecydował o ewakuacji (częściowej, a potem całkowitej) wojska na Bliski Wschód. Dzięki temu z „imperium zła" zdołał wyprowadzić ponad 115 tysięcy ludzi – dzieci, kobiet i żołnierzy.

Na Bliskim Wschodzie rozpoczął się nowy etap w dziejach ocalonej armii, przekształconej w 1942 r. w Armię Polską na Wschodzie, a w 1943 r. – w II Korpus Polski. Po odzyskaniu sił polscy żołnierze byli intensywnie przygotowywani w Iraku i Palestynie do przyszłych walk. Wkrótce przyszło im przejść niezwykle ostrą próbę bojową, jaka okazała się bitwa o wzgórze Monte Cassino we Włoszech, otwierające wojskom alianckim drogę do wyzwolenia Rzymu. II Korpus Polski pod dowództwem Andersa, który toczył walki o to wzgórze w okresie 12 – 18 maja 1943 r., został skierowany w to miejsce po nieskutecznych atakach aliantów począwszy od 15 lutego tego roku (przeprowadzanych m.in. przez Brytyjczyków, oddziały francuskie, korpus amerykański, a nawet korpus nowozelandzki, wsławiony w walkach w Afryce, a składający się z dywizji nowozelandzkiej i hinduskiej).

O Monte Cassino jako twierdzy nie do zdobycia, mówili wówczas sami Niemcy w swych komunikatach wojennych. Anders, walcząc o wzgórze, które wcześniej daremnie szturmowali sojusznicy, chciał okryć sławą polskie sztandary bojowe i dobrze przysłużyć się polskiej sprawie. Niemcy, znakomicie uzbrojeni i ufortyfikowani na wzgórzu, nie wytrzymali kilkudniowych, niezwykle ciężkich walk z polskim przeciwnikiem. Odniesione zwycięstwo i zdobycie wzgórza oraz znajdującego się na nim klasztoru (ruin), polscy żołnierze okupili olbrzymią daniną krwi. Straty były wysokie: zabitych 72 oficerów oraz 788 podoficerów i szeregowych, rannych 204 oficerów oraz 2618 podoficerów i szeregowych. W rozkazie wydanym 18 maja 1943 r. generał Anders, dziękował za ten wspaniały wysiłek swoim żołnierzom: "{…} *Wyrażam moje najwyższe uznanie żołnierzom wszystkim stopni za ich bohaterstwo i niestrudzony wysiłek w tym boju ku chwale Ojczyzny"*. W uznaniu za wykazaną waleczność polskiego wojska i doskonałe dowodzenie, gen. Anders otrzymał od króla Jerzego VI wysokie brytyjskie odznaczenie – Order Łaźni. Jednocześnie w uznaniu niezwykłego bohaterstwa polskiego, dowództwo alianckie zgodziło się na utworzenie na wzgórzu Monte Cassino cmentarza wojskowego dla poległych żołnierzy, znanego i dziś dobrze wszystkim tym, którzy interesują się historią II wojny światowej.

Dzieje II Korpusu to nie tylko bitwa pod Monte Cassino, ale kolejne walki, które wiodły przez Ankonę, linię Gotów i zakończyły się zdobyciem Bolonii. Pod koniec wojny gen. Anders pełnił obowiązki Naczelnego Wodza w zastępstwie przybywającego w niewoli niemieckiej gen. Tadeusza Bór-Komorowskiego (dowódcy powstania warszawskiego w 1944 r.). Po zakończeniu wojny i powstaniu tzw. Polski ludowej, w której władze przejęli komuniści, okazało się, że generał nie może wrócić do swego kraju. Władze komunistycznej Polski widziały w jego osobie ogromne zagrożenie z uwagi na autorytet, jaki wiązał się z jego osobą oraz nieprzejednaną postawę wobec ZSRR. Konsekwentnie zatem budowały czarną legendę Andersa, oskarżając go o najcięższe zbrodnie, w tym o zdradę własnego kraju. Kwestionowano zasadność prowadzonej przez Polaków walki u boku aliantów, twierdząc, że jedynie słuszną drogą do Polski był szlak bojowy u boku Armii Radzieckiej (po wyjściu z ZSRR oddziałów Andersa, inny polski wojskowy – płk Z. Berling, związany już ściśle z sowiecką władzą i polskimi komunistami, z pozostałych jeszcze polskich łagierników, którzy nie zdążyli dostać się do armii Andersa, utworzył w 1943 r. oddziały, znane później jako Ludowe Wojsko Polskie, a które u boku wojsk sowieckich odbyło szlak bojowy od Lenino do Berlina).

Wygnańczy los Generała podzieliło wówczas wielu jego żołnierzy, którym również zamknięto drogę powrotu do Ojczyzny. Do nich przede wszystkim, wiecznych tułaczy, którzy ze swych domów na byłych Kresach zostali wywiezieni w głąb Rosji, wyrwani następnie z łagrów syberyjskich i poprzez Bliski Wschód i walki we Włoszech, wracali – jak im się wydawało – do swego kraju, gen. Anders skierował swoje słynne słowa podczas ceremonii rozwiązania Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie w lipcu 1947 r. w Londynie: *„Nie wiem kiedy, ale czuję i wierzę głęboko, że składane tu dziś nasze sztandary wrócą do Polski w pełni glorii, na nową chwalebną służbę Nieśmiertelnej Ojczyzny"*. Sam tego nie doczekał. Kiedy zmarł w 1970 r., zgodnie ze swoim życzeniem został pochowany na polskim cmentarzu wojennym pod Monte Cassino, gdzie leży wraz ze swoimi żołnierzami „na wiecznej warcie".

Generał pozostawił zapis swoich wspomnień pod symbolicznym tytułem „Bez ostatniego rozdziału. Wspomnienia z lat 1939-1946". Kończąc pracę nad tą książką, napisał: *„Dla innych sprzymierzonych wojna kończyła się wówczas zwycięstwem. Dla Polski nie. Żyjemy teraz oczekiwaniem ostatniego rozdziału… Czekamy i … wierzymy"*. Generał nie doczekał wolności, ale jego wiara okazała się prorocza i nowe pokolenia Polaków, wyrosłe w cieniu jego legendy i na wzorach wielu innych polskich patriotów, dopisały ostatni rozdział tej książki. Wspomniana na wstępie Uchwała Senatu RP w sprawie ustanowienia Roku Generała Andersa jest specjalnym rodzajem hołdu polskiego społeczeństwa dla Niego i całego pokolenia walczącego o Polskę Niepodległą, za niezłomność przekonań i niezachwiana wiarę w wolną Polskę. Dziś, pod w pełni rozwiniętymi sztandarami mogą spokojnie wracać do swej Ojczyzny, pewni, że pamięć o nich, będzie utrwalona i przekazana potomnym.

***Elżbieta Książek**, Brześć*

JEST TAKA SZKOŁA

W dniach 14-15 kwietnia 2007 r. Społeczna Szkoła Polska im. T. Rejtana w Baranowiczach obchodziła radosny jubileusz XX-lecia swego istnienia. Pierwotne losy lokalowe szkoły były zmienne, obecnie szkoła od kilkunastu lat mieści się w Domu Polskim w Baranowiczach przy ulicy Caruka 43. Założycielem i dyrektorem SSP jest Elżbieta Dołęga-Wrzosek, która z pasją godną naśladowania zjednuje dla szkoły przyjaciół nie tylko w Baranowiczach, lecz w całej Polsce. Mimo przeszkód, zniechęcenia, czy wątpliwości pani Elżbieta swoim dynamicznym działaniem, optymizmem, a nawet charyzmą potrafi u wszystkich współpracujących wyzwalać zapał do pracy i kolejne pomysły w edukacji i wychowaniu młodych Polaków.

Wytrwała praca pedagogów z Baranowicz oraz z Polski przyniosła wielorakie efekty dla integrującego się polskiego środowiska w Baranowiczach. Przez szkołę przewinęło się 1328 uczniów, z których 249 uzyskało świadectwo ukończenia SSP; 107 kandydatów dostało się na studia do Polski. Uczniowie szkoły mogą się poszczycić wieloma sukcesami w olimpiadach literatury i języka polskiego, konkursach czy festiwalach. Obok szkoły działało lub nadal pracuje szereg zespołów artystycznych, jak np. „Pierwiosnek", chór „Dlaczego", zespół teatralny „Szalone", zespół „Słoneczka" i inne.

Społeczna Szkoła Polska w Baranowiczach kładzie nacisk nie tylko na nauczanie języka polskiego, ale na poznawanie kultury narodowej zarówno w aspekcie historycznym jak i współczesnym. Szkoła uczy tolerancji, dialogu, otwartości wobec innych narodowości, religii i kultur, co nie jest bez znaczenia w białoruskiej rzeczywistości. Szkoła stała się instytucją prestiżową dla środowiska polskiego w Baranowiczach, pozwalającą na integrację, umacnianie więzi, swoich tradycji i obyczajów. W ten sposób szkoła w Baranowiczach stała się ostoją polskości i przykładem pozytywistycznego działania.

A oto kilka wypowiedzi absolwentów SSP:
„Kiedy miałam 9 lat przyszłam do SSP, żeby


Pierwsze występy, rok 1995



Założycielka i dyrektorka Szkoły Elżbieta Dołęga-Wrzosek

nauczyć się języka moich przodków. Z czasem miejsce to stało się dla mnie czymś więcej niż tylko szkołą. Dziś jest pomostem pomiędzy mną, a krajem moich przodków. Co mi się tu podobało? Przede wszystkim atmosfera, zawsze uśmiechnięci nauczyciele i uczniowie, możliwość rozwijania i szlifowania własnych talentów w różnych kółkach zainteresowań, a także nauka poprzez liczne konkursy, które stały się dla uczniów tradycją”.


„Pierwiosnek” wraz z zespołem „Polonez”. Melbourne, lipiec 1999 r.

Irena Lesun

„Pamiętam doskonale karteczkę, a na niej wypisane wielkimi literami słowa: „W Domu Polskim mówimy po polsku”. Tak. Dlatego, że ten Doim i SSP są cząstką Polski; są Polską dla Polaków, którzy mieszkają na Białorusi; są Polską, do której zawsze mogę przyjść, kiedy jestem w Baranowiczach, i do której tęsknię, będąc w Mińsku. Opuściłam mury SSP nie tak dawno, rok temu, ale zatęskniłam od razu. Obecnie studiuję w Mińsku. Brakuje mi tam SSP, którą wiele lat utożsamiałam z Polską”.

Aleksandra Zaparowana

„SSP stała się dla mnie z czasem czymś więcej niż miejscem lekcji języka polskiego. Był to zupełnie inny świat, gdzie poznawałam nie tylko swój własny język, a również tradycje i historię mojego narodu. Tam inaczej spojrzałam na rzeczywistość, w której żyłam, i na dzieje historyczne, których mnie uczono w szkole. Usłyszałam prawdę o Katyniu. Dowiedziałam się, że podboje Rosji w XVIII wieku wcale nie były tak wspaniałe, bo skrzywdziły moją Ojczyznę, a Napoleon wcale nie był taki zły, bo przecież dał wolność (przynajmniej częściową) mojej Polsce.”

Irena Zawadko-Kobiak

Oprac. ***redakcyjne***

Foto: ***J. Adamski***


Widok budynku Domu Polskiego w Baranowiczach, w którym mieści się SSP

Z Polesia pod niemiecką granicę

Z prawdziwym wzruszeniem dowiedziałam się o tym, że w imieniu redakcji „Echa Polesia" będę uczestniczyć w Pierwszym Krajowym Zjeździe Byłych Mieszkańców Polesia i Ich Potomków w Białkowie 18-19 maja 2007 r. Wiedziałam od początku, że tam na odzyskane ziemie na Zachodzie zostało przesiedlonych około 4 mln Polaków z Kresów Wschodnich. Jak potoczyły się ich losy? Czy pamiętają jeszcze swoje tradycje? Czy tęsknią za swoją Ojczyzną? Jacy oni – po 62 latach po wyjeździe? Jakie będzie nasze spotkanie?

Droga do Białkowa była obsadzona wielkimi kwitnącymi akacjami. Powietrze pachniało miodem. Przyjechaliśmy tam wieczorem i od razu poczuliśmy się wśród dobrych przyjaciół. Pierwszy przywitał nas ksiądz Zbigniew Dymitruk, który był jednym z organizatorów tego zjazdu. On zaprowadził nas do izby pamięci – pokoju na plebanii, gdzie znajduje się to wszystko, co jest tak miłe i drogie dla serca ludzi, którzy nie mogli zbyt wiele zabrać ze sobą z ojczystego kraju, opuszczając swoje rodzinne gniazdo z obawy przed wywózką do Kazachstanu. Tu są narzędzia do pracy w polu, w domu, na podwórku, krosna i nawet kołyska dla niemowlęcia. Stoi tu również garnek z szarą poleską ziemią, która została przywieziona przez Poleszuków.

Nowi mieszkańcy Białkowa wyznawali dewizę: przykupiwszy soli i zapałek można żyć, bo reszta była robiona ręcznie: i płótno na bieliznę, i samodziały „na garnitury", tzn. męskie ubrania, i narzędzia do pracy. Niejeden tutejszy mężczyzna garbował skóry, robił buty i szył baranie kożuchy. Tak było na Polesiu, tak jeszcze jakiś czas pozostawało i w Białkowie (byłym niemieckim Belku), do którego przyjechały liczne polskie rodziny w noc Wszystkich Świętych 1945 roku z poleskich wsi Petelewo i Koszelewo pod Berezą Kartuską i zajęli puste domy po Niemcach. Były to przeważnie rodziny Weryszków, Radkiewiczów i Kondarewiczów. Dlatego w tej wsi niemal każdy teraz jest krewnym innych mieszkańców, bo po sześćdziesięciu latach linie rodowe się przemieszały. Na ulicy często słychać: „Cześć, dziadek", „Cześć, ciociu"!

Młodzież Białkowa wyróżnia się przede wszystkim swoim staraniem w nauczaniu i pędem do nauki, a również uczciwością. Wyszła z Białkowa liczna inteligencja – profesor politechniki, docenci, doktorzy, lekarze, księża, doktor teologii, wysocy oficerowie, leśniczy, inżynierowie, wielu nauczycieli. To dzięki im i przede wszystkim byłemu dyrektorowi szkoły w Białkowie Józefowi Radkiewiczowi każdy mieszkaniec wsi pamięta pierwszych przesiedleńców: Ludwika Weryszkę, Jana Makuchę,





Uroczystości kościelne w Białkowie

Piotra Bereckiego, którzy wzięli ze sobą z Polesia szaty i ornaty, obrazy, żeby na nowym miejscu pielęgnować swoje tradycje religijne.

Pośrodku wsi stoi stary kościół z nową plebanią, gdzie przybywa oazowa młodzież. Tu, w Białkowie, w roku 1979 została utworzona parafia Św. Andrzeja Boboli, patrona kościoła katolickiego na Polesiu, 350. rocznicę męczeńskiej śmierci którego obchodzono w dniu 16 maja 2007 r. Symbolicznym staje się fakt, że w tym miejscu i pod ścianami tego kościoła odbyła się ta wielka impreza, gdzie po uroczystej Mszy świętej ożyło dawne Polesie. Każda rodzina ma w swoim domu poleskie stroje, niemal każdy mieszkaniec pragnie uczestniczyć w chórze parafialnym. W trakcie tego występu poczułam siebie jak w zwykłej poleskiej wsi na Białorusi, tak podobnie brzmiały te pieśni, które słyszałam, a kobiety z Białkowa wyglądały jak Białorusinki na modnych teraz „dożynkach".

A jednak rzeczywistość jest inna. Prawda jest taka, że to Polesie, które zobaczyłam w Polsce pod niemiecką granicą, zostało tylko w duchowej kulturze tych przesiedlonych Poleszuków i trwa w ich opowieściach. Po odwiedzinach rodzinnych miejsc przebywają w szoku ci, co jeszcze pamiętają, jak wyglądało Polesie wcześniej, bo po osuszeniu moczarów, wyprostowaniu rzek zmieniły się krajobrazy, pouciekały ptaki, już nie rosną akacje, czeremcha i wrzosy, włoski orzech o ciemnych liściach.

Na nocleg zabrała mnie Pani Janina Radkiewicz z domu Weryszko – matka czworga dorosłych dzieci, żona leśniczego. Obaj jej synowie po ukończeniu technikum leśnego pracują zawodowo, córki studiują w Zielonej Górze. Razem mieszka i teściowa – pani Regina – prawdziwy dobry anioł tej rodziny, łagodna i zawsze uśmiechnięta. Dom, w którym nocowałam, jest duży. Ma dwa wyjścia, piwnicę. Kuchnia wielka, kafelki nad kuchenką zachowały się jeszcze z niemieckich czasów z napisem: „Deszcz niesie dobro". Pod stołem zawsze znajduje się któryś z dwóch psów. Łazienka po remoncie – przytulna i luksusowa. Gospodyni prowadziła mnie po gospodarstwie domowym, gdzie zapoznałam się jeszcze z młodym dzikiem, który wyrósł nie w lesie, a tutaj. Bardzo duża stodoła, gdzie można rozmieścić jakąkolwiek wytwórnię. Gospodarz domu pan Aleksander – leśniczy, gabinet jego mieści się w domu. Wyposażenie gabinetu świadczy o tym, że gospodarz jest myśliwym, jak i jego syn podleśniczy. Mieści się tu wielka ilość rogów jeleni różnych wymiarów.



Fragment ekspozycji izby pamięci



Mieszkanki Białkowa

Życie tej wielopokoleniowej rodziny jest ułożone, spokojne. Pani Janina cieszy się na wsi opinią człowieka, który może doradzić w trudnej sprawie czy pomóc w napisaniu dokumentów. Jak każda gospodyni, pani Janina uczestniczyła w przygotowywaniu Pierwszego Krajowego Zjazdu Poleszuków, gotowała tradycyjne potrawy dla gości, a potem śpiewała w zespole ludowe piosenki w pięknym poleskim stroju. Robiła to przede wszystkim dla siebie i swoich dzieci, żeby pamięć o przeszłości trwała, żeby przez nowe spotkania miłośników Polesia założyć wspólną troskę o pielęgnacji tych tradycji kulturowych, które przez całe życie niosła ze sobą. Pomyślałam w pierwszy wieczór: źle jest, że wyjechali, nam ich brakuje. Rozmyślałam sobie przed odjazdem: dobrze że wyjechali, bo są szczęśliwi...

Anna Paniszewa, *Brześć*

Fundacja Jana Pawła II

Idąc w mieście Lublinie ulicą Lubomelską za parą starszych ludzi będących zapewne małżeństwem, usłyszałem prowadzoną przez nich rozmowę.

– Co jest w tym dużym, czerwonym budynku? – zapytała kobieta

– Widzisz moja droga, – odpowiedział mężczyzna – tu jest napisane „Dom Fundacji Jana Pawła Drugiego"

– A co to takiego – dociekała starsza pani – jakiś klasztor?

– Chyba coś w tym rodzaju – odpowiedział pan i oboje przyśpieszyli kroku.

Tak się złożyło, iż wtedy nie dogoniłem tych państwa, ażeby im wyjaśnić, czym zajmuje się Fundacja Jana Pawła II. Mam jednak nadzieję, że dotrze do nich ten numer „Echa Polesia" i przeczytają w nim o historii i działalności Fundacji. Prócz tego, jeśli ktoś z Szanownych Czytelników spotka się z pytaniami na ten temat, a może to będą właśnie ci sami Państwo, bardzo proszę wyjaśnić im cel Fundacji.

Fundacja ta, została utworzona przez Ojca Świętego Jana Pawła II specjalnym dekretem wydanym w 1981 roku i stała się żywym pomnikiem pontyfikatu tego niezwykłego Polaka.

Powstanie Fundacji rozpoczęło się od otwarcia w Rzymie Domu Polskiego noszącego Imię Papieża Polaka, mającego służyć za schronienie dla licznych polskich pielgrzymów. Podczas uroczystości wręczania kluczy do niego, Ojciec Święty oświadczył, że Dom ten powinien być „punktem spotkania z kulturami i tradycjami, z różnymi historiami w obrębie jednej wielkiej kultury, która jest kulturą chrześcijańską, tradycją chrześcijańską, historią Kościoła, a także historią ludzkości".

Przed tą nowopowstałą instytucją, Ojciec Święty postawił następujące cele: troska o zachowanie i rozwój dziedzictwa polskiej kultury chrześcijańskiej, pogłębianie tradycyjnych więzi między Stolicą Apostolską i narodem polskim, oraz umacnianie więzów między narodami słowiańskimi poprzez badanie, promowanie z zbliżanie ich kultur. Fundacja winna także realizować bardziej szczegółowe cele: gromadzenie dokumentacji i rozpowszechnianie nauczania Jana Pawła II, służenie pomocą Polakom z kraju i zagranicy przybywającym do Rzymu, przybliżanie Rodakom przebywającym na emigracji kultury, historii i sytuacji współczesnej Polski, formowanie duchowe i intelektualne młodzieży z krajów postkomunistycznych, udzielanie młodzieży polskiego pochodzenia z Europy Środkowo-Wschodniej pomocy finansowej, zapewniający jej intelektualny rozwój na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim.

Zadania Fundacji, wpisane są w jej zasadniczą misję; misję ewangelizacyjną. Fundacja, bowiem jako instytucja kościelna tkwi w Kościele i realizuje jego podstawowe zadanie głoszenia Ewangelii.

W Lublinie, mieście styku dwóch kultur, Wschodu i Zachodu, zalążkiem Fundacji od 1990 roku była inicjatywa ks. dr Mariana Radwana ówczesnego dyrektora Polskiego Instytutu Kultury Chrześcijańskiej, opieka wychowawcza i finansowe wsparcie młodzieży pochodzącej z terenu wówczas jeszcze Związku Radzieckiego, która przyjechała studiować na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Najbardziej obleganymi kierunkami studiów przez tych studentów, jest teologia i psychologia.

Ta wspaniała inicjatywa księdza Radwana, już w 1993 roku przeobraziła się w samodzielną jednostkę Fundacji w postaci okazałego Domu Fundacji Jana Pawła II. Spośród studiujących obecnie na KUL-u 149 stypendystów z Białorusi, Ukrainy, Rosji, Kazachstanu, Litwy, Łotwy, Mołdawii i Turkmenistanu, w Domu Fundacji mieszka ich stu. Mieszkają tam również studenci z Polski, co stypendystom zza wschodniej granicy ułatwia adaptację do nowych warunków, naukę polskiego języka, oraz nawiązywanie znajomości i przyjaźni w nowym środowisku.

Natomiast stypendystki, dziewczęta pochodzące z wymienionych wyżej Krajów mieszkają w domu akademickim KUL-u, prowadzonym przez siostry Urszulanki. Planuje się budowę drugiego Domu Fundacji dla stypendystek, który ma powstać w sąsiedztwie już istniejącego. Cały ten zespół studiujących na KUL-u młodych kobiet i mężczyzn tworzy nierozerwalną, pełną wzajemnego szacunku i przyjaźni wspólnotę.

To lubelskie dzieło Fundacji, jest urzeczywistnieniem słów Ojca Świętego Jana Pawła II, które zostały wypowiedziane 3-go czerwca 1979 roku w Gnieźnie na Wzgórzu Lecha. Wtedy z ust Papieża – Słowianina padły następujące słowa:

– Nie możemy nie słyszeć obok języka naszych praojców, także innych języków słowiańskich i pobratymczych. (...) Nie może zwłaszcza nie słyszeć

tych języków pierwszy w dziejach Kościoła Papież – Słowianin. Chyba na to wybrał go Chrystus, chyba na to prowadził go Duch Święty, żeby do wielkiej wspólnoty Kościoła wniósł szczególne zrozumienie tych wszystkich słów i języków, które wciąż jeszcze brzmią obco, daleko, dla ucha nawykłego do dźwięków romańskich, germańskich, anglosaskich, celtyckich. (...)

– Czyż Chrystus tego nie chce, czy Duch Święty tego nie rozsądza, żeby ten Papież, który nosi w swojej duszy szczególnie wyrazisty zapis dziejów własnego narodu od samego jego początku, ale i dziejów pobratymczych, sąsiednich ludów i narodów, na sposób szczególny nie ujawnił i nie potwierdził w naszej epoce ich obecności w Kościele? Ich szczególnego wkładu w dzieje chrześcijaństwa.

Fundacja Jana Pawła II wsłuchuje się w to wołanie Chrystusa Pana, stara się być posłuszna Duchowi Świętemu i pragnie uczestniczyć w tym posłannictwie Papieża – Polaka, Papieża – Słowianina. Jednocześnie Fundacja wpisuje się w piękne dzieło kształcenia inteligencji dla Kościoła w wielu krajach leżących na wschód od Polski.

Fundacja spełnia bardzo ważną rolę w wychowaniu białoruskiej młodzieży na prawdziwych chrześcijan, poprzez co miesięczne spotkania w Domu Fundacji Jana Pawła II. Spotkania te, poprzez ewangeliczne wartości formują własną osobowość młodych ludzi, uczą głębiej i ostrzej odczuwać więź z ojczystą ziemią, przekazują wiedzę o sławnych ludziach Białorusi i jej zabytkach. Kształtując i rozwijając tymi metodami poczucie białoruskiej tożsamości, rodzą w nich narodową wspólnotę. Tam też młodzież uczy się białoruskiego języka, bo w jej Kraju taka możliwość często nie istnieje. Ci młodzi ludzie uczą się tam również białoruskiej historii, kultury, oraz piosenek.

Wielu stałych uczestników tych spotkań ma ogromną satysfakcję z uczestniczenia w nich. Mówią, że nieraz na różnych międzynarodowych spotkaniach proszeni są o zaśpiewanie piosenki białoruskiej, a oni niestety znają tylko rosyjskie, ukraińskie i czasami polskie.

Na spotkaniach tych, stypendyści mają możliwość słuchania gry na niezwykle rzadko spotykanym u nas instrumencie, cymbałach. Koncertuje na nich studentka pierwszego roku muzykologii Helena Barszczewska, grając utwory klasyki białoruskiej, polskiej i innych krajów świata.

W tych spotkaniach o tak szerokim zakresie programowym, uczestniczą poza Białorusinami także stypendyści z pozostałych krajów objętych Fundacją Jana Pawła II. Uczestnikami ich bywają również zwykli studenci KUL-u i pozostałych lubelskich uczelni. Oprócz studentów, częstymi gośćmi są również bracia Marianie i Kapucyni, którzy przygotowują się w Lublinie do posługi kapłańskiej.

Tak zróżnicowane osobowo spotkania są okazją do rozmów przy herbacie na przeróżne tematy, wzbogacaniem się wymianą zainteresowań i prowadzeniem rozmów nieraz na tak poważne tematy, iż odnosi się wrażenie, jakby przebywało się w klubie intelektualistów.

Pieczę nad tymi spotkaniami sprawują młodzi księża z Białorusi, będący studentami KUL-u. Wśród nich najbardziej angażuje się w tę działalność ksiądz Andrzej Ryłka, teolog i filozof, organizator białoruskich spotkań w Domu Fundacji Jana Pawła II, od dwóch lat. Jego szczery uśmiech stał się wizytówką białoruskich spotkań, a ich uczestnicy darzą księdza Andrzeja szczególnym zaufaniem i szacunkiem.

Ostatnie w tym roku akademickim takie spotkanie odbyło się w maju i było poświęcone kulturowej spuściźnie ziemi brzeskiej. Spotkanie rozpoczęło się od tradycyjnej Mszy świętej odprawionej w języku białoruskim, która dla białoruskiego zakonnego księdza kapucyna O. Henryka Kuczyńskiego była mszą prymicyjną. Następnie po wspólnej modlitwie, zgromadzeni spotkali się przy herbacie w sali leżącej naprzeciwko kaplicy. W spotkaniu tym uczestniczyła młodzież poleska nie tylko studiująca na KUL-u, ale i na pozostałych lubelskich uczelniach.

Spotkanie to wypadło znakomicie, gdyż jego uczestnicy przygotowali się do niego starannie. Oprócz multimedialnej prezentacji zabytków Obwodu brzeskiego, były recytowane wiersze poleskich poetek Eugenii Janiszczyc i Luby Tarasiuk, oraz śpiewano autentyczne poleskie piosenki. Przedstawiony został także fragment komedii W. Dunina – Marcinkiewicza pt. „Pińska szlachta". Poza częścią spotkania o charakterze artystycznym, studenci zaprezentowali również sylwetki znanych postaci związanych z Polesiem takich jak Tadeusz Kościuszko, Napoleon Orda, Eugenia Janiszczyc i inni. Jednak najbardziej emocjonalnie, zgromadzeni przyjęli historię męczeńskiej śmierci „apostoła Polesia" św. Andrzeja Boboli.

Pragniemy, aby spotkania tego rodzaju odbywały się jak najczęściej, a całemu dziełu Fundacji Jana Pawła II błogosławił dobry, wszechmogący Pan Bóg.

Wiktor Szukiełowicz, *Żuprany*

Korekta: B.M.

Represje Polaków w latach 1935-37

Narody ZSRS w latach 30. XX wieku padły ofiarą wielkiego ateistycznego terroru, tragedii kolektywizacji rolnictwa i straszliwego głodu. Spośród nacji, które najdotkliwiej ucierpiały w wyniku komunistycznych prześladowań, Polacy jako naród zostali pierwsi ukarani przez władzę sowiecką. To ciągle mało znany rozdział polskiej martyrologii. Co wyróżniało sytuację Polaków na tle innych narodów zamieszkujących w latach międzywojennych Rosję Sowiecką i ZSRS?

W odróżnieniu od innych państw, w których mieszkały skupiska polskie, w ZSRS w międzywojniu rząd instrumentalnie i konsekwentnie regulował stosunki z Polakami. Zawsze kreował te stosunki tak, aby odpowiadały jego interesom. Wciśnięto je w ramy ideologiczne i polityczne oraz podporządkowano celom partii bolszewickiej.

W okresie międzywojennym Związek Sowiecki posiadał w swych granicach najliczniejsze w Europie skupisko Polaków poza granicami Polski – według moich własnych obliczeń prawie 1 mln 200 tys. osób (dane oficjalne z 1929 r. – 783 tys.). W latach dwudziestych i pierwszej połowie lat trzydziestych w ZSRS urzeczywistniono koncepcję polskiej autonomii narodowej w oparciu o ludność katolicką, zamieszkałą w zwartych skupiskach przede wszystkim na Białorusi i prawobrzeżnej Ukrainie. Utworzono dwa dość sporych rozmiarów rejony autonomiczne: imienia J. Marchlewskiego na Ukrainie i imienia F. Dzierżyńskiego na Białorusi. Popularnie nazywano je Marchlewszczyzną i Dzierżyńszczyzną. We wszystkich partyjnych i państwowych instytucjach tych rejonów (z milicją i sądem włącznie) wprowadzono język polski jako urzędowy.

Powstały liczne polskie szkoły sowieckie, dwie uczelnie wyższe (Miński Polski Instytut Pedagogiczny oraz Kijowski Instytut Wychowania Społecznego), a także kilka polskojęzycznych wydziałów na uczelniach Moskwy, Leningradu, Białorusi i Ukrainy.

Najdalej idące eksperymenty w dziedzinie sowietyzacji władze komunistyczne przeprowadzały na katolickiej ludności Białorusi sowieckiej. Istnienie prawie 400-tysięcznej polskiej mniejszości narodowej miało być w rękach Moskwy ważnym atutem dla Międzynarodówki komunistycznej w celu destabilizacji wewnątrzpolitycznej sytuacji w II Rzeczypospolitej. W 1932 roku utworzono na Białorusi polski autonomiczny rejon narodowościowy, Dzierżyńszczyznę sowiecką (43 tys. ludności), jak również wszędzie, gdzie to było tylko możliwe, powoływano polskie wiejskie rady narodowościowe. Z przyczyn ideologicznych całą katolicką mniejszość Białorusi uważano za Polaków. Otwarto 138 szkół polskich, 3 polskie sądy rejonowe, 2 polskie teatry, 18 klubów polskich. Skala przeprowadzenia tego eksperymentu była tak szeroka, że ponad 40 proc. dzieci uczących się w szkołach polskich było narodowości niepolskiej.

Celem tej polityki było zademonstrowanie sąsiedniej Polsce i jej narodowi, jak „demokratycznie i sprawiedliwie" jest rozwiązywana polska kwestia narodowa w ZSRS. Jednak w późniejszym okresie podobne wydzielenie Polaków ułatwiło masowe represje wobec nich.



Polskie rejony narodowościowe w ZSRS w latach 1925-36 (na podst. książki Mikołaja Iwanowa „Pierwszy naród ukarany. Polacy w Związku Radzieckim 1921-1939")

Polacy w zamierzeniu Stalina mieli ulec ideologicznej metamorfozie, przekształcając się mentalnie w tzw. ludzi sowieckich. Jak na tle innych narodowości wypadał procentowy opór Polaków przeciwko nowemu sowieckiemu porządkowi?

– Sowiecki eksperyment polski nie zdał egzaminu w latach 1931-33, kiedy Polacy-Kresowiacy stawili masowy opór wobec kolektywizacji. Władze sowieckie przekonały się, że pomimo wyraźnego uprzywilejowania Polaków w hierarchii narodów sowieckich polska ludność kresowa zachowała głębokie przekonania katolickie i bogate tradycje walki o zachowanie polskości. Jej zdecydowana większość żywiła sympatię i lojalność wobec II Rzeczypospolitej.

Właśnie dlatego w latach 1935-39 Polaków dotknął masowy terror, niespotykany nawet w porównaniu z tragicznymi doświadczeniami innych narodów ówczesnego ZSRS. Polacy byli pierwszą tak znaczącą liczebnie grupą ludnościową represjonowaną ze względu na przynależność narodową, a nie klasową. Po raz pierwszy w Związku Sowieckim zastosowano masowe represje „według krwi", jak to określił w swoim „Archipelagu Gułag" Aleksander Sołżenicyn. Właśnie dlatego Polacy-Kresowiacy stali się pierwszym narodem ukaranym.

Tragiczne pierwszeństwo Polaków (później, jak wiadomo, do grupy ukaranych narodów dołączyli Koreańczycy z Dalekiego Wschodu, Tatarzy krymscy, Niemcy nadwołżańscy, Czeczeńcy, Ingusze, Kałmucy i inni) miało konkretne uzasadnienie. Po pierwsze, załamał się proces „sowietyzacji" Polaków, a po drugie – zdaniem sowieckich przywódców, państwo polskie okresu międzywojennego było pod względem strategicznym i militarnym jedynym państwem (mającym wspólną granicę ze Związkiem Sowieckim) mogącym „zagrozić" ZSRS. Według stalinowskiego scenariusza, żadne z pozostałych państw sąsiadujących po prostu nie nadawało się na rolę potencjalnego agresora, „awangardy imperializmu światowego" w przyszłej „nieuniknionej" wojnie ze światem kapitalistycznym. Po trzecie – Stalin świadomie eskalował psychozę polskiego zagrożenia wojennego, gdyż było mu potrzebne jako straszak uzasadniający rozpętywanie kolejnych fal terroru. Dochodziły do tego jeszcze jego osobiste uprzedzenia wobec Polaków oraz antypolskie nastroje w społeczeństwie sowieckim.

Niszczenie polskości w okresie międzywojennym było kolejnym etapem konsekwentnego odpolonizowania dalszych Kresów. Kontynuacją procesu, który m.in. przejawił się w latach 1831-63, kiedy to władze carskie w odpowiedzi na Powstanie Listopadowe zastosowały bardzo skuteczną taktykę „deklasacji" szlachty polskiej. Jak stwierdza Daniel Beauvois, „ta niezwykła konsekwentna akcja caratu przekształciła 4/5 Polaków na Ukrainie w niewolników". Stalinowskie represje międzywojnia miały doprowadzić do ostatecznego odpolszczenia Kresów i przeobrażenia tak licznych niegdyś i zajmujących tak ważne miejsce w życiu Narodu Polskiego Polaków-Kresowiaków w kategorię historyczną.

Dzieje Polaków pod zaborami i w Związku Sowieckim to ponad 200-letni niekończący się ciąg prześladowań, mający wykorzenić ich polskość i zasymilować z miejscową ludnością.

Jak miał wyglądać – w zamierzeniu sowieckich władz – model skutecznie zsowietyzowanego Polaka?

– Mówiący po polsku obywatel sowiecki, patriota ZSRS, przesiąknięty wrogością wobec ojczyzny historycznej – oto idealny produkt eksperymentu polskiego. Zakładano, że w toku „budownictwa socjalistycznego na odcinku polskim" poczucie internacjonalizmu proletariackiego i sowieckiego patriotyzmu, wyrażane w narodowo-polskich formach, całkowicie wyprze wewnętrzną lojalność w stosunku do Polski. „Nasza ojczyzna tu, a nie tam" – pisał Feliks Kon.

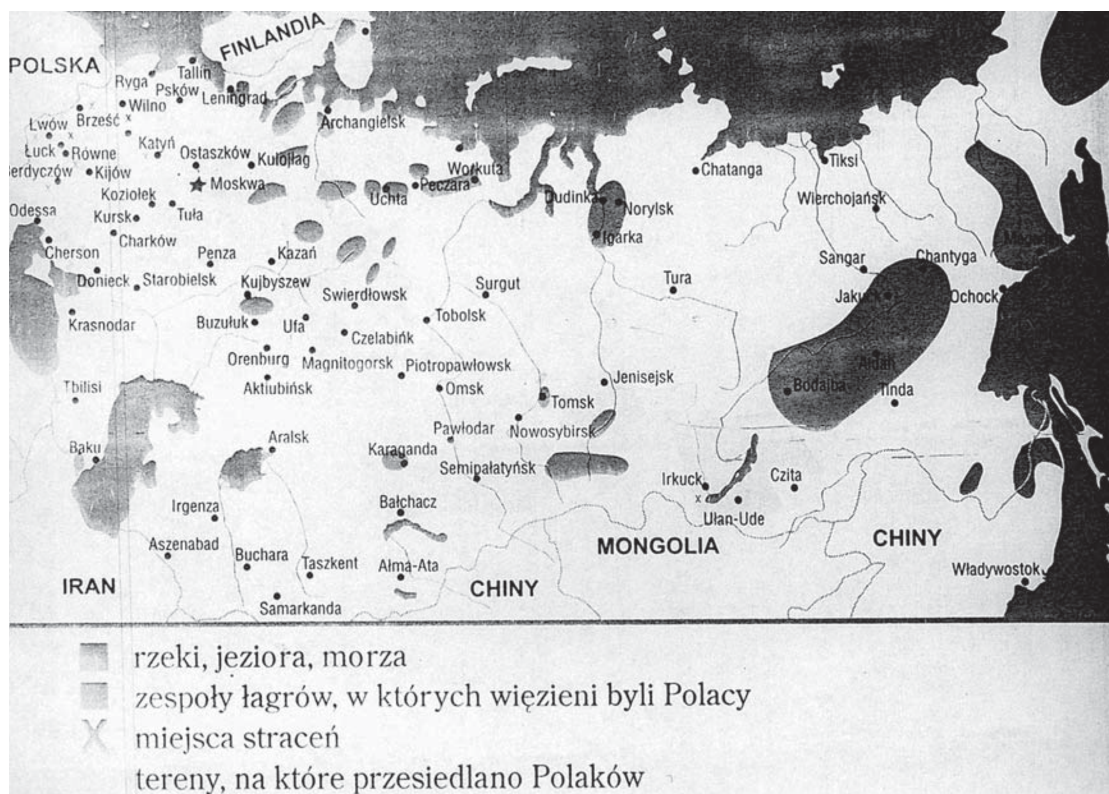
Szybka i efektywna sowietyzacja Polaków w ZSRS była głównym celem władz komunistycznych. Zamierzano ją osiągnąć nie przez zacieranie łączności duchowej z polskim rodowodem, osłabienie tradycji narodowych i kulturowych czy wreszcie przymusową asymilację, lecz poprzez umocnienie swoiście rozumianego poczucia narodowego Polaków, a niekiedy przez jego kształtowanie od początku. Tworzenie okręgów autonomicznych o podłożu narodowościowym uważano za najlepszy środek sowietyzacji. „Musimy wykazać ludności polskiej – pisano na łamach sowieckiej prasy komunistycznej – że odrębność narodowa nie stanowi przeszkody do brania udziału w budownictwie radzieckim".

Komunistyczni aparatczycy działający wśród Polaków w Związku Sowieckim bezkrytycznie uważali się za awangardę planowanej przez Stalina rewolucji socjalistycznej w Polsce. Cel nadrzędny widzieli w pozyskaniu spośród ludności polskiej kadr dla przyszłej Polskiej Republiki Rad. Abstrahując od tragicznych wydarzeń z lat 1935-39, które nie ominęły również komunistów polskiego pochodzenia w ZSRS, można powiedzieć, że cel ten w końcu w jakimś sensie udało się urzeczywistnić. Resztki działaczy komunistycznych, uformowanych w polskojęzycznych szkołach w ZSRS, dołączono do tysięcy ocalałych od terroru Polaków w ZSRS tworzących II Armię Wojska Polskiego, jako późniejszych „utrwalaczy władzy ludowej".

Prześladowania Polaków w ZSRS przed wrześniem 1939 r. odbywały się etapami...

– W latach 1923-35 został przeprowadzony sowiecki eksperyment polski. Władze udzieliły wtedy Polakom szerokiej autonomii narodowej o podłożu komunistycznym. Polacy mieli wówczas uprzywilejowane miejsce na tle innych narodów ZSRS. Po nieudanym eksperymencie **w okresie 1935-37 nastąpiła pierwsza fala masowych represji wobec ludności polskiej. Dochodzi do pierwszej masowej deportacji Polaków z Ukrainy do Kazachstanu. W drugiej fali represji (1937-39) władze sowieckie zorganizowały masową deportację Polaków z Białorusi. Przeprowadziły tak zwaną „polską operację" na dalszych Kresach i na terytorium całego ZSRS. Doszło do masowych mordów na polskiej ludności.**

Wśród tak zwanych narodów ukaranych największe straty, jak szacują badacze, ponieśli Czeczeńcy. W trak-



cie deportacji prawie połowa z nich zginęła. **W okresie międzywojennym zginęło w wyniku prześladowań nie mniej niż 10-15 proc. Polaków w ZSRS, tj. 100-150 tys.** II wojna światowa przyniosła Polakom nowe cierpienia z rąk oprawców stalinowskich. Ale to już inny temat.

Jednym z głównych celów stalinowskiej propagandy szerzonej wśród Polaków była likwidacja struktur Kościoła katolickiego. W polskojęzycznej prasie w ZSRS nieustannie obrzucano księży błotem, usiłowano ich ośmieszyć, odebrać dobre imię, a wreszcie zamordować. Jaka była strategia, technika i skuteczność sowieckiej walki z Kościołem w tym czasie i jak ten dramatyczny egzamin z wierności religii swoich ojców zdali kapłani i wierni?

– Kościół katolicki w Rosji i na dalszych Kresach zawsze odgrywał rolę również pozareligijną. Był ostoją polskości, ośrodkiem szerzenia oświaty i kultury polskiej, obrońcą tradycji narodowych, symbolem więzi z historyczną ojczyzną. Wiara katolicka do dziś na terenach byłego ZSRS odbierana jest jako wiara polska, Kościół katolicki – jako „Kościół polski”.

W okresie międzywojennym Kościół katolicki był również jedyną legalną strukturą opozycyjną wobec władz sowieckich, reprezentującą ludność polską. Nierówna walka między nim a państwem komunistycznym trwała nieprzerwanie przez całe międzywojnie. Doprowadziło to do praktycznie całkowitego wyniszczenia Kościoła na terytorium ówczesnego ZSRS. Jednak w warunkach przeprowadzenia sowieckiego eksperymentu polskiego komunistyczni działacze polscy w ZSRS świadomie ograniczali propagandę ateistyczną w środowisku polskim do niezbędnego w sowieckich warunkach minimum. Prawdopodobnie nie mogli nie liczyć się z historyczną rolą Kościoła na dalszych Kresach, rozumiejąc, że zbyt ostry antykatolicyzm może zagrozić samemu przeprowadzeniu polskiego eksperymentu.

Represjonowanie katolików i księży, zniszczenie Kościoła to część planu ostatecznego rozwiązania kwestii polskiej w ZSRS, część polskiego holokaustu. Zamierzenia całkowitego zlikwidowania Kościoła katolickiego ujawniły się dopiero wtedy, kiedy rozpoczęły się masowe deportacje Polaków z dalszych Kresów, skazywanie na prace przymusowe i łagry. Kościół miał podzielić los ludności, którą reprezentował.

Tuż po zakończeniu wojny domowej w roku 1923 na terenie ZSRS było prawie 500 kościołów katolickich i ponad 370 księży. W roku 1937 pozostało jedynie 11 kościołów i 7 księży. Tuż przed przystąpieniem ZSRS do II wojny światowej po stronie III Rzeszy w roku 1939 nabożeństwa odbywały się jedynie w dwóch kościołach: w Moskwie i Leningradzie, a uczęszczali na nie głównie dyplomaci z różnych krajów.

Gdy prymitywni propagandziści odmawiali ludziom wolności sumienia, NKWD pozbawiało prawa do swobodnego przemieszczania się, do prywatnej własności, nawet do spożywania wyprodukowanej przez siebie żywności, a wreszcie – prawa do życia – Polacy buntowali się.

– W warunkach totalnej kontroli społeczeństwa przez władzę trudno o zorganizowanie powstania. Natomiast stały, przeważnie bierny opór wobec kolektywizacji w polskich wsiach osiągał znacznie większą skalę w porównaniu z wsiami ukraińskimi. Było to jedną z przyczyn podjęcia decyzji o deportacji Polaków z Ukrainy. Natomiast na Białorusi nie obserwujemy prawie żadnych różnic w przeprowadzeniu kolektywizacji we wsiach polskich i białoruskich. Z tego punktu widzenia masowe represje wobec Polaków na Białorusi nie mają „uzasadnienia”.

W moim osobistym archiwum znajduje się relacja jednego z działaczy polskich sekcji narodowościowych Rosyjskiej Komunistycznej Partii (bolszewików), w której opowiada on o tym, jak pierwszy sekretarz ukraińskiej

kompartii Stanisław Kosior (Polak) składa na Kremlu sprawozdanie z przebiegu kolektywizacji na Ukrainie. Prawie cała mapa Ukrainy była pomalowana na czerwono, co świadczyło o stopniu skolektywizowania (ponad 70 proc.). Raptem Stalin zapytał: a co to za rejon, gdzie kolektywizacja nie sięgnęła nawet 30 proc.? Była to Marchlewszczyzna i niektóre przyległe rejony ukraińskiego Polesia ze znacznym odsetkiem ludności polskiej. Ten fakt właśnie zadecydował o deportacji Polaków z Ukrainy.

Jak dokumenty sowieckiego aparatu represji przedstawiają postawę Polaków wobec komunistycznej indoktrynacji?

– Do dziś archiwa na terytorium byłego ZSRS są tylko częściowo otwarte. Sporo dokumentów nadal jest oznaczonych nadrukiem „tajne" i nie są udostępniane badaczom. Ale wiele akt jednak udostępniono. Wśród nich są i te dotyczące represji antypolskich w latach 1935-39. Były to tragiczne, czarne lata dla Polaków w ZSRS. **Deportacja Polaków z Białorusi odbywała się w o wiele bardziej drastycznych warunkach w porównaniu z ukraińskim exodusem. Według szacunkowych danych, do 30 proc. deportowanych (głównie do autonomicznej republiki Komi) nie przeżyło wywózki.**

Represje tego okresu można klasyfikować w następujący sposób:

– likwidacja polskiej autonomii narodowej;

– oczyszczenie pasa przygranicznego z „elementu niepewnego";

– kontynuacja procesu „odkułaczania".

W drugiej połowie lat 30. Biuro Polityczne KC Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii (bolszewików) pod kierownictwem Stalina opracowało plan przygotowania zachodnich terenów ZSRS do możliwej wojny. Przewidywał on przede wszystkim masowe represje wobec narodowości, które w razie konfliktu zbrojnego mogłyby stać się tak zwaną piątą kolumną.

Rozkaz NKWD ZSRS numer 00485 (ściśle tajne) z sierpnia 1937 r. ustalał 12 kategorii obywateli podlegających represji:

– mieszkający wcześniej za granicą;

– emigranci polityczni;

– byli uczestnicy antybolszewickich oddziałów zbrojnych;

– byli członkowie antybolszewickich partii politycznych;

– arystokraci;

– mający rodzinę za granicą;

– przedstawiciele mniejszości narodowych, których przeważająca część mieszka za granicą i posiada tam swoje państwa narodowe.

Na Białorusi represje te przeprowadzano głównie pod hasłem „likwidacji polskich agentów". Początkowo całą akcję planowano przeprowadzić w ciągu trzech miesięcy, w rzeczywistości jednak rozciągnęła się ona na półtora roku.

W ściśle tajnej instrukcji, skierowanej przez NKWD ZSRS do kierownictwa Białorusi, czytamy: „W ciągu ostatnich 15 lat Polska przerzuciła do ZSSR do 50 tys. swoich agentów. Znaczna część z nich osiedliła się na Białorusi".

Operacja polska na Białorusi trwała do końca 1938 roku. **Represje – według zarejestrowanych danych – objęły 21 407 osób. Mniej więcej tyle samo poddano ostrym prześladowaniom na podstawie innych oskarżeń. Tylko w 1939 roku machina represyjna trochę zwolniła obroty. Ale i w tym roku skazywano po około 3 tys. osób miesięcznie.**

Sumując, w przededniu II wojny światowej na Białorusi sowieckiej nie mniej niż 70-80 tys. osób padło ofiarami represji stalinowskich. W większości byli to miejscowi Polacy. Prawie 10 proc. z nich zostało rozstrzelanych, resztę skazano na prace w obozach. Liczba uniewinnionych była znikoma. W trakcie przeprowadzania tak zwanej operacji polskiej uniewinniono jedynie 331 osób (1,5 proc. aresztowanych).

Jakie okoliczności sprawiły, że zdecydował się Pan Profesor zająć szerzej tematyką polską?

– Przede wszystkim względy rodzinne. 25 lat temu ożeniłem się z Polką. Kiedy przeprowadziłem się do Polski, zrozumiałem, że losy Polaków w ZSRS są tu zupełnie nieznane. Moje pierwsze próby zajęcia się tym tematem odnoszą się do połowy lat 80., a moja pierwsza książka na ten temat ukazała się w 1989 roku. Teraz tą problematyką zajmuje się w Polsce dziesiątki badaczy.

Obecnie trwają polsko-rosyjskie rozmowy na temat odszkodowań dla Polaków represjonowanych przez władzę sowiecką. Bawiący niedawno z wizytą w Polsce premier Michaił Kasjanow w wywiadzie dla Polskiego Radia nie zgodził się na porównanie zbrodni stalinowskich ze zbrodniami hitlerowskimi. Ilu Polaków zginęło w wyniku prześladowań sowieckich w latach 30.? Jak w świetle przeprowadzonych badań wygląda zestawienie „osiągnięć" komunizmu i faszyzmu w dziele holokaustu ludzkości?

– Każdy naród ma swój własny rachunek wobec stalinizmu. **Polski rachunek ma szczególne znaczenie. Polska pozostaje jedynym państwem koalicji antyhitlerowskiej, które walcząc od pierwszego do ostatniego dnia wojny prawie na wszystkich frontach II wojny światowej i składając na ołtarzu zwycięstwa największą ofiarę, wyszło z wojny uszczuplone o prawie 20 proc. swego przedwojennego terytorium. Na długie lata Polska straciła suwerenność. O jej zwycięstwie w II wojnie światowej dziś możemy mówić jedynie umownie.**

Polacy również byli największą grupą obywateli obcego państwa represjonowanych przez reżym stalinowski. A pod względem ogółu represjonowanych (obywateli II Rzeczypospolitej i Polaków zamieszkałych w ZSRS) ustępują oni jedynie Niemcom i Ukraińcom. Muszą dostać godziwą rekompensatę za swoje cierpienia.

Dziękuję za rozmowę.

prof. dr hab. Mikołaj Iwanow,
Waldemar Moszkowski,
Nasz Dziennik, 2003-03-05

Kto sieje wiatr ...

Pomału, lecz pewnie Białoruś przetwarza się w jedną z prowincji Rosji. Natarczywie unicestwia się nawet najmniejsza odrębność, każda swoista cecha, która wyróżnia oblicze tego kraju i przez którą przejawia się niepowtarzalny urok Białej Rusi, ziemi z dawnymi tradycjami i smutnymi piosenkami. Ekspansję obcej kultury widać chociażby po niedorzecznym „prawosławnym" cebulinom i „pseudobizantyjskim" freskom na renesansowych i barokowych budowlach. Białoruskie władze nie zostawiły miejsca dla autentycznej białoruskiej kultury ani w szkole, ani w telewizji, ani na ulicy, gdzie trudno znaleźć nawet szyld w jezyku białoruskim, ani w ludzkiej świadomości, bo już w podstawówce dzieciom są wpajane nieprawdziwe wartości narodowe, a wartości „wielkiego brackiego narodu". W każdej szkolnej klasie nad tablicą wiszą oficjalne symbole państwowe: czerwono-zielona flaga i herb-„kapusta", do których przyuczane są dzieci, natomiast historyczne symbole Białorusi – herb „Pogoń" biało-czerwono-biała flaga – są zakazane i prawie całkiem wymazane z ludzkich dusz. Przeważnie rosyjskojęzyczne intelektualne elity Białorusi milczą pogrążywszy się w strachu, obojętności i letargu niepamięci. Niszczy się bezcenna starówka w Grodnie, klasztor bernardynów przekształca się w hotel z kasyno, barem i basenem, a na Białorusi prawie nikt nie protestuje, każdy biernie się zgadza z zaistniałą sytuacją. Nieliczni białoruskojęzyczni są postrzegani na ulicach Mińska czy Brześcia oraz innych dużych miast jako cudzoziemcy. W tym jest gorycz i skrucha prawdziwych patriotów, że czują się wygnańcami na swojej ojczystej ziemi. Czasem staje się tak, że są oni „białymi", bezkrwawymi męczennikami posługujac się językiem białoruskim w miejscach publicznych, bo nigdy nie wiadomo jaka będzie reakcja otoczenia znajdujacego się w większości pod wpływem oficjalnej propagandy. Usłyszawszy dźwięki białoruskiej mowy ktoś zaczyna przeklinać, ktoś się kłóci, ktoś robi niesmaczną minę, niektórzy mówią, że nie rozumieją białoruskiego, a są i tacy, którzy proszą nie mówić po polsku. Ignorancji i głupstwu na Białorusi nie ma granic, a władzom jest to na rękę, bo nieświadomą masą, która nie pamięta własnej przeszłości, jest łatwiej kierować.

Byłem niedawno na spotkaniu absolwentów szkoły, którą ukończyłem w swojej rodzinnej miejscowości. W szkole białoruskojęzycznej z tytułu cały program koncertowy został przygotowany po rosyjsku, w dodatku ze sceny przemawiali bohaterowie literatury rosyjskiej – Natasza Rostowa, Eugeniusz Oniegin, Anna Karenina itd. Wreszcie na scenie pojawiły się dwie uczennice, które przedstawiały wiejskich babć rzekomo przyjechawszych do szkoły pobierać naukę. Myślałem, że wreszcie usłyszę język białoruski, ale babcie z białoruskiej wsi i w białoruskojęzycznej szkole zaczęły rozmawiać po rosyjsku, a w dodatku z jakimś wołogodzkim „okaniem". Absurdalność sytuacji położyła mnie na plecy.

Kilka lat temu byłem na wystawie fotograficznej „Prawosławna Białoruś". Od razu zainteresowała mnie nazwa wystawy, gdzie zaakcentowane zostało tylko oficjalne wiarowyznanie. Nasunęło się samo przez siebie pytanie: dlaczego w takim razie nie organizowano wystawy pod tytułem „Chrześcijańska Białoruś"? Czy ktoś w ogóle organizowuje wystawy „Katolicka Białoruś" albo „Protestancka Białoruś"? Dlaczego tylko prawosławie wspiera się przez władze?

W sali wystawy zebralo się nie dużo osób, byli to przeważnie studenci. Na ścianach i w specjalnych gablotach pośrodku sali zostały umieszczone kolorowe zdjęcia. Przewodnik zaczął oprowadzać zebranych po sali. Na samym początku wycieczki poruszył on temat cudownego ognia zapalającego świecę w rękach prawosławnego patriarchy Jerozolimy podczas obchodów przez prawosławnych Wielkanocy. Przewodnik opowiadał, że był wypadek, kiedy ormiańscy katolicy zamknęli bramę i nie wpuścili prawosławnych do Światyni Grobu Pańskiego. Wtedy cudowny ogień wyszedł z jednej z kolumien, po czym ona pękła. Zebrani przytakująco skinęli głowami. Natomiast ja zaprotestowałem, ponieważ wiedziałem, że Ormianie nie są katolikami, a należą do narodowego monofizyckiego (tzn. uznają jedną boską naturę w Chrystusie) ormiańskiego Kościoła, i to właśnie oni zamknęli pewnego razu bramę nie wpuszczajac prawosławnych. Ormiański kościół narodowy ma wspólnego z katolicyzmem tylko tyle, że patriarcha tamtego kościoła ma honorowy tytuł „katolikosa". Przewodnik przełknął ślinę i odpowiedział, że czuje się zmęczony po kilku przeprowadzonych wycieczkah. Inni słuchający tylko opuścili głowy.

Przez jakiś czas przewodnik zaczął opowiadać o Żyrowicach, które według niego były nie tylko miejscem kultu Matki Boskiej Żyrowickiej, lecz także „lampionem prawosławia na białoruskich ziemiach", porównywalnym tylko z Peczerskim monasterem na Ukrainie i monasterem św. Sergiusza Radonieżskiego w Rosji. Mnie zaparło dech od tego, jak sprytnie przewodnik manipulował faktami historycznymi dla swej korzyści. Powiedziałem, że Żyrowice przez długi okres, aż do kasaty religijnej unii w 1839 roku, były „twierdzą" greko-katolicyzmu, a to nie prawosławni, ale mnisi-bazylianie wybudowali cały obecny kompleks klasztorny, z którego dzisiaj korzystają prawosławni, a także przyczynili się do rozpowszechnienia kultu Matki Boskiej Żyrowickiej. Przewodnik widocznie nie wiedział, co odpowiedzieć, i zaczął po prostu oskarżać unitów o nietolerancję i agresję zapominając przez jakie metody było wprowadzane prawosławie po kasacie unii. Mówił, że cała Białoruś została ochrzczona w prawosławiu. Ja znowu nie wytrzymałem ignorancji tego człowieka, ale starałem się opanować nad własnymi emocjami, więc uprzejmie odpowiedziałem, że ziemie białoruskie przyjęły chrzest przed podziałem na katolicyzm i prawosławie, kiedy ogólnoświatowym centrum chrześcijaństwa był Rzym, dlatego nie wolno stwierdzać, że chrześcijaństwo na teren dzisiejszej Białorusi dotarło pod postacią prawosławia. Przewodnik zamilkł na parę minut, a potem nie wiadomo dlaczego powiedział, że katolicyzm

polonizował Bialorusinów. Widocznie przewodnik został przyciśniety faktami do muru, ale nie chciał się poddać, dlatego sypał oskarżeniami nie zwracając uwagi na powiązania pomiędzy przytaczanymi przeze mnie przykładami i swoją własną argumentacją. Odpowiedziałem: „Czy wie Pan, że ze środowiska katolickiego pochodzą pierwsi białoruscy pisarze i poeci, tacy jak Pauluk Bahrym, Franciszek Bohuszewicz, Wincenty Dunin-Marcinkiewicz, Janka Kupała wreszcie? Czy prawosławny krąg kulturowy był tak samo owocny w białoruskich pisarzy i patriotów w XIX wieku? Może raczej powinniśmy bić alarm z powodu rusyfikacji i ekspansji prawosławia na Białorusi?" Zgromadzeni stali opuściwszy głowy, nikt niczego nie powiedział, wszyscy tylko z niedowierzeniem patrzyli na siebie i na mnie. Tylko u jednej pani uwidziałem w oczach poparcie, a może mi to po prostu się wydało. Przewodnik, żeby się jakoś zrehabilitować, zaprosił mnie na prawosławne kursy katechetyczne, po czym zwiedzający się rozeszli, każdy poszedł swoją drogą. Nie poszedłem na te kursy. Chyba na nich uczył się przewodnik tej wystawy fotograficznej. Przez jakiś czas czułem się spustoszony, wyczerpany i okłamany.

Zrozumiałem, że prawdy należy szukać tylko u Boga. Tylko u Niego jedynego można odnaleźć pokój i ukojenie, nadzieję i ulgę. Jego jedynego sławią wszyskie narody, a wśród nich i białoruski. Tylko jedyny Bóg wie i rozsądzi, kto z nas stał po stronie prawdy i sprawiedliwości, a kto siał wiatr, żeby pożąć burzę.

Spotkanie na brzeskim dworcu

Często jeżdżę przez Brześć z Polski i do Polski. Czasem dość długo czekam na brzeskim dworcu, gdzie obserwuję bardzo ciekawe scenki. Czasem pokłócą się dwie zamożne, opalone w solarium Rosjanki, czekające w Brześciu na pociąg do Polski, żeby stąd udać się dalej na Zachód na zakupy. Czasem żebrze tu była więzienna, która lubi długo opowiadać o swym nieszczęśliwym życiu. Czasem przyplącze się małe rude kocię, niewidome na jedno oko, które nawet nie prosi jedzenia, a po prostu spokojnie zasypia wsród grudy toreb i walizek. Czasem ktoś położy się na ławce, żeby się zdrzemnąć, ale dopiero zamknie oczy, jak nie wiadomo skąd zjawia się milicjant i trąci leżącego w ramię ostrzegając go przed złodziejami. Tak wygląda przewiewany przeciągami dworzec kolejowy w Brześciu – zachodnie bramy Białorusi.

Chcę opowiedzieć o jednym krótkim spotkaniu, które mnie zapamietało się szczególnie. Czekając na pociąg otworzyłem książke i próbowałem czytać, chociaz oczy mi się już same sklejały, bo był środek nocy. Było dość zimno, a oprócz tego przeciągi wymuszały nastawić sobie kołnierz. Nagle obok mnie z jednorazowym kubkiem gorącej herbaty kupionej w kiosku usiadła starsza kobieta. Ubrana była w staroświecki płaszcz, długą spódnicę i wyliniałą chustkę powiazaną na głowie.

– Czy ciekawa jest książka? – spytała się ona po białorusku, pierwsza nawiązując rozmowę. Myślałem, że w okolicach Brześcia mówią na wsi językiem, gdzie przeważa element ukraiński, dlatego zdziwiłem się usłyszawszy czyściutką białoruszczyznę.

– Ciekawa! – odpowiedziałem. – A czy smaczna jest herbata? – zapytałem się swoją koleją.

– Smaczna, a jakże! – uśmiechnęła sie lekko ona.

– Skąd Pani jest? Ładnie Pani mówi, – chciałem zrobić mojej rozmówczyni komplement.

– Z Różany, – odpowiedziała. – Przyjechałam tu z mężem do szpitalu. On ma problemy z głosem, przeziębił się, gardło go bolało, a potem głos zanikł. Przyjechaliśmy w nocy, ale baliśmy już pójść do szpitala, bo zeszłym razem jak przyjechaliśmy po 22, to nakrzyczali na nas, że póżno jesteśmy i tylko przeszkadzamy, więc postanowiliśmy przenocować do rana na dworcu. Dziad mój leży za kolumną na ławce. Może nie obudzą go milicjanci, a to się boję, bo on gorączkę miał jak wyjeżdżaliśmy. Ale nie ma jak do szpitala pójść, bo od razu krzyczeć będą. Jakoś sobie poradzimy do rana. Ale przeciągi i milicjanci – to najstraszniejsze, co jest na tym dworcu. A jeszcze nie mogę znaleźć spokoju, bo zostawiliśmy w domu córkę, ciężko chorą, samą na gospodarce. Wie Pan, musi ona i krowę wydoić i świnie nakarmić, a ona jest chora. No, nie tak, żeby leżąca była, ale jest niepełnosprawna, chociaz po niej i nie zgadniesz czasem. Ona wszystko robi, we wszystkim pomaga, ale czasem ma takie straszne bóle głowy, że traci przytomność, mdleje. Jest ona u mnie najmłodsza, najładniejsza, ale ma ciężką dolę. Pojechała się uczyć do Mołodeczna i chłopaka miała, cała świecila się ze szczęścia, bo wszystko dobrze się układało. Mieszkała ona w akademiku. Jednego razu wyprała ubranie i rozwieszała na balkonie. Ktoś ją zawołał albo coś usłyszała, wychyliła się przez balkon i spadła z 3 piętra. Została żywa, ale zdrowia już nie odzyskała nigdy, a te bóle męczą ją już kilkanaście lat. Szkoda mnie jej, przez to kalectwo i chłopak ją rzucił. Została ona sama i mieszka z nami teraz.

Na jakąś chwilę zamilkła, a potem odezwała się z pytaniem pokazując na tablicę na ścianie z jakimiś informacjami:

– Proszę Pana, a co jest napisane na tej tablicy?

– Pani nie umie czytać? – spytałem się zaskoczony.

– Nie, proszę Pana, nie nauczyłam się przez całe swoje życie. Jest mi wstyd, ale jestem analfabetką. Było nas siedmioro dzieci w rodzinie, ja byłam najstarsza, musiałam pomagać rodzicom i w pracy, i z mniejszymi, nie miałam czasu się uczyć.

– Jak Pani wtedy pieniądze liczy? – spytałem się ja. – Przecież każdy może Panią okłamać?

– Z tym to jakoś sobie radzę, – odpowiedziała kobieta z ładnym uśmiechem na swojej pokrytej głębokimi zmarszczkami twarzy.

Spojrzałem na jej ręce. Były ciemne od pracy z krzywymi i pogrubionymi w przegubach palcami. Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że przede mną siedział żywy obraz Białorusi, Białorusi zgarbionej i zmęczonej, nie zrusyfikowanej do końca tylko dzięki jej analfabetyzmowi, wstydzącej się swojego języka, niezamożnej, porzuconej przez cały świat, nie chcącej przeszkadzać nawet lekarzom, kiedy boli. Miała ona jednak coś w oczach, jakiś niezwykły blask, który fascynował i zadziwiał. Wydaje mi się, że nigdy nie zapomnę tego krótkiego spotkania na brzeskim dworcu.

Grzegorz Krzyżewski
Brześć

Пра беларускую мову і родную школу

У грамадска-сацыяльным жыцці народаў наданне пэўнай мове статуса дзяржаўнай з'яўляецца ўсвядомленым крокам, скіраваным на захаванне і развіццё нацыяльнай мовы, на зберажэнне яе ад заняпаду. Патрэба ў дзяржаўным моўным рэгуляванні ўзнікае тады, калі ў мовы тытульнай нацыі ёсць мова-канкурэнт. (У нашым выпадку – руская.) Дзяржаўны статус мовы замацоўвае і рэгламентуе яе выкарыстанне на ўсіх узроўнях грамадскіх зносінаў і звязаны з мэтанакіраванай моўнай палітыкай дзяржавы. Як вядома, адной з найважнейшых сфер дзяржаўнага функцыянавання, звязаных з выхаваннем і фармаваннем сапраўднага грамадзяніна і патрыёта, з'яўляецца сістэма адукацыі. І тут чарговы раз даводзіцца канстатаваць, што на сваёй этнічнай тэрыторыі, у сваёй дзяржаве беларуская мова, якая мае канстытуцыйны статус дзяржаўнай, знаходзіцца калі не ў катастрафічным, то вельмі блізкім да такога стане.

Прааналізаваўшы лічбы афіцыйных статыстычных дадзеных, можна ўбачыць, што Берасцейшчына ў гэтай сітуацыі не з'яўляецца, на жаль, выключэннем.

Паводле дадзеных перапісу насельніцтва Беларусі на 16 лютага 1999 года колькасць пастаяннага насельніцтва Брэсцкай вобласці склала 1485,1 тыс. чалавек. З іх беларусы – 1262,6 тыс. Гэта значыць, да прадстаўнікоў тытульнай нацыі аднеслі сябе 85% жыхароў вобласці. Найбольшая ўдзельная вага беларусаў (звыш 90%) у Ганцавіцкім, Драгічынскім, Іванаўскім, Лунінецкім, Пінскім, Столінскім раёнах, найменшая (ніжэй за 80%) – у гарадах Брэст, Баранавічы, Кобрын.

Пытанне распаўсюджання моў сярод насельніцтва нашай краіны ўпершыню за ўсю гісторыю перапісаў вывучалася комплексна. Рэспандэнтам прапаноўвалася адказаць на тры пытанні: назваць сваю родную мову, мову, на якой размаўляюць дома, і іншую мову, якой свабодна валодаюць.

Назвалі роднай мовай сваёй нацыянальнасці амаль 84% насельніцтва вобласці, з іх каля 1128 тыс. берасцейцаў беларускую мову лічаць сваёй роднай. На беларускай мове дома звычайна размаўляюць 589,3 тыс. чалавек ці 39% насельніцтва вобласці:

Такім чынам, дадзеныя перапісу засведчылі высокі ўзровень беларускай нацыянальнай свядомасці ў рэгіёне. Крыху іншая сацыялінгвістычная карціна пашыранасці і побытавага функцыянавання беларускай мовы тлумачыцца, на нашу думку, працяглай мэтанакіраванай палітыкай дэнацыяналізацыі і русіфікацыі. Пацвярджэннем гэтаму з'яўляецца хоць бы тое, што за апошняе дзесяцігоддзе (1995-2005 гг.) на Берасцейшчыне рэзка скарацілася колькасць дашкольных і сярэднеадукацыйных устаноў з беларускай мовай выхавання і навучання.

Прааналізуем дадзеныя Абласнога ўпраўлення статыстыкі. Паводле мовы, на якой вядзецца праца ў дашкольных дзіцячых установах Берасцейшчыны, карціна выглядае наступным чынам:

	1995	2000	2001	2002	2003	2004
Колькасць дашкольных устаноў:						
усяго	599	597	597	592	591	584
У іх вядзецца праца:						
на беларускай мове	322	245	245	245	245	249
на рускай мове	143	336	340	336	336	322
на беларускай і рускай мовах	134	16	12	11	10	13
У адсотках да агульнай колькасці дашкольных устаноў						
Колькасць дашкольных устаноў:						
усяго	100	100	100	100	100	100
У іх вядзецца праца:						
на беларускай мове	53,7	41,0	41,0	41,4	41,5	42,7
на рускай мове	23,9	56,3	57,0	56,8	56,8	55,1
на беларускай і рускай мовах	22,4	2,7	2,0	1,8	1.7	2,2

Нацыянальны склад насельніцтва Брэсцкай вобласці
(паводле дадзеных перапісу 1999г.)

	Тыс. чалавек			Доля асоб дадзенай нацыянальнасці ў агульнай колькасці насельніцтва, у %		
	1979	1989	1999	1979	1989	1999
Усё насельніцтва	1357,9	1449,0	1485,1	100	100	100
Беларусы	1149,2	1199,5	1262,6	84,6	82,8	85,0
Рускія	124,4	145,9	128,7	9,2	10,1	8,7
Палякі	33,9	31,7	27,1	2,5	2,2	1,8
Украінцы	40,5	60,7	57,1	3,0	4,2	3,9
Яўрэі	4,1	3,2	1,1	0,3	0,2	0,1
Іншыя нацыянальнасці*	5,8	8,0	8,5		0,5	0,5

*Уключна з асобамі, якія не назвалі сваю нацыянальнасць.

Як бачна, выхаванне ў дашкольных дзіцячых установах на беларускай мове атрымліваюць менш за 43% дзяцей, у той час як беларусы сярод усяго насельніцтва вобласці складаюць 85%.

Яшчэ больш трагічная сітуацыя склалася ў сістэме сярэдняй адукацыі. У так званых "беларускіх школах" навучаецца толькі 25% дзяцей. А гэта тая небяспечная мяжа (паводле азначэння спецыялістаў), калі пад пагрозай апынаецца само існаванне нацыі. Выраз "так званыя беларускія школы" ўжыты таму, што ў нас, трэба прызнаваць гэта адкрыта, няма беларускіх школ у поўным значэнні гэтага слова. Ёсць вясковыя школы, у якіх некаторыя прадметы выкладаюцца на беларускай мове. У такіх школах, часцей за ўсё, не вядзецца па-беларуску дакументацыя, выхаваўчая праца, работа грамадскіх арганізацый, пасяджэнні педсаветаў, службовыя зносіны педагогаў, не выконваецца па-беларуску зрокавае афармленне і г.д. – іншымі словамі, не захоўваецца адзіны моўны і арфаграфічны рэжым:

Размеркаванне дзённых устаноў, якія забяспечваюць атрыманне агульнай сярэдняй адукацыі

	Колькасць устаноў			Колькасць вучняў, тыс.		
	1995/1996	2000/2001	2004/2005	1995/1996	2000/2001	2004/2005
Усяго па вобласці	793	764	691	241,1	235,7	204,6
Устаноў з навучаннем на адной мове						
беларускай	496	470	406	57,0	55,9	51,3
рускай	95	226	257	51,7	117,0	136,2
Установы з навучаннем на дзвюх і болей мовах	202	68	28	132,4	62,8	17,1
Гарадскія пасяліншчы	156	159	164	158,4	157,2	136,8
Установы з навучаннем						
на адной мове						
беларускай	1	2	3	0,3	0,6	1,7
рускай	43	104	143	41,0	97,0	119,5
Установы з навучаннем на дзвюх і болей мовах	112	53	18	117,1	59,6	15,6
Сельская мясцовасць	637	605	527	82,7	78,5	64,8
Установы з навучаннем						
на адной мове						
беларускай	495	468	403	56,7	55,3	49,6
рускай	52	122	114	10,7	20,0	16,7
Установы з навучаннем на дзвюх і болей мовах	90	15	10	15,3	3,2	1,5

Як бачым, на Берасцейшчыне ў гарадах практычна адсутнічаюць школы з беларускай мовай навучання. Беларускія школы яшчэ застаюцца ў вёсцы. Як правіла, гэта малакамплектныя школы, з нязначнай колькасцю вучняў і пастаяннай пагрозай закрыцця.

Родная мова фармуе асобу, з'яўляецца асновай нацыянальнай самаідэнтыфікацыі і духоўнасці. Авалодваючы роднай мовай, мы чытаем сваю гісторыю, разумеем продкаў, творым сённяшні і заўтрашні дзень. Сістэма адукацыі павінна спрыяць пашырэнню магчымасцяў вольнага моўнага і культурнага самавыяўлення. Яна мусіць дапамагаць падтрыманню і развіццю мовы народа, захоўваць яго моўную і культурную разнастайнасць. Без беларускай мовы і школы на роднай мове беларусы не маюць гістарычнай перспектывы.

Мікола Новік,
кандыдат філалагічных навук

Białorusini w Polsce to mniejszość narodowa tradycyjnie zamieszkała na terenach województwa podlaskiego. Narodowość białoruską, podczas narodowego spisu powszechnego ludności i mieszkań przeprowadzonego w 2002 r., zadeklarowało 47 640 obywateli RP, w tym: w województwie podlaskim – 46 041, mazowieckim – 541, warmińsko-mazurskim – 226, lubelskim – 137, pomorskim – 117, zachodniopomorskim – 117.

Należy zaznaczyć, że w województwie podlaskim przedstawiciele społeczności białoruskiej zasiadają we władzach samorządowych, dysponując większością w radach niektórych powiatów i gmin. Mniejszość białoruską reprezentują w Sejmie RP posłowie Eugeniusz Czykwin i Aleksander Czuż, natomiast w Senacie RP Sergiusz Plewa (wszyscy trzej SLD-UP).

Języka białoruskiego, jako języka ojczystego, uczy się w 44 placówkach oświatowych około 3700 uczniów należących do mniejszości białoruskiej.

Zarówno organizacje jak i prasa białoruska w Polsce są finansowane z budżetu narodowego RP.

Zdecydowana większość przedstawicieli mniejszości białoruskiej należy do Polskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego.

Główne organizacje:
Białoruskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne,
Związek Białoruski w RP,
Związek Młodzieży Białoruskiej,
Rada Programowa Tygodnika „Niwa",
Białoruskie Stowarzyszenie Literackie „Białowieża",
Białoruskie Towarzystwo Historyczne,
Stowarzyszenie Dziennikarzy Białoruskich,
Białoruskie Zrzeszenie Studentów.

Najważniejsze tytuły prasowe:
„Niwa" – tygodnik,
„Czasopis" – miesięcznik,
„Białoruskie Zeszyty Historyczne" – półrocznik.

Największe imprezy kulturalne:
Festiwal Białoruskiej Muzyki Młodzieżowej „Basowiszcza",
Festiwal „Piosenka Białoruska" w Białymstoku,
Festiwal Poezji Śpiewanej i Piosenki Autorskiej „Jesień Bardów",
Święto Kultury Białoruskiej w Białymstoku,
Święto „Kupalle" w Białowieży,
Polsko-Białoruskie Warsztaty Literackie „Biazmieżża",
Konkurs Poezji i Prozy „Debiut".

Władysław Melcher
Wójt gminy Wołczyn w Powiecie brzeskim, Województwa Poleskiego



„Człowiek nie umiera dotąd, dopóki jest żywa pamięć o nim”. To ludowe porzekadło idealnie pasuje do osoby Władysława Melchera, który swoją życiową drogę opuścił w tragicznych okolicznościach już niemal siedemdziesiąt lat temu.

Władysław Melcher piastujący urząd wójta w Gminie Wołczyn w Powiecie brzeskim poleskiego Województwa w latach 1926 – 1939, był człowiekiem o tak nieprzeciętnej osobowości, że nawet panująca na tym terenie przez całe półwiecze ideologiczna presja sowieckiej władzy, nie potrafiła wytrzeć ludziom z pamięci jego osoby. Człowiek ten wciąż jest żywy w pamięci nie tylko osób w mocno podeszłym wieku, które go znały, lecz mówią o nim również ich dzieci i wnukowie.

Kiedy w 1919 roku zakończyła się pierwsza światowa wojna i Polska odzyskała niepodległość, nikt wówczas nie mógł przewidzieć, że za dwadzieścia lat rozpęta się kolejna wojna, najstraszniejsza w dziejach ludzkości. To też po zakończeniu się krwawej pierwszej światowej wojny, umęczeni nią ludzie rozpoczynając odbudowę zrujnowanej gospodarki marzyli zapewne o przyszłym dostatnim życiu swoim i swoich kolejnych pokoleń.

Z początkiem dwudziestych lat ubiegłego wieku, wielu małorolnych mieszkańców wsi leżących w Polsce centralnej i zachodniej, oraz ludzi nie posiadających swojej ziemi, zaczęło osiedlać się na Kresach Wschodnich, będących dzisiaj terenami zachodniej Białorusi i Ukrainy. Wśród tych przesiedleńców było również sporo weteranów polskiego wojska, którzy w latach 1918 - 20 walczyli o niepodległość Polski.

Ci ludzie osiedlając się na Kresach, kupowali tam lub wydzierżawiali ziemię i zagospodarowywali ją budując domy, budynki gospodarcze i uprawiając orną ziemię. Ciężko harowali na niej, zdobywając w ten sposób pieniądze na spłatę w bankach kredytów zaciągniętych na zakup tych gospodarstw. Z biegiem lat stopniowo krzepli ekonomicznie na tych nowych gospodarstwach w myśl ludowego porzekadła, że „...aby lepiej żyć, należy dobrze pracować”.

Takim właśnie przykładem, świecił mieszkańcom wsi Weljamowicze w brzeskim Powiecie Władysław Melcher, który osiedlił się tam w 1924 roku. Szczegółowy opis życiorysu Melchera jest niemożliwy, gdyż wiele jego dokumentów zaginęło. Te, które ocalały, są przechowywane w obwodowym archiwum w Brześciu.

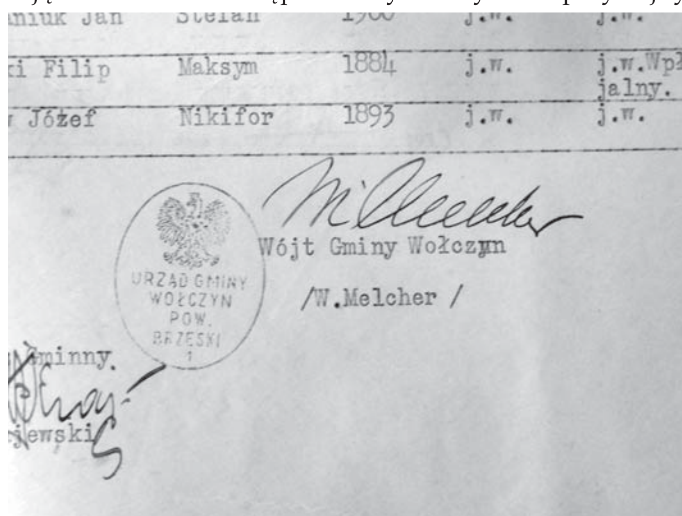
Władysław Melcher syn Emilii i Aleksandra urodził się 17 czerwca 1891 roku w podwarszawskiej miejscowości Błonie. Po ukończeniu humanistycznego gimnazjum w Płocku rozpoczął medyczne studia na Warszawskim Uniwersytecie, lecz je przerwał. Po zaliczeniu szóstego semestru, dnia 1-go listopada 1918 roku wstąpił na ochotnika do tworzącego się wówczas polskiego wojska, gdzie służył w konnej artylerii. Po zakończeniu wojny, z dniem 10 grudnia 1920 roku został przeniesiony w stopniu podchorążego do rezerwy w kategorii „C”.

Na skutek braku dokumentów, w życiorysie Melchera istnieje kilkuletnia luka. Nieznana jest data zawarcia ślubu z Heleną, której rodowe nazwisko jest obecnie nieznane, jak również miejsce urodzenia ich syna Mieczysława urodzonego w 1924 roku. Nie wiadomo gdzie się urodził, jeszcze w rodzinnym jego ojca Błoniu, czy już na Kresach w ich nowym niedużym drewnianym domu numer 73, we wsi Weljamowicze.

Żyjące jeszcze i cieszące się dobrym zdrowiem mieszkanki Weljamowicz pani Maria Jańczuk urodzona w 1928 roku i pani Anna Daniluk urodzona w 1929 roku, zachowały w pamięci syna Melcherów Mietka, który rósł i wychowywał się z innymi wiejskimi dziećmi, chętnie uczestnicząc z nimi w zabawach. Był to chłopiec grzeczny, towarzyski, mądry i zdolny, często pomagał swoim rówieśnikom w rozwiązywaniu szkolnych zadań, za co nieraz nauczyciel go strofował.

Mama Mietka pani Helena Melcherowa, była kobietą bardzo ładną i dbającą o swój wygląd. Wprawdzie w swoim obejściu pracowała jak inne kobiety z Weljamowicz doglądając hodowaną krowę i domowe ptactwo, ale wychodząc poza nie, zawsze ubierała się elegancko i nakładała na głowę modny kapelusz.

Mąż pani Heleny, Władysław Melcher swoją prezencją małżonce nie ustępował. Był to wysoki i przystojny



...niuk Jan	Stefan	1900	j.w.	j.w.
...i Filip	Maksym	1884	j.w.	j.w.Wpł jalny.
... Józef	Nikifor	1893	j.w.	j.w.

URZĄD GMINY WOŁCZYN POW. BRZESKI

Wójt Gminy Wołczyn

/W.Melcher /

...minny.

...lewski

Zarząd Gminy w Wołczynie
powiatu brzeskiego.
Nr.2/6.
Wołczyn,dn. ..VI.1938roku.

Wniosek o nadanie niżej wymienionym osobom medalu Brązowego
"Za Długoletnią Służbę".-
Przeciwko żadnej z tych osób nie toczy się postępowanie karne ani dyscypli-/narne.

Liczba porządk. urzędu decydującego.	Liczba porządk. urzędu zgłaszającego wniosek.	Nazwisko i imię.	Stanowisko służbowe/stopień,tytuł lub funkcja/ Charakter służbwy.	Data nabycia praw do medalu.	Ilość lat służby dającej prawo dp medalu, ewentualnie okresy odliczone od lat służby i powód odliczenia.-	Data dyplomu o [illegible] siu medalu.
	1	Melcher Władyspaw	Wójt gminy.	15.VIII. 1934r.		
	2	Grabowski Jan	Sekretarz gminy.	26.XI.29r.		
	3	Hordijenko Teodot	Rachmistrz gminy	1.X.1932r.		
	4	Kozłowski Władysław	Pomocn.sekretarza.	26.VII.34r.		

W/6 j.t.
/.Wł.Melcher./

mężczyzna z modnym wówczas wąsem, noszący porządne ubrania i lśniąco wyglansowane buty. Będąc człowiekiem wykształconym, wzorowo prowadzącym swoje gospodarstwo i jeszcze udzielającym ludziom lekarskich porad, błyskawicznie zyskał wśród mieszkańców Weljamowicz i okolicznych wsi wysoki autorytet. To też 15-go sierpnia 1926 roku, został powołany na stanowisko wójta gminnego samorządu w Wołczynie.

Wówczas struktura administracyjna Państwa dopiero krzepła po okresie ukształtowania się, gdyż był to zaledwie siódmy rok od daty powstania niepodległej Polski, którą jeszcze później wstrząsały wyniszczające działania wojenne.

Jednakże wójt Melcher ponoszący odpowiedzialność za wszystkie prawne i administracyjne problemy podległych mu około trzydziestu wsi i chutorów, ze swoich obowiązków wywiązywał się wzorowo. Dowodem tego jest fakt, iż na tę funkcję wybierany był we wszystkich kolejnych wyborach i piastował ją aż do wybuchu wojny w 1939 roku.

W ramach obowiązków gospodarza gminy, często odwiedzał wszystkie podległe mu wsie i chutory używając do tego bryczki, lekkiego powozu zwanego faetonem, albo tylko roweru. Osobiście doglądał prowadzonych robót w postaci budowy lub remontu lokalnych dróg, mostów, szkół i innych obiektów użyteczności publicznej.

Wójt Władysław Melcher jak każdy człowiek, nie miał usposobienia idealnego, ale za jego gospodarską, wręcz ojcowską troskę o wszystko to, co znajdowało się na terenie gminy, ludzie darzyli go wyjątkowym szacunkiem. Jego autorytet wśród ludzi potęgowała jeszcze prowadzona przez niego lekarska praktyka, na którą znajdował czas pomimo ogromu służbowych obowiązków. Swoich pacjentów badał niekonwencjonalnymi metodami i udzielał pomocy wszystkim potrzebującym jej nawet w niedziele i święta.

To wręcz sensacyjne, że po upływie tylu lat od tamtych czasów, wielu ludzi z dawnego obszaru medycznej działalności Melchera nadal leczy swoje dolegliwości według jego wskazań i recept, przekazując je sobie z pokolenia na pokolenie. Do niedawna żyli jeszcze tacy, którzy wręcz nie uznawali lekarzy i nowoczesnych metod





leczenia, uznając wyłącznie dawne „wójtowe" sposoby.

„...Słuchawek nie miał – snuje wspomnienie sędziwy pacjent Melchera - zawsze słuchał uszami. Ot, przytuli do siebie przodem, plecami, posłucha ile trzeba i powie jak trzeba leczyć. A po lekarstwa sam jeździł do Brześcia. A jak ktoś nie miał pieniędzy na potrzebne lekarstwa, to jemu też nie odmawiał. Dawał za darmo, pożyczał, albo ludzie odrabiali u niego w ogrodzie czy na polu..."

„...Teraz takich lekarzy nie ma – wspomina pani Maria Jańczuk – teraz okuliści, ortopedzi, pediatrzy, wszyscy specjaliści. A on sam leczył wszystkie choroby i u dzieci i u starszych, tylko nie robił chirurgicznych zabiegów. Ale pomagał nawet chorym na gruźlicę. Dziewczynkę jedną pamiętam leczył, ona dzięki Bogu żyje do tej pory!

„ – A u mnie – dodaje pani Maria Kowal – kiedy byłam mała w dzieciństwie, pamiętam ucho silnie bolało i ciekło z niego coś. Wyczyścił, maścią posmarował ile razy trzeba było. I słyszę do tej pory! Ludzie nawet z Brześcia do niego przyjeżdżali. Niezwykły był lekarz i człowiek też".

Wójt Melcher nie był „dobrodziejem" wyłącznie dla ludzi cierpiących na różne nękające ich choróbska. Wiele czasu poświęcał problemom opieki nad dziećmi z gminy Wołczyn. W tamtych latach po niedawno minionej wyniszczającej pierwszej światowej wojnie, była duża ilość dzieci – sierot. I one były otoczone przez Melchera szczególną troską. To dzięki jego staraniom, zgromadzeniu funduszy i pokonaniu przeszkód natury biurokratycznej na wyższych szczeblach administracji, we wsi Stawy została wybudowana szkoła.

Troska Melchera o dzieci nie ograniczała się tylko do zapewnienia im zdobycia przynajmniej podstawowego wykształcenia, ale dbał również o ich warunki bytowe i rozrywki. To też na różne święta a głównie na Gwiazdkę, organizował dzieciom różne kulturalne rozrywki, połączone z rozdawaniem niedostępnych wówczas na wsiach prezentów i słodyczy.

Po latach pełnienia obowiązków wójta przez Władysława Melchera, jego zwierzchnie władze doceniając z pełnym uznaniem jego poświęcenie się pracy, nadały honorowy medal „Za długoletnią służbę".

Wójt Władysław Melcher był także uczestnikiem wydarzenia, które zostało wpisane na kartę historii Polski. Dnia 14 lipca 1938 roku, złożył swój podpis pod dokumentem przyjęcia do Wołczyna trumny z prochami ostatniego króla Polski Stanisława Augusta Poniatowskiego, celem złożenia jej w podziemiu miejscowego kościoła pod wezwaniem Św. Trójcy.

Król ten po abdykacji w 1795 roku udał się do Grodna a następnie do Petersburga, gdzie zmarł w 1798 roku i tam został pochowany w katakumbach kościoła pod wezwaniem Św. Katarzynay. Po stu czterdziestu latach, trumna z jego prochami uległa niszczącemu działaniu wód rzeki Newy, które w czasie potężnej powodzi zalały miejsce jego pochówku.

Po tym zajściu, w Polsce rozpętała się prawdziwa burza dyskusji na temat dalszego losu królewskich szczątków. Tę dyskusję pomiędzy jego zwolennikami i przeciwnikami przerwała decyzja Rządu sprowadzenia trumny z prochami króla do Polski i złożenia jej na wieczny spoczynek w Wołczynie, które były miejscem narodzin tego monarchy.

Rząd sowiecki wyraził na to zgodę i po przezwyciężeniu biurokratycznych trudności z przewiezieniem trumny przez polsko–sowiecką granicę, na której szczątki Stanisława Augusta Poniatowskiego okradziono z królewskich insygniów, wreszcie dotarły one do Wołczyna. Tam pieczę nad nimi i nad zorganizowaniem uroczystego pochówku, przejął i wykonał wzorowo wójt Władysław Melcher.

W czternaście miesięcy później, pierwszego września 1939 roku wybuchła druga światowa wojna rozpoczęta napadem hitlerowskich Niemiec na Polskę. Od pierwszych dni wojny niemieckie lotnictwo grasowało nad całym podniebnym obszarem Polski, dokonując barbarzyńskich bombardowań i ostrzałów głównie cywilnych obiektów.

Podczas jednego z takich bandyckich napadów, został zbombardowany i ostrzelany z maszynowej broni samolotu dom Melcherów i znajdujący się w pobliżu Weljamowicz dom weterynarza Jana Jełowieckiego, gdzie doszło do wielkiej tragedii, gdyż Jełowiecki poniósł śmierć, a jego ciężarna żona została ranna.

Jełowiecki został pochowany na cmentarzu w pobliskiej wsi Stawy, a owdowiała jego żona doszedłszy nieco do siebie po odniesionej ranie, kontuzji i doznanym szoku, opuściła wraz ze swoimi trzema córkami Kresy i wyjechała za Bug do mieszkającego tam brata jej zmarłego tragicznie męża. Razem z wdową i jej dziećmi, wyjechała również żona Władysława Melchera Helena z ich synem Mietkiem udając się na teren Polski, który niebawem niemieccy okupanci przemienili w Generalną Gubernię.

Po upływie około dwóch tygodni od wybuchu wojny,



Kościół Św. Trójcy w Wołczynie. Stan obecny

tereny, na których znajdowała się gmina Wołczyn zajęły niemieckie wojska. Pobyły tam niedługo, gdyż w wyniku rabunkowej umowy pomiędzy Moskwą i Berlinem, Kresy Wschodnie Polski zostały przekazane bolszewikom.

Władysław Melcher uznał, że opuszczenie miejsca, z którym tak zżył się przez niemal dwadzieścia lat i włożył tyle pracy, nie ma żadnego sensu. Ma przecież tutaj kawałek gruntu, naprawi zbombardowany dom i całkowicie poświęci się leczeniu ludzi. Wierzył naiwnie w to, że bolszewicka władza pozwoli mu w takich warunkach żyć spokojnie.

Tajemnicą pozostanie, czy już pierwsze poczynania sowieckich władz zmieniły pogląd Melchera na nadchodzące czasy i zdecydował się nielegalnie przekraczając Bug opuścić Weljamowicze i pozostać w Generalnej Guberni ze swoją rodziną na stałe, czy jedynie zapragnął ją odwiedzić.

Na przełomie listopada i grudnia, kiedy silne mrozy skuły wody Bugu, Melcher udał się na teren Generalnej Guberni. Granica bolszewicko-niemiecka była pilnie strzeżona przez sowieckich pograniczników, to też nocna wyprawa Melchera przez Bug odbyła się w towarzystwie dwóch miejscowych przewodników, zajmujących się przerzutem przez granicę ludzi i kontrabandą.

Niebawem po Weljamowiczach rozeszła się na podstawie jakichś skojarzeń i namacalnych śladów pogłoska, że ci obaj przewodnicy Melchera są jego mordercami. Istotnie tak się stało, tego ohydnego czynu dokonali w celu obrabowania go z pieniędzy i innych kosztownych rzeczy, które zabrał ze sobą.

Jednakże niebawem los wymierzył obu zwyrodnialcom należną im karę. Jeden z bandytów został rozstrzelany przez Niemców, wkrótce po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej w 1941 roku. Drugiego zaś Niemcy wywieźli do Rzeszy i tu nie ma informacji, czy na przymusowe roboty, czy jako skazańca do obozu. Jedynie pozostaje fakt, że pod koniec wojny wszelki ślad po nim zaginął.

Pani Helena Melcherowa była uprzedzona o przybyciu jej męża z Weljamowicz i wielokrotnie, na próżno oczekiwała go w umówionym miejscu spotkania. O jego tragicznej śmierci dowiedziała się dopiero wiosną, kiedy topniejący śnieg odkrył ciało nieboszczyka, a okolicznych ludzi zaciekawiły olbrzymie stada wron, które jak się okazało żerowały na nim.

Ciało zamordowanego przez dwóch rabusiów Władysława Melchera oszpecone przez wygłodzone w czasie niezwykle surowej zimy ptactwo, zostało pochowane w pobliżu miejsca tego strasznego wydarzenia, przez jego tragicznie owdowiałą żonę Helenę.

Kolejnym nieszczęściem, które spadło na nią po kilku latach, to była również tragiczna śmierć jej syna. Mieczysław Melcher będąc jeszcze bardzo młodym człowiekiem, pracował w Warszawie jako taksówkarz. Brak jest szczegółowych danych, ale prawdopodobnie zginął on w 1944 roku podczas warszawskiego powstania. O tym fakcie dowiedzieli się mieszkańcy Weljamowicz kilka lat po zakończeniu drugiej światowej wojny, kiedy Helena Melcher rozpoczęła wymianę listów z mieszkanką tej wsi panią Jefimią Didzik. W jakiś czas potem, jakaś nieznana pani Jefimii osoba z Polski powiadomiła ją, że Helena Melcher zmarła.

Wójt Władysław Melcher, jego żona Helena i syn Mietek zostawili po sobie mieszkańcom Weljamowicz ogrom dobrych, serdecznych wspomnień i materialną pamiątkę w postaci domu i pięknego sadu, który przetrwał wiele lat. Po zniknięciu Melchera ze wsi, w jego domu urządzono szewski warsztat, a później zrobiono tam dom kultury zwany klubem. Później dom ten został rozebrany, a materiał z niego wykorzystano do wybudowania nowego klubu.

Po wójcie Władysławie Melcherze została na Białorusi jeszcze jedna pamiątka, w postaci szkoły wybudowanej dzięki jego staraniom we wsi Stawy. Dzieci uczą się w niej do dzisiaj...

Po sąsiedzie i przyjacielu Melchera weterynarzu Janie Jełowieckim, we wsi Stawy na cmentarzu istnieje trwała pamiątka w postaci pomnika na jego grobie. Wystawiła go tam jego córka Maria, która mieszka w Warszawie. W latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku, odwiedziła miejsce swojego urodzenia i tragicznej śmierci ojca. Chętnie spotykała się z sędziwymi ludźmi, którzy zachowali w pamięci czasy, kiedy żył tam i pracował jej ojciec.

Pokolenie to w naturalny sposób kurczy się coraz bardziej, starzy ludzie po kolei odchodzą w zaświaty. Razem z nimi odchodzi także pamięć o wójcie Władysławie Melcherze, weterynarzu Janie Jełowieckim i ich rodzinach, blednąc coraz bardziej we wspominkach kolejnych pokoleń. Zapewne dłużej od pamięci o nich, przetrwają pozostawione materialne pamiątki w postaci budynku stojącego w Weljamowiczach, w którym mieści się klub i pomnik na cmentarzu we wsi Stawy.

***Sergiej Basow**, Brześć, **Halina Koczanowska**, Wołczyn*
Korekty tekstu dokonał B.M.

KOŃ TROJAŃSKI

Sobota 16 września 1939 r. Trwała trzecia doba rozpoczętego w dniu 14 września oblężenia przez 10. Dywizję Pancerną (gen. Ferdinand Schaal) oraz 20. Dywizję Piechoty zmot. Wehrmachtu (gen. Mauritz Wiktorin) Twierdzy brzeskiej.

Mimo ciągłego ostrzału artyleryjskiego przez całą artylerię obydwu dywizji, którą wzmocniono 75. pułkiem artylerii 3. Dywizji Pancernej (gen. Leo von Schweppenburg) oraz ponawianych siedmiokrotnie ataków specjalnych, wydzielonych grup szturmowych, Niemcom nie udało się wtargnąć do wnętrza bohatersko bronionej przez obrońców Twierdzy. Szczególnie zacięte walki trwały w rejonie Bramy Brzeskiej i Kobryńskiej.

Grupy szturmowe atakujące usytuowane na wałach fortecznych otaczających Wyspę Północną pozycję batalionu marszowego 82 pułku piechoty oraz kampanii wartowniczych ponosiły ciężkie straty. Szczególnie dawał im we znaki ogień artylerii wkopanych w rejonie pozycji piechoty czołgów wolnobieżnych Renault FT – 17 ze 112. kompanii czołgów.

Sztab XIX. Korpusu Pancernego (gen. Heinz Guderian) nie znając wstępnej decyzji d-cy Zgrupowania „Brześć", gen. bryg. Konstantego Plisowskiego o skrytym wyjściu obrońców Twierdzy, rozważał dwie możliwości złamania oporu broniącej się załogi:

A. Jedną z koncepcji było przerzucenie na zachodni brzeg rzeki Bug po wykorzystaniu przygotowanj na północ od Twierdzy, w rejonie m. Neple, jednego batlionu z 76. pułku piechoty zmot. (płk Golick), 20.Dyw.Piech.zmot.

B. Drugą, było wykorzystanie fortelu znanego z historii wojen pod nazwą „Konia trojańskiego".

Wykorzystując usytuowanie terenów Twierdzy, które przecięte były dwoma ramionami ujścia rzeki Muchawiec wpadającej do Bugu oraz fakt, że rejon miasta, w tym jego wschodni skraj, gdzie znajdowało się główne koryto Muchawca, został opanowany już w dniu 14 września prze oddziały niemieckie, sztab XIX Korpusu Pancernego planował skryte przerzucenie desantu grup szturmowych drogą wodną, głównym nurtem i z prądem wodnym rzeki.

Przygotowanie do realizacji planowanego szturmu rozpoczęto w godzinach przedpołudniowych w dniu 16 września. Polegały one na wydzieleniu oddziału desantowego w sile około dwóch kompanii żołnierzy oraz zgromadzeniu niezbędnych środków pływających w postaci łodzi, pontonów i barek. Sprzęt ten zabezpieczył 43 batalion pionierów XIX Korpusu Pancernego.

Zamiarem Niemców, jak wynikało z realizowanych przygotowań, było tuż przed zmrokiem, przy jednoczesnym wykorzystaniu zasłony z dymów bojowych, skryte wpłynięcie, zgodnie z prądem rzeki, desantu, który po dotarciu do miejsca, gdzie główne koryto rozdziela się na dwa ramiona ujścia do Bugu, w rejonie Wyspy Centralnej i Wyspy Szpitalnej dostanie się na tyły pozycji linii obrony zajmowany przez batalion marszowy 82. pułku piechoty. (d-ca – kpt Wacław Radziszewski) i zaatakowanie polskich stanowisk od tyłu.

Po udanej realizacji pierwszej koncepcji; – przeprowadzeniu się 5. 6. 7. kampani II. batalionu (mjr Lemmel) 76. ppzmot na prawy, zachodni brzeg rzeki Bugu, oraz stwierdzenie, że obrońcy Twierdzy rozpoczęli wycofywanie się prze Wyspę Lotniczą, Bramę Terespolską, która do dnia 16 września nie była atakowana, z zamiaru skrytego desantu grup szturmowych, który można byłoby określić mianem „Konia trojańskiego", zrezygnowano.

Opracowano na podstawie:

1. relacji p. płk. w st. spocz. Stanisława Kościuka, syna podoficera 30. pułku artylerii lekkiej, mieszkańca rejonu miasta leżącego nad Muchawcem.
2. Die 20.Inf.Div.(mot) (spater 20.Pz.Gren.Div.) Chronick + Geschichte, 2. Teil 1939 – 1940. von Dietwart Asmus.
3. Kriegstagebuch des Generalkommandos XIX. A.K. uber den Feldzug in Polen. 1.9.39 – 25.9.39.

Zygmunt Popiel

W wielkim smutku informujemy PT Czytelników, **że w dniu 12 lutego 2007 r. odszedł od nas na Wieczną Wartę śp. dr ppłk w st. spocz. Zygmunt Popiel, Autor cennych artykułów o Twierdzy brzeskiej,** które drukujemy od 2004 roku. Śp. Z. Popiel, jakby w przeczuciu swego odejścia, już na początku 2006 roku przekazał nam 4 nowe artykuły jako zapas do druku w kwartalniku „Echa Polesia". Był wybitnym znawcą historii Twierdzy brzeskiej, a jako dawny mieszkaniec m. Brześcia, był przykładem wierności i oddania swojej małej Ojczyźnie.

MARSZAŁEK PIŁSUDSKI O SOBIE



Poniżej publikujemy fragment wywiadu marszałka Józefa Piłsudskiego przeprowadzonego przez red. Artura Śliwińskiego w dniu 23.XI.1931 r. Marszałek mówił nie tylko „o sobie", lecz indagowany pytaniami dziennikarza, mówił o Polsce, Polakach, świecie. Prezentowane jego myśli i oceny są nadal aktualne w dzisiejszej rzeczywistości.
Szanownym Czytelnikom będziemy systematycznie przybliżać bliskie dla nas myśli i wypowiedzi Marszałka, które pozwolą lepiej zrozumieć nas samych i otaczający nas świat.

Marszałek często rozmyślał o swoich latach dzieciństwa i chłopięctwa.

Przypominam sobie doskonale przygotowania do pierwszej spowiedzi. Na życzenie rodziców zadania tego podjął się ksiądz Kluczyński, mający opinię mądrego księdza. Dla mnie był to człowiek niesympatyczny, z usposobienia jezuita. Temu księdzu sprawiłem niejeden kłopot. Kiedy np. przekonywał mnie, że nigdy nie możny kłamać, wyrażałem ze swojej strony wątpliwości i pytałem, czy można powiedzieć prawdę o stanie człowiekowi, który jest bardzo ciężko chory i któremu powiedzenie prawdy mogło by zaszkodzić, a nawet przyczynić się do jego śmierci. Albo: czy nie należy kłamać, jeśli by kłamstwo przyczyniło się do czyjegoś zbawienia. To znowu pytałem, dlaczego Bóg, który wszystko może, dopuszcza do tego, że ludzie grzeszą. Księdza gniewały te pytania. Nie mógł porozumieć się ze mną, nie umiał trafić do mojej psychiki, był jednak zaniepokojony i przestrzegał matkę przed niebezpiecznym nastawieniem mego umysłu. Jako dziecko dużo fantazjowałem i nieraz zadawałem sobie dziwne pytania, czy jest ktoś na świecie, dla kogo mógł bym umrzeć, dla kogo pozwolił bym się na śmierć zamęczyć. I odpowiadałem sobie, że mógł bym na to zdobyć się jedynie dla matki, dla nikogo więcej.

Dzisiaj, - dodał po chwili Marszałek, – spokojnie umarł bym dla dobra swych dzieci.

Zapytałem, czy wyrósłszy z dzieciństwa, nie spotkał Komendant nikogo, dla kogo mógł by się poświęcić, jak dla matki. Marszałek od razu domyślił się, o co mi chodzi.Uczynił kilka wynurzeń natury bardzo osobistej, więc ich nie powtarzam. Później wspomniał o swych prywatnych stosunkach z ludźmi. Do zalet, które w ludziach ceni najwięcej, należy dyskrecja. Sam był zawsze dyskretny i nigdy najbliższych znajomych nie rozpytywał o sprawy osobiste, nigdy nie chciał wiedzieć więcej ponad to, co mu powiedziano.

Kiedyś, a było to około roku 1898, przyjechała do Wilna p. Ewa Rościszewska, późniejsza pani Lorentowiczowa i dała mi do przechowania swój paszport. W parę dni później na zebraniu, w czasie rozmowy towarzyskiej, w której brał udział późniejszy prezydent Wojciechowski, wynikła kwestia, ile lat liczy panna Ewa. Zaczęto spierać się na ten temat. Przypomniałem sobie, że mam paszport w kieszeni, łatwo więc rzecz mi wyjaśnić. Nie mogłem przecież przemóc się, aby to uczynić. Wydobyłem paszport, i nikomu nie pozwalając zajrzeć do środka, ani sam nie zaglądając, oddałem dokument właścicielce.

Ten fakt zacytował Marszałek na dowód, że nigdy, nawet w najdrobniejszych sprawach nie zawiódł niczyjego zaufania i nie naruszył prawa dyskrecji.

Nie raz rozmyślam, na co mógł bym się zdobyć i na co nie zdobył bym się nigdy. To są rozmyślania dziecka.

Wspominał Komendant, że nie znosi protekcji. Jak to rozumieć?

Nigdy nie szukałem protekcji dla siebie i nikogo nie umiałem protegować. Nigdy nie korzystałem ze swoich wpływów, aby na przykład cośkolwiek zrobić dla kogoś ze swojej rodziny, jeśli tylko trzeba było to zrobić za czyimś pośrednictwem. Nie raz miano mi to za złe.

A czym Komendant tłumaczy rodzinny protekcjonizm Napoleona?

Napoleon był parweniuszem, wychowywał się w mało kulturalnym środowisku, miał w sobie cechy tego środowiska, ja wyrosłem w rodzinie, która miała za sobą długie lata kultury. I wpływy tej kultury ważą na rozmyślaniach dziecka.

A pozostałe kreacje?

W samotnych chwilach muszę zawsze określać swój stosunek do nich.

Upomniałem się raz jeszcze o „panicza z Zułowa".

Marszałek odparł:

Już powiedziałem, że czasy tego na zawsze się skończyły. Dziwię się tylko, jak mogły trwać tak długo. Toż jeszcze gdy byłem Naczelnikiem Państwa, tkwił on we mnie i nie raz mi przeszkadzał. Ileż to względów przez niego okazywałem ludziom. Każdy mógł przyjść do Belwederu i wykłócał się z Komendantem. To się już nie powtórzy. Dziś jest inaczej. Dziś ma dostęp do mnie ten tylko, kogo sam chcę widzieć, a mówić ze mną może tylko o tym, na co ja pozwalam. Sam dziwię się dzisiaj, jak mogłem w tamtych czasach przyjmować tylu durnych ludzi, wysłuchiwać tyle bzdurstw, żyć w takich warunkach, w jakich żyłem, nieustannie przezwyciężać siebie, a jednocześnie pracować i zrobić tyle, ile zrobiłem. Nawet dla mnie nie była to rzecz łatwa!

Marszałek wstrząsnął się i rzekł:

Przecież miałem do czynienia z Polakami!

Coś groźnego poruszyło się w Komendancie, gdyż nagle uniósł się gniewem i wyrąbał kilka okropnych zdań o Polakach i narodzie polskim.

Słowa tę głęboko mnie dotknęły. Korzystając ze swobody, jaką dawała mi moja rola odparłem, że tysiąc łajdaków, którzy w Polsce warcholą i brużdżą, a których Komendant ma na myśli, to nie naród, ale jego znikoma cząstka. **Naród nasz ma wielkie wady, ale ma także duże zalety**. Jest niepodobieństwem, aby tych zalet Komendant nie widział.

Marszałek udobruchał się od razu. Z uśmiechem wysłuchawszy słów moich, powiedział, że sam wie, co jest w Polakach dobrego.

Polacy, – mówił, – **mają w sobie instynkt wolności. Ten instynkt ma wartość i ja tę wartość cenię. W Polsce nie można rządzić terorem. To nie przejdzie. Ja mogłem sobie na wiele pozwolić i korzystałem z tego, bo Polaków chciałem czegoś nauczyć. Tego nie potrafił by nikt inny. Ale instynktu wolności nie można zabijać i zabić go się nie da. I to jest wartość, która ma dużą cenę.**

A inne wartości?

Są i inne. **Polacy nie będą godzili na życie i nie będą przeciw swoim urządzali krwawych zamachów, choć może to uczynić jednostka. Warcholstwo polskie nie zna granic, ale zatrzyma się przed morderstwem. Instynkt morderstwa obcy jest naturze polskiej. Również obcy jest Polakowi instynkt zniszczenia. Polak raczej ukradnie, niż zniszczy**.

To są cechy o charakterze negatywnym.

Mają Polacy i dodatnie właściwości, a śród nich szczególnie cenną i miłą właściwością jest artyzm cechujący ludzi, którzy z prawdziwym zamiłowaniem traktują swój zawód. Taki artysta żyje całkowicie swą pracą, stawia ją na pierwszym planie swego życia. Wszystko inne jest dla niego czymś pobocznym, dodatkowym, niezdolnym przesłonić umiłowanego zawodu. Jest dużo takich artystów śród żołnieży. Mam w tej chwili na myśli żołnierza, który obsługiwał karabin maszynowy. Ta maszyna zastępowała mu rodzinę i życie osobiste, przykuwała do siebie wszystkie jego myśli i wszystkie ambicje. To też nic dziwnego, że doszedł szczytów artyzmu. Takich artystów, jak w Polsce, nidzie nie ma.

Wspomniałem, że i poza wojskiem są tacy ludzie. Można ich spotkać śród rzemieślników i w różnych innych zawodach.

Marszałek zgodził się na to.

To jest właśnie cenne i miłe w Polakach. Mają Polacy jeszcze inne zalety. **Nie puszczą płazem pewnych wykroczeń. Nie pozwolą znieważyć starości lub drwić z ciężarnej kobiety. Tego społeczeństwo polskie nie zniesie**.

Powiedziałem ze swej strony, że śród ludu polskiego jest dużo zdolności i talentów, że kiedy podniesie się poziom kultury mas, nowa energia zasili Polskę.

Ale Marszałek pogrążył się w zamyśleniu. Zdawało mi się, że słów moich nie słyszy. Po pewnej chwili odezwał się niespodzianie.

Myślałem już nie raz, że umierając, przeklnę Polskę. Dziś wiem, że tego nie zrobię. Lecz gdy po śmierci stanę przed Bogiem, będę go prosił, aby nie przysyłał Polsce wielkich ludzi.

Wielcy ludzie potrzebni są każdemu narodowi.

Potrzebni – żachnął się Marszałek, ale co naród polski daje wielkim ludziom i jak się do nich ustosunkowuje! Gdy by nie ja, rzecz wątpliwa, czy powstała by Polska! A gdy by powstała, czyż utrzymała by się przy życiu?

I dodał z wielką siłą;

Ja wiem, com dla Polski uczynił!

Zamilkł – i rozmowa urwała się nagle. Śród głębokiej ciszy, upłynęła chwila, która wydała mi się bardzo długą. – No, już nic więcej dzisiaj o sobie nie powiem.

Wstałem.

Gdym się żegnał z Marszałkiem, twarz jego była zasępiona i gniewna, a w oczach płonęły groźne błyski.

Odniosłem wrażenie, że jest mocno poruszony, że na wspomnienie tego, co dla Polski uczynił i co w Polsce przeżył, w duszy odezwały się najtajniejsze struny. Przyszło mi na myśl, że struny te nieraz muszą dźwięczyć w długich godzinach samotnych rozmyślań, ale, że ich strasznej wymowy nikt prócz Piłsudskiego nie słyszał i nie usłyszy nigdy.

ARTUR ŚLIWIŃSKI

Źródło: magazyn „Podchorąży" Nr 11 (132) rokVII 18 marca 1938 roku

Podkreślenia Redakcji „EP"

Flotylla Pińska

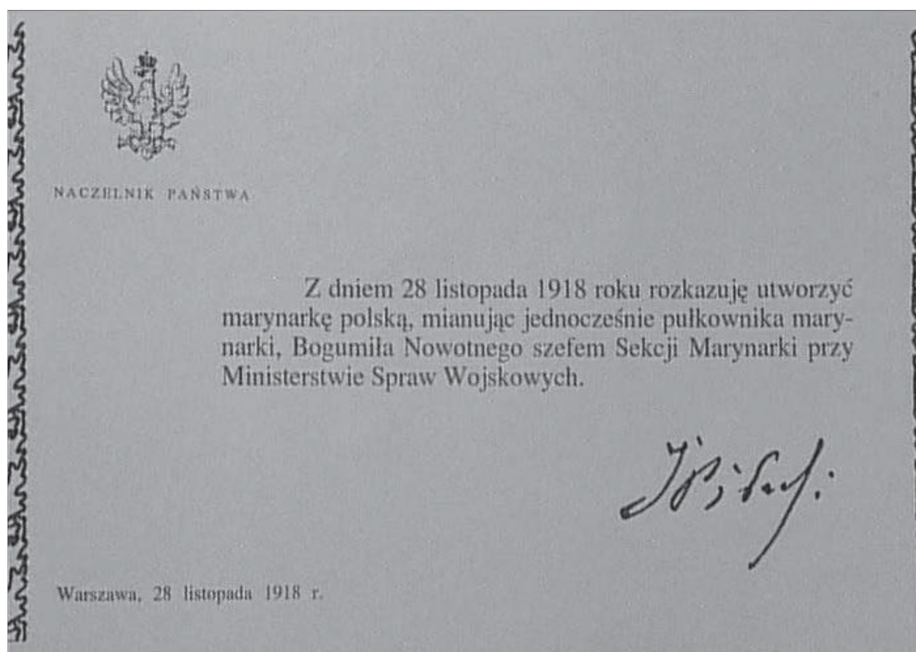
11 listopada 1918 roku, po 123 latach niewoli, odrodziła się Rzeczpospolita Polska. Już po 17 dniach **Naczelnik Państwa Józef Piłsudski wydał rozkaz o utworzeniu Marynarki Wojennej**. Na jej czele stanęła Sekcja Marynarki Wojennej Ministerstwa Spraw Wojskowych, z siedzibą w Warszawie przy ulicy Miodowej. Polska nie miała jeszcze wtedy dostępu do Bałtyku, toteż pierwsze okręty wojenne pojawiły się na śródlądowych drogach wodnych. Już 30 listopada Sekcja Marynarki Wojennej Ministerstwa Spraw Wojskowych objęła port w Modlinie, położony w widłach rzek Wisły i Bugo-Narwi. O dostępie do morza można było wówczas tylko pomarzyć, toteż przez prawie półtora roku Port Wojenny w Modlinie pełnił rolę bazy Polskiej Marynarki Wojennej. Jej zbrojnym ramieniem była wtedy Flotylla Wiślana, utworzona z powracających do Kraju marynarzy rozpadających się flot państw zaborczych i rzecznych jednostek pływających przejętych po niemieckich okupantach".

Na wszystkich granicach Rzeczypospolitej trwały walki. Na wschodnich ziemiach rozpoczęła się inwazja wojsk Rosji bolszewickiej. 5 stycznia 1919 roku Armia Czerwona opanowała Wilno, a później Grodno, zagrażając Białystokowi. Nieliczne jeszcze wówczas oddziały polskie stawiły silny opór, a przechodząc w lutym do kontrofensywy, rozpoczęły długą kampanię wojenną. W tym czasie Flotylla Wiślana patrolowała granicę z Niemcami w dolnym odcinku Wisły. Jednak szczególnie ważnym jej zadaniem było przygotowanie kadr dla planowanej już floty morskiej.

Zimą 1920 roku Flotylla Wiślana uczestniczyła w zajmowaniu Pomorza. 10 lutego w Pucku odbyła się ceremonia zaślubin Polski z morzem. Ważnym punktem uroczystości było podniesienie flagi narodowej i defilada marynarzy. Generał Józef Haller wrzucił w fale Bałtyku symboliczny pierścień, a Feliks Nowowiejski skomponował swą „Legendę Bałtyku":

... i póki kropla jest w Bałtyku
polskim morzem będziesz ty,
bo doprowadzisz do rozkwitu
polskiego ludu złote sny...

Na wschodnich ziemiach Rzeczypospolitej tworzono tymczasem zalążki drugiej flotylli rzecznej, nazwanej od swej bazy w poleskim mieście Pińsk nad rzeką Piną – **Flotyllą Pińską**. W działaniach toczonych od lutego 1919 roku w wojnie Polski z Rosją bolszewicką, na Polesiu wystąpiły wiosną duże trudności komunikacyjne. Szeroko rozlane wody dorzecza Piny i Prypeci tworzyły tak zwane „Morze Pińskie", uniemożliwiające transport zaopatrzenia i utrzymanie łączności. Na Polesiu – słabo zaludnionej krainie, w 2/3 pokrytej lasami i wodami - niezwykle trudno było prowadzić działania wojenne. Brakowało dróg gruntowych. Labirynt poleskich wód – rzek, jezior, starorzeczy i moczarów, nie bez słuszności


NACZELNIK PAŃSTWA

Z dniem 28 listopada 1918 roku rozkazuję utworzyć marynarkę polską, mianując jednocześnie pułkownika marynarki, Bogumiła Nowotnego szefem Sekcji Marynarki przy Ministerstwie Spraw Wojskowych.

Warszawa, 28 listopada 1918 r.

nazywano „poleską dżunglą". Jak wspominał por. mar. Jan Bartlewicz: Roztopy wiosenne w gęstej sieci rzecznej, na bagnistym terenie walk grupy podlaskiej generała Antoniego Listowskiego stworzyły trudne warunki dla walczących tu oddziałów polskich.

Nakazem chwili stało się utworzenie współdziałającego z wojskiem oddziału bojowego wyposażonego w jednostki pływające. Realizację tego celu umożliwiło wyzwolenie Pińska.

Na początku kwietnia 1919 roku do generała Listowskiego zgłosił się były oficer rosyjskiej marynarki wojennej **Jan Giedroyć**. Zaproponował, aby wykorzystując pozostawiony w Pińsku sprzęt niemiecki, utworzyć zespół motorówek do służby rozpoznawczej i transportowej. Wyremontowano trzy łodzie, nadając im nazwy „Lisowczyk", „Lech" i „Lizdejko".



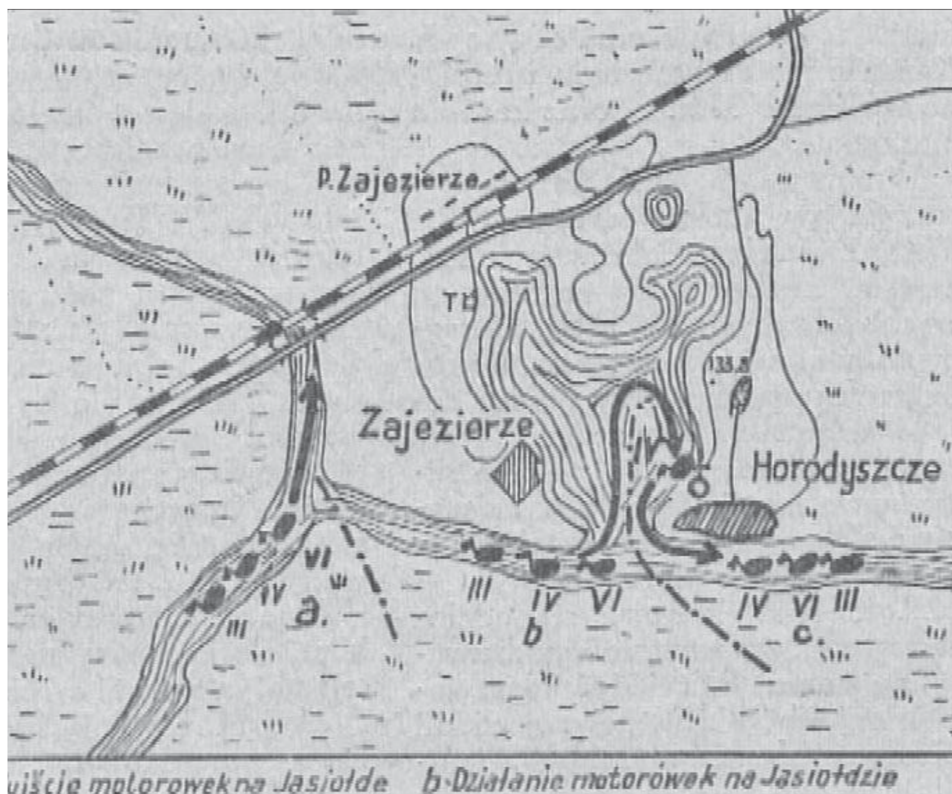
Dowództwo Wojska Polskiego na froncie wschodnim w 1919 r.

19 kwietnia generał Listowski powołał Giedroycia do służby w stopniu porucznika marynarki, mianując go dowódcą zespołu motorówek. Dzień ten **uznano jako datę powstania Flotylli Pińskiej**, rozbudowanej w ciągu roku do ponad 20 jednostek bojowych i transportowych. Dorzecze Piny i Prypeci stwarzało duże możliwości komunikacyjne. Miało połączenie: na wschodzie z Dnieprem, na zachodzie – poprzez Kanał Królewski i Muchawiec z Bugiem, a na północy poprzez Kanał Ogińskiego z dorzeczem Niemna. Zadanie postawione przed pierwszymi załogami Flotylli było trudne, gdyż bolszewicy mieli w dorzeczu Prypeci wiele dużych i silnie uzbrojonych jednostek Flotylli Dnieprzańskiej, sformowanej z zarekwirowanych rzecznych statków handlowych.

Do pierwszych potyczek polskich uzbrojonych łodzi motorowych z jednostkami rosyjskimi doszło 25 maja 1919 roku w rejonie miejscowości Mosty Wolańskie. Jednak prawdziwy chrzest bojowy przeszły wszystkie motorówki Flotylli w walkach o Horodyszcze, 3 lipca 1919 roku. Była to część operacji przeprowadzonej dla zdobycia ważnego węzła drogowego i kolejowego – Łunińca, zwanego „kluczem do Polesia". Wspominał chorąży marynarki Stanisław Wieczorkiewicz:

W akcji zdobywania silnie umocnionych pozycji pod wsią Horodyszcze działała Flotylla Rzeczna w składzie trzech uzbrojonych łodzi motorowych. Pod osłoną oparów i mgły przeszła Flotylla ze starej Piny na Jasiołdę i posuwała się w szyku torowym wzdłuż ściany szuwarów lewego brzegu rzeki. Chociaż nieprzyjaciel zasypywał zbliżający się oddział gradem kul karabinów maszynowych i ogniem artyleryjskim, nacierał on całą mocą na pozycje nieprzyjacielskie od strony rzeki Jasiołdy i jeziora horodyskiego. Pod osłoną czterech karabinów maszynowych i jednej armatki udało się Flotylli wysadzić desant. **Zdobycie Horodyszcza** zapisane zostało złotymi zgłoskami w historii Flotylli Rzecznej i trzeci lipca, jako dzień okrycia się sławą małego wówczas oddziału bojowego, wyznaczony **zostaje Świętem Flotylli Rzecznej**.

Zwycięstwo to przyczyniło się do sukcesu całej operacji. W zdobytym Łunińcu zakwaterowało dowództwo oddziałów gen. Antoniego Listowskiego. Po bitwie horodyskiej Flotyllę



Walki Flotylli Pińskiej pod Horodyszczem, 3.VII.1919 r.

wzmocniono. W połowie lipca miała już sześć uzbrojonych motorówek. Przydzielono jej też uzbrojony parowiec „Bug”. Wypłynął on z basenu portowego w Modlinie, aby 7 sierpnia – po 20 dniach żeglugi rzeką Bug i Kanałem Królewskim – dotrzeć do Pińska. Nieco później wysłano tam też dwie motorówki uzbrojone, a we wrześniu statek „Warta” i trzy pontony. Podróż drogą wodną z dorzecza Wisły do Pińska nie była wtedy łatwa ze względu na przeszkody nawigacyjne. W trakcie wspomnianego rejsu statku „Bug”, z Modlina przez Brześć nad Bugiem, Muchawiec i Pinę, załoga parowca musiała rozebrać aż jedenaście mostów. Z bazy modlińskiej pochodziły także dalsze uzupełnienia - jednostki pływające, sprzęt oraz wyszkolony personel.

Na terenie bazy wojskowej w Modlinie zachował się jeszcze budynek, w którym mieściła się Komenda Portu Wojennego. Jej komendant był jednocześnie dowódcą Batalionu Morskiego w Modlinie. Pochodziła z niego większość uzupełnień Flotylli. W lipcu 1919 roku wyjechało stąd do Pińska kilkudziesięciu marynarzy. W kolejnych miesiącach wyjeżdżali następni. Działania wojenne na wodach Prypeci wygasły wraz z zamarznięciem rzeki. Nową fazę walk wyznaczyła wiosna 1920 roku.

Ważnym wydarzeniem było zdobycie Mozyrza w marcu 1920 roku. Flotyllę Pińską zasiliło kilkanaście zdobytych tam jednostek rosyjskiej Flotylli Dnieprzańskiej. Najważniejszą z nich był statek opancerzony „Trachtomirow”, który po podniesieniu polskiej bandery otrzymał nazwę „Pancerny Jeden”. Inne zdobyte statki weszły w skład oddziału transportowego. Zarówno „Pancerny Jeden”, jak i inne statki zdobyte w Mozyrzu miały niespotykany już dzisiaj napęd bocznymi kołami łopatkowymi. Jednostki tego rodzaju najlepiej sprawdzały się w działaniach na płytkich i zarośniętych wodach rzecznych...

W działaniach wojennych na Polesiu obie strony używały zarekwirowanych statków handlowych, przystosowanych do zadań bojowych. Prowizorycznie opancerzano jednostki belkami drewnianymi, arkuszami blachy oraz workami z piaskiem, osłaniając w ten sposób sterówki, maszynownie, koła łopatkowe i inne ważne części statku. Najpierw pokrywano chroniony element blachą stalową prawie centymetrowej grubości, następnie ustawiano przed nią osłonę z desek. Powstałą przestrzeń wypełniano przeważnie piachem. Opancerzenie takie chroniło przed pociskami z broni strzeleckiej i maszynowej. Polskie jednostki uzbrajano na ogół w dwie armaty polowe kalibru 75-milimetrów, osadzone na obrotowych podstawach i do czterech karabinów maszynowych. Rosyjskie miały często silniejszą artylerię – armaty morskie 120 i 130 - milimetrowe.

Uzupełnienia w sprzęcie pływającym i personelu przydały się przed kampanią 1920 roku. Celem ofensywy polskiej na Ukrainie było wyprzedzenie uderzenia Rosji bolszewickiej na Polskę i zachodnią Europę. Równie ważnym

zadaniem było udzielenie pomocy władzom Ludowej Republiki Ukraińskiej, na czele z atamanem Semenem Petlurą, w umocnieniu niepodległego, antybolszewickiego państwa ukraińskiego ze stolicą w Kijowie.

27 kwietnia 1920 roku na rzece Prypeć, pod zdobywanym przez Wojsko Polskie ukraińskim Czarnobylem, rozegrała się największa, bo prawie dwunastogodzinna, **bitwa rzeczna operacji kijowskiej**. Przeciwko okrętom bolszewickiej Flotylli Dnieprzańskiej walczyły jednostki Flotylli Pińskiej pod dowództwem kpt. mar. Aleksandra Olszewskiego – statek uzbrojony „Pancerny 1" i 4 uzbrojone motorówki. Najważniejszą walkę stoczono w zakolu rzecznym poniżej Czarnobyla. Kulminacyjnym momentem był pojedynek artyleryjski między polskimi jednostkami a sześcioma bolszewickimi statkami uzbrojonymi i opancerzonymi. Mimo wielkiej przewagi artyleryjskiej wroga Polacy uzyskali sukces. „Pancerny 1" trafił w komorę amunicyjną statku opancerzonego „Gubitielnyj". Utrata jednostki zdeprymowała bolszewików do tego stopnia, że wycofali się ku Dnieprowi. Polski pościg uzyskał jeszcze szereg trafień w inne jednostki wroga, lecz i „Pancerny 1" doznał uszkodzeń. Zespół wycofał się do Czarnobyla, a polski zwiad ustalił, że bolszewickie okręty nadal pilnowały rzecznej drogi do Kijowa – ujścia Prypeci do Dniepru.

Ofensywa polsko-ukraińska na Kijów rozwijała się pomyślnie również na froncie lądowym. Tylko w okresie od 25 kwietnia do 1 maja wzięto do niewoli około 25 tysięcy jeńców, zdobyto 2 pociągi pancerne, 120 dział i ponad 400 karabinów maszynowych. Rozbite siły bolszewickie cofały się w nieładzie...

7 maja 1920 roku wojska bolszewickie oddały bez walki prawobrzeżną część Kijowa. W ciągu tygodnia Polacy opanowali także i inne miasta nad Dnieprem. W ten sposób 350-kilometrowy odcinek rzeki, od Gorowala na północy do Tripolja na południu, znalazł się w rękach polskich. Kiedy 9 maja oddziały polskie sforsowały mosty w Kijowie i utworzyły przyczółek na lewym brzegu rzeki, silna bolszewicka Flotylla Dnieprzańska, odeszła w górę i w dół rzeki, otwierając drogę jednostkom Flotylli Pińskiej stojącym na Prypeci.

9 maja 1920 roku na słynnym Kreszczatiku w Kijowie, ludność miasta, gnębiona przez bolszewików, owacyjnie witała oswobodzicieli. Przed Naczelnym Dowódcą Wojsk Polskich, marszałkiem Józefem Piłsudskim i szefem sprzymierzonego z Polską narodowego rządu Ukraińskiej Republiki Ludowej, atamanem Semenem Petlurą, defilowały oddziały polskie i wolnej Ukrainy. Wśród jednostek polskich nie zabrakło spieszonych marynarzy Flotylli Pińskiej, wspomagających piechotę w wielu akcjach bojowych.

W samym tylko porcie kijowskim zdobyto 17 statków i kilkadziesiąt innych jednostek bolszewickich. Naczelne Dowództwo Wojska Polskiego postanowiło sformować nowy oddział bojowy – **Flotyllę Kijowską**. Mimo braków w uzbrojeniu artyleryjskim szybko uruchomiono trzy statki wyposażone w ckm-y. Wraz z kolejnymi jednostkami w polskiej służbie patrolowały rzekę a także dowoziły żywność dla garnizonu kijowskiego oraz opał dla miejskiej elektrowni. Gdy po sześciu dniach wpłynęły


Widok Pińska w okresie sprzed 1939 r.

do Kijowa pierwsze jednostki Flotylli Pińskiej – motorówki bojowe nr 1 i 2 pod dowództwem por. mar. Borysa Mohuczego, a później statek uzbrojony „Pancerny 1", Flotylla Kijowska rozpoczęła służbę bojową. 22 maja podporządkowano ją dowódcy Flotylli Pińskiej.

Zdobycie Kijowa rozszerzyło zadania polskiej Flotylli na Dnieprze. Należało patrolować rzekę na odcinku prawie dwustu kilometrów – od rejonu ujścia Prypeci, aż za Kijów – do rejonu Tripolja. Trzeba było też utrzymywać łączność przez Prypeć z Pińskiem.Tymczasem już 21 maja rozpoczęły się pierwsze ataki wojsk bolszewickich, wspieranych przez jednostki Flotylli Dnieprzańskiej. W końcu maja nastąpił dramatyczny zwrot w tej kampanii. Uderzenia armii bolszewickiej zmusiły Wojsko Polskie oraz sojusznicze oddziały ukraińskie do opuszczenia Kijowa i pospiesznego odwrotu. Widmo zagłady zawisło nad polskimi okrętami na Dnieprze.

7 czerwca wojska bolszewickiej Rosji opanowały ujście Prypeci, odcinając jednostkom Flotylli drogę na zachód. Nieuniknione stało się samozatopienie okrętów i ewakuacja ich załóg lądem. Cztery dni później na Dnieprze pod Mieżegoriem wysadzono w powietrze dumę Flotylli – statek uzbrojony „Pancerny Jeden". Podobny los spotkał również inne polskie jednostki. Siły polskie na Prypeci toczyły walki odwrotowe, kierując się na zachód – do Pińska. Walczono z wrogimi okrętami, ale częściej z trudnymi warunkami żeglugi. Trzeba było pogłębiać drogi wodne dla przeciągnięcia większych jednostek. Próba przejścia na Wisłę nie powiodła się. Nieuniknione stało się zniszczenie lub pozostawienie części taboru. Tak było pod Koczanowiczami i w Pińsku. 2 sierpnia 1920 roku Flotylla Pińska została rozformowana. Jej personel kontynuował walkę w szeregach Pierwszego Pułku Morskiego i w ramach Flotylli Wiślanej.

W kampaniach lat 1919 i 1920 Flotylla Pińska wykazała przydatność operacyjną walcząc z silniejszym przeciwnikiem pod Horodyszczem, Petrykowem, Remiezami, Łomaczami, Koszarówką, Lelowem, Czarnobylem, Rzyszczewem, Puchówką i Okuninowem.

Powrót na Pinę i Prypeć stał się możliwy po zwycięskich bitwach: warszawskiej, a później niemeńskiej, odsuwających od Europy groźbę bolszewickiej inwazji.

11 października 1920 roku utworzono w Pińsku Oddział Detaszowany Flotylli Wiślanej na Prypeci. Po zawarciu rozejmu, na początku listopada miał już 13 motorówek uzbrojonych, zakupionych w Czechosłowacji. Do podpisania traktatu pokojowego, w marcu 1921 roku, Oddział trwał w gotowości bojowej. Motorówki patrolowały dorzecze Prypeci, zwalczały dywersję i bandytyzm. Ważnym zadaniem była współpraca przy wydobywaniu jednostek pływających, zatopionych w czasie odwrotu latem 1920 roku. W roku następnym wydobyto ich kilkadziesiąt. Były wśród nich jednostki cywilne, jak bocznokołowiec „Sekunda" i wiele innych oraz dawne



Jedna z trzech uzbrojonych łodzi motorowych w walkach pod Horodyszczem


Statek opancerzony „Pancerny 1" w działaniach wojennych nad Prypecią – wiosna 1920 r.

rosyjskie statki zmilitaryzowane. Zostały one wcielone po remoncie w skład Oddziału, jako statki uzbrojone: „Generał Szeptycki", „Admirał Dickmann", „Hetman Chodkiewicz", „Admirał Sierpinek" i „Generał Sikorski".

1 stycznia 1922 roku Oddział Wydzielony Flotylli Wiślanej na Prypeci **przemianowano na Flotyllę Pińską**. Jej dowódcą został kpt. mar. Marian Wolbek. Główną siłą bojową były opancerzone statki uzbrojone wyposażone w armaty 75-milimetrowe, uzbrojony statek sztabowy oraz dwie grupy motorówek, z działkami 37 milimetrów i karabinami maszynowymi. Tabor pomocniczy stanowiły: holownik oraz krypy – transportowe, mieszkalne, warsztatowe i łodzie przewozowe. Na naprawdę nowoczesne jednostki bojowe Flotylla Pińska czekała do maja 1922 roku, gdy z Flotylli Wiślanej przybyły dwa pierwsze silnie uzbrojone i opancerzone okręty artyleryjskie – monitory: „Warszawa" i „Mozyrz".

Monitory były największymi i najsilniejszymi okrętami Flotylli Pińskiej (później przemianowanej na Flotyllę Rzeczną Polskiej Marynarki Wojennej) porównywanymi często obrazowo do morskich pancerników. W latach dwudziestych Flotyllę Pińską zasiliło sześć okrętów klasy wspomnianego już „Żelezniakowa", choć od niego mniejszych. Cztery zbudowano w 1920 roku w Gdańsku. Były to Okręty Rzeczypospolitej Polskiej: „Warszawa", „Horodyszcze", „Pińsk" i „Mozyrz" (wszystkie o wyporności 110 ton). Pozostałe dwa -„Kra-


Jednostka polska biorąca udział w pojedynku artyleryjskim na Prypeci k/Czarnobyla w dniu 27.IV.1920 r. przeciw 6 bolszewickim statkom opancerzonym

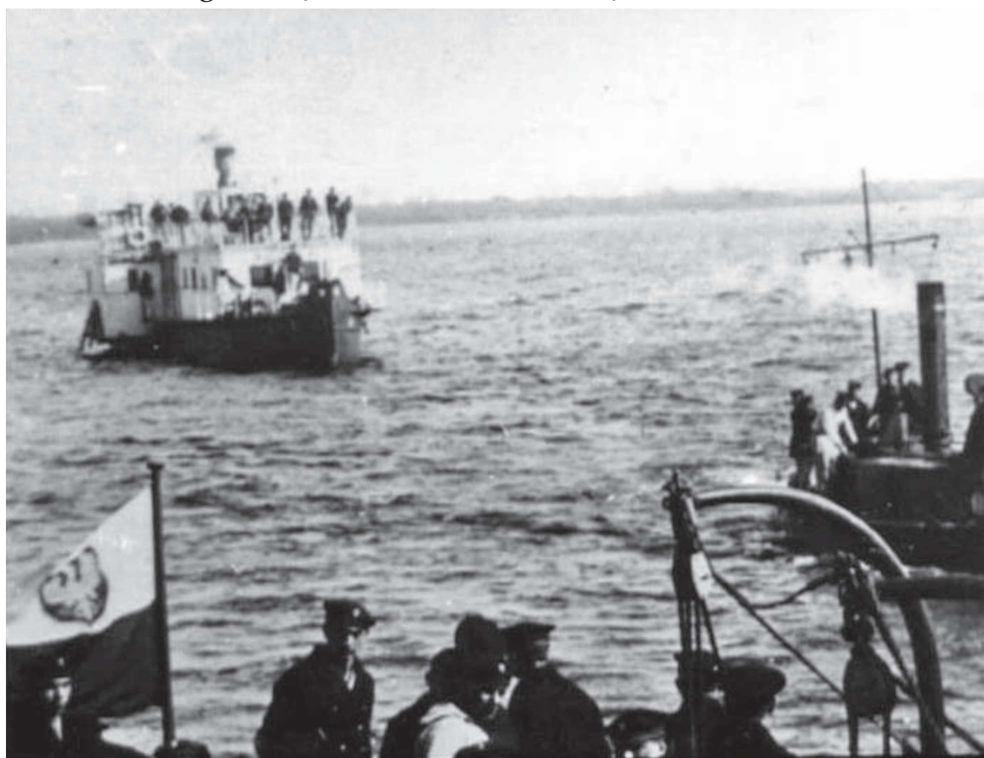
ków" i „Wilno" (o wyporności 70 ton), zwodowano w 1926 roku w Krakowie.

Od lipca do grudnia 1920 roku, z pochylni stoczni Danziger Werft w Wolnym Mieście Gdańsku spłynęły cztery nowoczesne jednostki dla polskich flotylli rzecznych. Były to monitory, czyli opancerzone okręty o małym zanurzeniu i silnej artylerii. Zaprojektowane już w połowie 1919 roku, wzmocnić miały naszą Flotyllę Rzeczną w działaniach przeciw bolszewikom. Niemiecka załoga stoczni, pod wpływem bolszewickiej agitacji, sabotowała harmonogram budowy, tak że żaden z okrętów nie zdążył już wziąć udziału w tej wojnie.

Monitory rzeczne zbudowane w Gdańsku: „**Horodyszcze**", „**Pińsk**", „**Warszawa**" i „**Mozyrz**" (przemianowany później na „Toruń") były – jak na warunki Polesia – dużymi jednostkami. Uzbrojenie artyleryjskie składało się z dwóch dział 105-milimetrowych, a po przebudowie w 1938 roku z trzech dział 75 mm.

Do obrony przeciwlotniczej służyły karabiny maszynowe. Okręt miał pancerz grubości do 14 milimetrów, później ulepszony – cieńszy i lżejszy. Do napędu służyły silniki spalinowe o mocy 180, później – 200 koni mechanicznych. Pozwalało to monitorowi rozwijać prędkość do 16 km na godzinę. Mankamentem okrętów było znaczne zanurzenie, sięgające 80 centymetrów. Zastosowanie doczepianych pływaków zmniejszało je o około 20 centymetrów, ułatwiając pływanie na płytkich wodach Polesia. Niski stan wód sprawiał jednak, że nawet to zanurzenie okazywało się zbyt duże.

Doświadczenia z eksploatacji monitorów typu „gdańskiego" sprawiły, że Kierownictwo Marynarki Wojennej zamówiło dwa okręty tej klasy o dwukrotnie mniejszym zanurzeniu - zaledwie 39 centymetrów. **Nowe monitory** zbudowano w Stoczni Rzecznej Polskich Fabryk Maszyn i Wagonów Ludwika Zieleniewskiego w Krakowie. Okręty otrzymały nazwy „**Kraków**" i „**Wilno**". ORP „Kraków" został przekazany Marynarce w końcu sierpnia 1926 roku, zaś „Wilno" – miesiąc później. Uroczyste podniesienie bander miało miejsce 31 października w Warszawie – w obecności prezydenta Rzeczypospolitej Ignacego Mościckiego. Jednostki uzbrojono w dwa działa 75-milimetrowe i 100-milimetrową haubicę oraz ciężkie karabiny maszynowe. Silniki o mocy 120 koni mechanicznych pozwalały na osiąganie prędkości do 14 kilometrów na godzinę. Opancerzenie monitorów typu „krakowskiego" nie przekraczało ośmiu milimetrów. Na wiosnę 1927 roku „Kraków" i „Wilno" weszły wskład Pierwszego Dywizjonu Bojowego Flotylli Pińskiej. Z czasem monitory „krakowskie" poddawano przeróbkom. Najpoważniejszą z nich była wymiana armat 75-milimetrowych na potężniejsze 100-milimetrowe haubice. Popularne stało się wśród pińskich marynarzy powiedzenie: „Nasze monitory rzeczne są dla wroga niebezpieczne".



Dawny statek zmilitaryzowany wydobyty „Admirał Sierpinek"

O wartości Flotylli Pińskiej obok okrętów decydowali ludzie. Do Flotylli trafiali początkowo oficerowie wywodzący się

z marynarek państw zaborczych.

Podczas wojny Polski z Rosją bolszewicką na Pinie, Prypeci i Dnieprze doświadczenie zdobywali przyszli oficerowie i podoficerowie Polskiej Marynarki Wojennej. Po odtworzeniu Flotylli Pińskiej w marcu 1922 roku dowodzili nią: kapitan marynarki **Marian Wolbek**, a później komandor porucznik **Władysław Blinstrub**.



Opancerzony statek uzbrojony – główna siła bojowa Flotylli Pińskiej (1922)

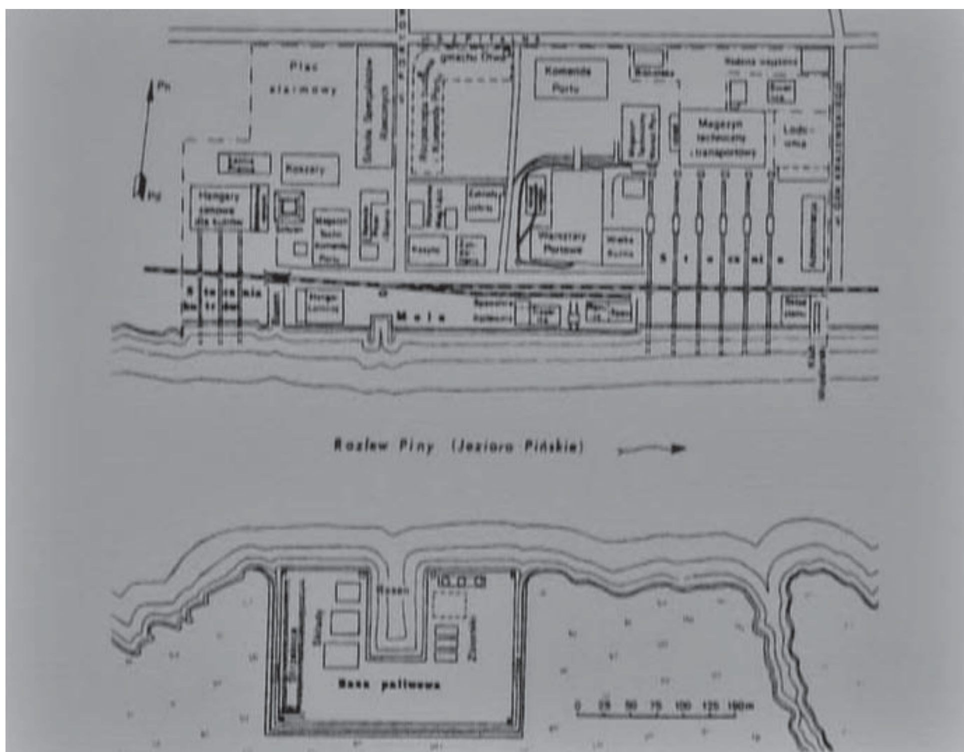
W 1927 roku komendę objął komandor podporucznik Witold Zajączkowski, szybko awansowany do stopnia komandora. Dowodząc Flotyllą aż do września 1939 roku wywarł największy wpływ na jej rozwój. I choć niektórzy oficerowie służbę w Pińsku traktowali jako swego rodzaju zesłanie, komandor Zajączkowski pozostał wierny swojej „słodkowodnej" flocie. Dla niej odrzucił atrakcyjną propozycję studiów we francuskiej Ecole de Guerre Navale.

Pod dowództwem komandora Zajączkowskiego wzrósł potencjał bojowy Flotylli Pińskiej. Jej trzon stanowiło sześć monitorów typów „gdańskiego" i „krakowskiego" – po dwa w każdym z trzech oddziałów bojowych. Z pierwszych lat Flotylli pozostawały w służbie bocznokołowe statki uzbrojone. Były to przebudowane jednostki cywilne, opancerzone i uzbrojone w działa 75 mm. oraz w karabiny maszynowe. Trzy największe – o długości około czterdziestu metrów - to: „**Generał Szeptycki**", „**Admirał Dickmann**" oraz „**Hetman Chodkiewicz**". Z chwilą pojawienia się na Pinie nowoczesnych monitorów rzecznych, znaczenie statków uzbrojonych jako głównej siły bojowej Flotylli znacznie spadło. Szukano dla nich nowych zastosowań.



Jednostka cywilna bocznokołowiec „Sekunda" zatopiony podczas odwrotu w 1920 r. i wydobyty

W 1931 roku powrócił do Flotylli Pińskiej jej dawny statek uzbrojony „Generał Sosnkowski". Przez cztery lata wykorzystywany był na Zatoce Gdańskiej jako szkolny okręt torpedowy. Po przybyciu do Pińska został przebudowany na statek szpitalny. „Generał Sikorski" i „Hetman Chodkiewicz" zostały przezbrojone na statki obrony przeciwlotniczej. **Funkcję statku sztabowego Flotylli pełnił w latach dwudziestych i trzydziestych „Admirał Sierpinek**". Była to duża jednostka. Przy prawie 120 tonach wyporności miała 45 metrów długości i 5 szerokości. Maszyna parowa o mocy 80 koni mechanicznych nadawała „Sierpinkowi" prędkość 13 km/h. Załogę stanowiło około pięćdziesięciu marynarzy.



Schemat rozlokowania Flotylli Pińskiej

Dużym wzmocnieniem Flotylli Pińskiej były trzy rzeczne kanonierki „Zaradna", „Zawzięta" i „Zuchwała", po jednej w każdym z oddziałów bojowych. Zbudowane w latach 1932-33 w Warsztatach Portowych Marynarki Wojennej w Pińsku, miały wyporność ponad 30 ton i długość 18 metrów. Teopancerzone jednostki – z miały silne uzbrojenie: 100-milimetrową haubicę, działko 37 milimetrowe i ciężki karabin maszynowy.

Ważną klasę jednostek stanowiły kutry uzbrojone trzech podstawowych typów: austriackiego, czeskiego i pińskiego. Były to łodzie motorowe o długości około dziesięciu metrów, często z opancerzonymi nadbudówkami, uzbrojone w działko 37 mm i karabin maszynowy lub tylko w broń maszynową.



Dowództwo Flotylli, od 1931 roku nazywanej już **nie Pińską, a Rzeczną**, kładło duży nacisk na budowę nowoczesnych jednostek. Wykorzystywano własne Warsztaty Portowe oraz Stocznię Rzeczną w Modlinie. W 1928 roku, na terenach zlikwidowanego już Portu Wojennego

w Modlinie, powstała Stocznia Rzeczna Państwowych Zakładów Inżynierii. Zachowała się do dziś część obiektów modlińskiej stoczni – budynek dawnej traserni i kadłubowni. W 1932 roku rozpoczęto tu budowę dla Flotylli Pińskiej ciężkiego kutra uzbrojonego „Nieuchwytny". Z planowanej serii czterech okrętów zbudowano tylko jeden – ORP „Nieuchwytny" o długości 23 metrów. Uzbrojony był w dwa działa kalibru 40 i 37 milimetrów oraz karabin maszynowy. Rozwijał prędkość 24 km/h.

W końcu kwietnia 1934 roku, w basenie modlińskiej Stoczni RzecznejPZInż. przeprowadzono próby odbiorcze „Nieuchwytnego" a 27 kwietnia podniesiono na nim banderę wojenną. W trzy dni później okręt odpłynął do Pińska. Według założeń projektowych przeznaczony był głównie do działań na płytkich i wąskich dopływach Prypeci.

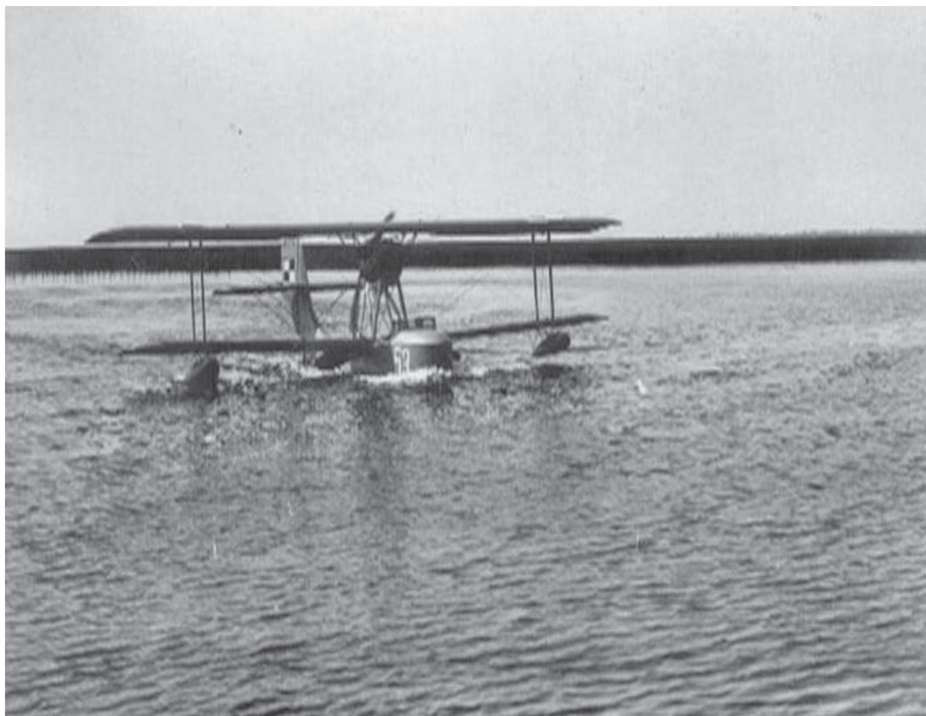
Ciekawą odmianą kutra uzbrojonego była prototypowa jednostka, zbudowana z alupolonu – lekkiego metalu wynalezionego w Polsce. Sklasyfikowana jako ścigacz, miała niewielką wyporność dziewięciu ton lecz silne uzbrojenie – dwa najcięższe karabiny maszynowe. Budowę ścigacza rzecznego KU 30, rozpoczętą w Warsztatach Portowych Marynarki Wojennej w Pińsku, zakończyła Stocznia Rzeczna PZInż. w Modlinie. Ostatnie próby przeprowadzono w kwietniu 1935 roku w ujściu Narwii do Wisły. Zakończyły się one pełnym sukcesem. Ścigacz osiągnął prędkość 42 km/godz., o 10 km większą od zaplanowanej.

W działaniach wojennych na Pinie i Prypeci przewidywano użycie broni minowej. Na wąskich rzekach miny były dużym zagrożeniem nawet dla okrętów pancernych. Dlatego Flotylla wyposażona była w trałowce – większe (z napędem śrubowym), opancerzone i dobrze uzbrojone oraz lżejsze bocznokołowce. Te niewielkie jednostki, zbudowane w Warsztatach Portowych w Pińsku,mogły stawić i trałować miny. Największą jednostką Oddziału Minowo – Gazowego Flotylli była „Mątwa" o długości 35 metrów. Uzbrojona w ciężki karabin maszynowy, przystosowana była do transportu i stawiania 160 min rzecznych typu „Rybka". Flotylla Pińska miała także liczne jednostki pomocnicze: holowniki, ślizgacze, oraz barki – krypy transportowe różnej wielkości i przeznaczenia.

Od 1927 roku do wybuchu wojny **Warsztaty Portowe Marynarki Wojennej w Pińsku** zbudowały między innymi: trzy kanonierki, dwadzieścia osiem kutrów uzbrojonych, cztery kutry trałowe bocznokołowe i trzy śrubowe, statek minowo-gazowy, ścigacz rzeczny, dwa holowniki, ponad trzydzieści kryp i setki łodzi. W warsztatach dokonywano remontów i wytwarzanocałe wyposażenie jednostek pływających.

Główną bazą Flotylli Pińskiej, później Rzecznej, Marynarki Wojennej był Pińsk - miasto powiatowe w Województwie Poleskim. Położone u zbiegu ważnych dróg lądowych i szlaków wodnych – rzek Piny, Strumienia i Prypeci, stanowiło centrum administracyjne i gospodarcze tej krainy. Pińsk był największym portem Polesia. Linie żeglugowe łączyły go z innymi rejo-


Szkolenie wojskowe marynarzy



Wodnopłatowiec w służbie Flotylli Pińskiej

nami wschodniej Polski. W kilkanaście godzin można było dopłynąć pod granicę radziecką do Dawidgródka, a przez Kanał Królewski do Brześcia nad Bugiem. W mieście było ponad dwadzieścia szkół różnych typów, z najbardziej prestiżowym Państwowym Gimnazjum imienia Józefa Piłsudskiego przy ul. Kościuszki i Wyższym Rzymskokatolickim Seminarium Duchownym. Istniał teatr i kina, wydawano kilka dzienników, działały liczne organizacje społeczne i kulturalne.

Szczególny koloryt nadawali miastu marynarze. **Życie Flotylli Pińskiej** skupiało się w obrębie Portu Wojennego. Położony na zachód od centrum miasta oddzielony był od niego wysokim murem. Betonowo-drewniane nabrzeże portu miało aż 500 metrów długości. Obok Komendy Portu Wojennego oraz kasyn: oficerskiego i podoficerskiego, znajdowały się tutaj między innymi budynki koszarowe, radiostacja, hangar lotniczy, schrony i Warsztaty Portowe Marynarki Wojennej. W ich skład wchodziły: biuro konstrukcyjne, warsztaty różnych specjalności, elektrownia, odlewnia i kuźnia. Trzy pochylnie służyły do spuszczania na wodę budowanych okrętów, a także zimujących na lądzie mniejszych jednostek i wodnosamolotów. Nad bezpieczeństwem przeciwpożarowym czuwała portowa Straż Ogniowa.

Na drugim brzegu Piny znajdowały się bazy - paliwowa i amunicyjna. Wobec zagrożenia ze strony wywiadów niemieckiego i sowieckiego, Dowództwo Flotylli już w latach dwudziestych zakazało fotografowania i filmowania obiektów wojskowych i okrętów. To, co wówczas było naruszeniem tajemnicy wojskowej, dziś jest świadectwem historii...

W specyficznych warunkach terenowych Polesia obserwacja była bardzo utrudniona. Dlatego już w latach dwudziestych Dowództwo Flotylli dążyło do uzyskania samolotów. Wybór padł na wodnosamoloty, które mogły wodować na licznych tu rzekach i jeziorach...

Jedyny sprzęt latający, nadający się do współpracy z Flotyllą Pińską, posiadał **Morski Dywizjon Lotniczy** stacjonujący w Pucku. Nic więc dziwnego, że Dywizjon obciążono zadaniem zorganizowania plutonu rzecznego. Wybrano lekkie amfibie Schreck FBA, najlepiej przystosowane do działań na wodach śródlądowych. Latem 1926 roku wysłano z Pucka na Polesie trzy amfibie tego typu. W następnym roku odleciało do Pińska sześć samolotów. Trasę z Pucka do Pińska pokonywano lotem, z lądowaniem na Wiśle w Warszawie i w Modlinie. Manewry z okrętami Flotylli wykazały ogromną przydatność wodnosamolotów na rzekach Polesia. W maju 1928 roku sformowano w Morskim Dywizjonie Rzeczny Pluton Lotniczy, przeniesiony na stałe do Pińska.

W 1933 roku Rzeczny Pluton Lotniczy rozwinięto do rozmiarów Eskadry. Dla jej samolotów wybudowano w Porcie Wojennym specjalny hangar. Współpracę samolotów z okrętami Flotylli wspominał starszy sierżant Franciszek Wardaliński:

Płatowce startowały z rozlewiska Piny i wzdłuż jej koryta leciały do wyznaczonego

punktu. Po drodze spotykały monitory idące już tą drogą od kilku godzin. Celem lotu był duży ponton z obszernym pokładem, na którym czekali już mechanicy i oficerowie łącznikowi z Flotylli. Hydroplan wodował przy pontonie. Załoga omawiała z oficerami marynarki ćwiczenia i odlatywała na zadanie. Po odnalezieniu celu lotnicy wracali nad monitor i przelatywali nad nim kursem prosto na cel strzelając rakietę. Padała salwa z monitora. Lotnicy wracali nad monitor przelatując z lewej lub prawej strony zależnie od błędu ostatniej salwy i rakietami informowali załogę o trafieniach. Mimo tak prymitywnych metod, przy trzeciej salwie cel zazwyczaj był trafiony.

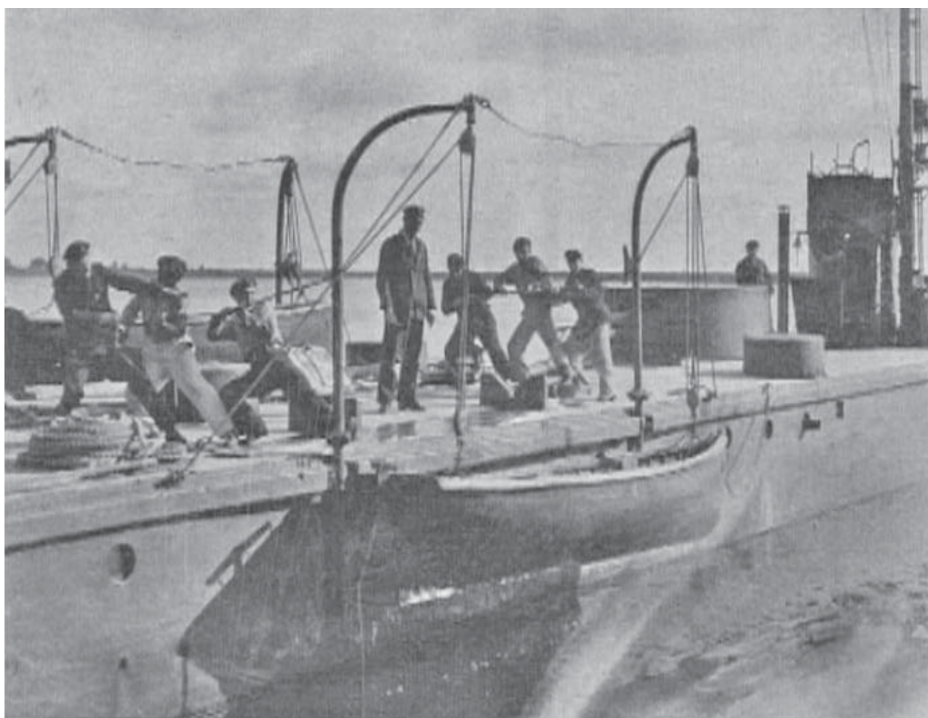
Samoloty Rzecznej Eskadry Lotniczej były stopniowo wycofywane wskutek zużycia. Niewiele pomogło wysłanie z Pucka do Pińska w 1936 roku trzech nowocześniejszych wodnosamolotów Lublin R-XIII bis, zbliżonych konstrukcją do tych na zdjęciach. Ostatecznie pod koniec 1937 roku Eskadrę – stanowiącą „oczy" Flotylli – z braku sprzętu rozwiązano.

Flotylla Pińska żyła rytmem odmierzanym przez pory roku. 1 maja rozpoczynała się kampania letnia. Jednostki wyruszały z portu na obszar „morza pińskiego". Tam przeprowadzano ćwiczenia przeciwgazowe, maskowaniaprzed obserwacją z powietrza, strzelania artyleryjskie i z broni maszynowej. Okręty rozmieszczano w rejonach o znaczeniu strategicznym, jak mosty, przeprawy, czy węzły drogowe. Duże znaczenie miała wysunięta baza Nyrcza w pobliżu granicy polsko-radzieckiej. Późną jesienią kończyła się kampania letnia. Przy nabrzeżu cumowało wówczas ponad osiemdziesiąt okrętów i statków. Zimą jednostki remontowano, a ich załogi szkoliły się. Życie Flotylli przenosiło się na ląd – głównie do budynków koszarowych i Szkoły Specjalistów Rzecznych. Wykorzystywano zaległe urlopy, a marynarze częściej wychodzili na przepustki.

Garnizon flotylli rzecznej był w Pińsku jakby odrębnym organizmem. Działała Spółdzielnia, emitująca na terenie Portu Wojennego własny pieniądz zastępczy. Jego sił nabywcza równa była obowiązującej walucie. Działały organizacje społeczne i kulturalne. Życie religijne koncentrowało się w katedrze pińskiej, będącej zarazem kościołemgarnizonowym. Tu po dziś dzień kultem wiernych otoczony jestobraz Matki Boskiej Pińskiej – patronki marynarzy Flotylli.

Dowództwo kładło duży nacisk na pracę kulturalną i sportową. Powodzeniem cieszył się Teatr Marynarski. Działał Klub Sportowy „Kotwica". Marynarze uczestniczyli w zawodach sportowo-obronnych, w konkurencjach: biegach, pięcioboju lekkoatletycznym, skoku o tyczce, pływaniu, siatkówce, koszykówce, a także w regatach łodzi wiosłowych i żaglowych. Rywalizowano też w dyscyplinach wojskowych: w strzelaniu z karabinka, ckm-u i armat, a także w konkurencjach telefonistów i sygnalistów.

Flotylla nadawała ton życiu Polesia. Okazje do publicznej prezentacji dawały liczne uro-



Ćwiczenia Flotylli Pińskiej w kampanii letniej od maja do września 1939 r. na „Morzu Pińskim"



Monety wyemitowane w Spółdzielni Marynarskiej w Pińsku

czystości, w tym Święto Morza, Dni Polesia, a także Jarmark Poleski.

Najważniejszą uroczystością było Święto Flotylli, obchodzone 3 lipca na pamiątkę zwycięskiej bitwy pod Horodyszczem. **W 1939 roku Święto miało szczególną atmosferę**. Na Jeziorze Horodyskim zakotwiczyły okręty. Przy dźwiękach hymnu narodowego podniesiono bandery i galę flagową. Po mszy świętej przemówił dowódca Flotylli komandor Zajączkowski. Po trzykrotnym „hurra" na cześć Najjaśniejszej Rzeczypospolitej jeden z monitorów oddał salut armatni, po czym odbyła się parada burtowa okrętów.Już nazajutrz okręty odpłynęły na ćwiczenia w ostrym strzelaniu. Mimo że władze administracyjne uspokajały społeczeństwo, czuło się już nadchodzącą wojnę. W Pińsku, podobnie jak w całym kraju odbywały się patriotyczne manifestacje.

Przez lata wykształcił się specyficzny duch personelu Flotylli – świadomość przynależności do elitarnej marynarskiej rodziny. Symbolem tego stało się powiedzenie: „Marynarze na Pinie czujni w każdej godzinie".

W marcu 1939 roku, wobec niemieckiej ekspansji w Europie, we Flotylli przeprowadzono mobilizację. Wydzielono też grupę jednostek bojowych na Wisłę. Flotylla Rzeczna została przemianowana na Oddział Wydzielony „Prypeć". Pod koniec sierpnia 1939 roku Oddział Wydzielony „Prypeć", był gotowy do zadań bojowych. jednostki rozmieszczono na przestrzeni około 200 kilometrów od bazy Nyrcza, przez Mosty Wolańskie do Pińska. Na pozycji osłonowej granicy polsko-radzieckiej stanęły monitory. Dla ochrony przed obserwacją z powietrza i lądu okręty były ukryte przy brzegach i zamaskowane.

1 września otrzymano wiadomość o agresji niemieckiej.Zadania Oddziału „Prypeć" nie zostały sprecyzowane przez Naczelne Dowództwo. Sprowadzały się do obrony najważniejszych obiektów, to jest mostów: Wolańskich, w Horodyszczu Poleskim i pod Kuźliczynem, a także innych przepraw i ważniejszych węzłów komunikacyjnych. Duże siły broniły Mostów Wolańskich na Prypeci, na ważnej linii kolejowej z Wilna do Lwowa. Stały tam dwa statki obrony przeciwlotniczej – „Hetman Chodkiewicz" i „Generał Sikorski" 5 i 8 września, zestrzeliły kilka niemieckich maszyn. Gdy uwaga obrońców Kresów była skierowana na zachód, **17 września** od wschodu zaatakowała armia Związku Radzieckiego.

Obrona przeciwko agresji radzieckiej nie była możliwa, gdyż prawie wszystkie siły polskie walczyły z Niemcami.

Flotylla była narażona na ataki Flotylli Dnieprzańskiej, lotnictwa i zagrożona odcięciem przez idącą na zachód Armię Radziecką. W tej sytuacji okręty znajdujące się blisko granicy rozpoczęły ewakuację. Marsz był utrudniony, a często niemożliwy ze względu na niski stan wód spowodowany wyjątkową suszą. Gdy dalsza droga na zachód - na Bug i Narew do walki z Niemcami, została odcięta przez płycizny, na rozkaz dowódcy Flotylli **rozpoczęto zatapianie jednostek**. Najbardziej na wschód wysunięty statek sztabowy „Admirał Sierpinek" zatopiony został już 17 września zatopiony w rejonie Nyrczy. Dramat okrętu tak wspomina bosman mat Jan Sobiegraj: „Powoli bandera i znak dowódcy spłynęły na dół, załoga na lądzie zamarła w postawie na baczność. Padła komenda: czapki zdejm i rozniósł się po poleskiej głuszy Hymn Narodowy. Łza się zakręciła w niejednym oku,

kiedy kadłub okrętu z wolna chylił się na prawą burtę".

Na zachód od Nyrczy poszły na dno monitory: „Warszawa", „Horodyszcze", „Toruń", „Pińsk" i inne jednostki. W tym czasie rejonu Pińska bronił statek uzbrojony „Generał Szeptycki" zwalczając niemieckie i radzieckie naloty. Na rozkaz dowódcy zostałspalony wieczorem 18 września. Dzień później, pod Osobowiczami, został wysadzony monitor „Wilno". Monitor „Kraków" działał na Prypeci w rejonie granicy. Po agresji radzieckiej rozpoczął odwrót na zachód. 19 września wraz z innymi jednostkami wszedł do Pińska.

Port wita nas entuzjastycznie – wspominał dowódca ORP „Kraków" kpt. Jerzy Wojciechowski – nic dziwnego, przecież „Kraków" to ostatnia duża bojowa jednostka. Po okrzykach na cześć Okrętu Rzeczypospolitej Polskiej, mnie oraz załogi – w porcie następuje cisza i rozlega się hymn narodowy grany na harmonii i śpiewany przez marynarzy i tłumy ludzi. Ten moment zapamiętałem na całe życie.

20 września nastąpiła ewakuacja Pińska. Gdy Rosjanie byli już w mieście, wysadzono most a port wojenny opuściły ostatnie kutry uzbrojone i trałowce oraz jednostki pomocnicze. Szyk zamykały kanonierka „Zaradna" i ORP „Kraków". Następnego dnia, po wejściu na Kanał Królewski pod Kuźliczynem stwierdzono, że nurt przegradza zniszczony most kolejowy. Wobec zbliżania się Rosjan zatopio-



Zatopione jednostki Flotylli Pińskiej we wrześniu 1939 r. (m.in. „Warszawa", Pińsk", „Toruń", „Horodyszcze" i inne)



no tu około 25 jednostek. Był wśród nich monitor „Kraków".W dorzeczu Prypeci i Piny oraz na Kanale Królewskim dopełnił się los okrętów i statków Flotylli. **Samozatopieniu uległo blisko 150 jednostek**, w tym pięćdziesiąt jeden bojowych.

Po zatopieniu okrętów Flotylli Rzecznej jedyną możliwością uniknięcianiewoli był marsz na zachód. Część pińskich marynarzy dołączyła do Samodzielnej Grupy Operacyjnej „Polesie" gen. Franciszka Kleeberga, inni – do Zgrupowania KOP gen. Wilhelma Orlik-Rueckemanna. Ci z nich, którzy skierowali się w stronę Brześcia, zostali zagarnięci przez żołnierzy radzieckich. W szkole w Mokranach dokonano selekcji. Szeregowców pognano dalej, a oficerów i starszych podoficerów wydano miejscowym komunistom. **Zostali zamordowani 26 września**. Dziś tę zbrodnię i nazwiska ofiar upamiętnia skromny pomnik w Mokranach.



Pomnik pod Mokranami, gdzie grupa sfanatyzowanych mieszkańców tej miejscowości w dniu 26.09.1939 r. podstępnie zaatakowała i wymordowała oficerów i podoficerów Flotylli Pińskiej wycofujących się w kierunku Kocka. Pomnik odsłonięto w dniu 28.09.1991 r. podczas konferencji trauguttowskiej organizowanej przez ZPB i Fundację im. T. Goniewicza.
Foto – J. Adamski

Większość marynarzy Flotylli walczyła nadal z dwoma wrogami... 28 września z dwóch batalionów marynarskich i z oddziału Komendy Portu Wojennego Pińsk utworzono zbiorczy batalion morski, a później także i marynarską kompanię. W szeregach Samodzielnej Grupy Operacyjnej „Polesie" generała Franciszka Kleeberga oba te oddziały walczyły w następnych dniach z Armią Czerwoną pod Jabłonią i z Niemcami pod Kockiem na Lubelszczyźnie. Batalion morski walczył 5 października pod Lipinami i pod Helenowem. W tym boju utracił siedmiu oficerów i podchorążych oraz 13 marynarzy. Spoczywają na przydrożnym helenowskim cmentarzu.

W bitwie pod Kockiem marynarska kompania zbiorcza brała udział w zwycięskim natarciu na kościół i cmentarz w Woli Gułowskiej. Mimo początkowych sukcesów, brak amunicji i nadziei na przełamanie niemieckiej przewagi, zmusiły generała Kleeberga do kapitulacji. **Była to ostatnia bitwa kampanii wrześniowej**. Los sprawił, że marynarze złożyli broń właśnie w pobliżu wsi, w której zwyciężali. Rozkaz kapitulacji przekazywała oddziałom radiostacja Flotylli Pińskiej, ewakuowana aż pod Kock.

23 września do zdobytego już Pińska wpłynęły kutry pancerne - pierwsze jednostki radzieckiej Flotylli Dnieprzańskiej. Monitor „Żeleznjakow", też wyznaczony do tej akcji, nie mógł jednak pokonać płycizn Prypeci.

Rosjanie łatwo skorzystali ze zdobytego sprzętu i wyposażenia polskiej Flotylli Rzecznej. Tylko niewielka część polskich jednostek została zatopiona w sposób, który uniemożliwiał ich odbudowę. Już po 25 września Rosjanie rozpoczęli podnoszenie i remonty większości okrętów i statków, w tym szczególnie cennych monitorów. Jednostki gromadzono w Porcie Wojennym w Pińsku, przygotowując je do transportu w głąb Związku Radzieckiego. Wraz z okrętami wywożono zagrabiony sprzęt.

Na pokładzie stojącego w Pińsku monitora „Kraków" umieszczono nawet samochód osobowy!

Większość jednostek zaprezentowano w Kijowie. Monitor „Toruń" pod radziecką banderą, przez jakiś czas – co ciekawe – nosił na burcie dawną polską nazwę... Zachował się film dokumentalny z roku 1939, w którym zaprezentowano wojenne łupy Armii Czerwonej, a także udział dawnych polskich monitorów w manewrach na Dnieprze. Byłe okręty polskiej Flotylli Rzecznej, w składzie radzieckiej Flotylli Dnieprzańskiej, wzięły udział w walkach z Niemcami latem 1941 roku.

Leszek Wiśniewski
Telewizja LUBLIN
Jan Tarczyński
Instytut Polski i Muzeum im. gen. Władysława Sikorkiego w Londynie
zdj. z archiwum ***Walerija Spiczakowa*** *(Lwów)*

Dowódcy

Dowódcy Flotylli Pińskiej
por. mar. Jan Giedroyć (1919-1920)
kmdr ppor. Edward Sadowski (1920)

Dowódcy Oddziału Detaszowanego
kpt. mar. Bohdan Jarociński (1920)
por. mar. Aleksander Mohuczy (1920-1921)
kmdr ppor. Edward Rozenbaum (1921-1922)

Dowódcy Flotylli Pińskiej
kpt. mar. Marian Wolbek (1922-1924)
kmdr por. Władysław Blinstrub (1924-1927)
kmdr por. Witold Zajączkowski (1919-1931)

Dowódca Flotylli Rzecznej
kmdr Witold Zajączkowski (1931-1939)

Zastępcy dowódcy Flotylli Rzecznej
kmdr ppor. Stanisław Hryniewiecki (1932-1936)
kmdr por. Henryk Eibel (1936-1939)

Organizacja w 1939 roku

Dowództwo
Dowódca flotylli – kmdr Witold Zajączkowski
Zastępca dowódcy – kmdr por. Henryk Eibel
Szef sztabu – mjr dypl. art. Władysław Szczekowski
Oficer artylerii sztabu – ppłk. art. Włodzimierz Klewszczyński
Oficer techniczny – kpt. mar. inż Wacław Trzebiński
Oficer łączności – kmdr ppor. Bronisław Witkowski
Oficer wywiadowczy – kpt. mar. Narcyz Małuszyński
Naczelny lekarz – kpt. mar. lek Kozłowski
Kapelan – mjr. ks. Władysław Antonowicz
Oficer flagowy – por. mar. Janusz Marciniewski
Komendant Portu Wojennego Pińsk – kmdr ppor. Mieczysław Reutt
Oficer inspekcyjny Portu Wojennego Pińsk – por. mar. rez. Stefan Murza - Murzicz
Intendent Flotylli – kpt. mar. Alojzy Mrozik
Kapelmistrz – chor. mar. Julian Tomaszewski
Oficer oświatowy – kpt. mar. Czesław Basiński
Szef kancelarii – st. bsm. Wacław Szwarc

Dowódcy dywizjonów
1 dywizjon bojowy – kpt. mar. Mieczysław Sierkuczewski
2 dywizjon bojowy – kmdr ppor. Stefan Kamiński
3 dywizjon bojowy – p.o. kpt. mar. Bronisław Bończak

Dowódcy okrętów
Monitor ORP „Wilno" – kpt. mar.Edmund Jodkowski
Monitor ORP „Kraków" – kpt. art. Jerzy Wojciechowski
Monitor ORP „Warszawa" – por. mar. Jan May
Monitor ORP „Horodyszcze" – kpt. mar. Andrzej Marzecki
Monitor ORP „Pińsk" – kpt. mar. Jan Kierkuś
Monitor ORP „Toruń" – kpt. mar. Bolesław Parydzay
Statek OPL ORP „Generał Sikorski" – ppor. mar . rez. Fidosz
Statek OPL ORP „Hetman Chodkiewicz" – por. mar. rez. Edward Kulesza
Statek uzbrojony ORP „Generał Szeptycki" – kpt. mar. w st. spocz. Rudolf Stanisław Kuzio
Statek minowo - gazowy ORP „Mątwa" – kpt. mar. Narcyz Małuszyński

Uwaga: W numerze 16. Echa Polesia zamieścimy wykaz poległych, zamordowanych i zagubionych marynarzy Flotylli Pińskiej

Kościół pw. Wniebowzięcia NMP w Prużanie



Kościół w Prużanie. Kościółek. Niewielka budowla w niewielkim, dawniej powiatowym, liczącym dziesięć tysięcy mieszkańców mieście. Dzisiaj na Białorusi w Prużanach, bo Białorusini przywrócili mu dawną nazwę, czemuś za polskich czasów albo może za czasów zaborów zmienioną. Chociaż Prużany to też nazwa nie oryginalna, ongiś bowiem brzmiała ona Dereczyn.

Ten prużański kościółek, nie katedra i nie wspaniała budowla, zachwycić może swym wyglądem i istnieniem tych tylko, kogo tamta ziemia urodziła, albo kto na niego patrzył oczami młodego człowieka, wygnanego stamtąd później przez wojenne losy. I kogo on rozczula wspomnieniami. A to właśnie stało się ze mną wędrowcem, który kościół w Prużanie poznał, gdy miał lat dwanaście, a rozstał się z nim mając ich dwadzieścia sześć. Kiedym opuszczał Prużańszczyznę w marcu 1939 roku, powołany na ochronę zachodniej polskiej granicy, zagrożonej przez Hitlera. A potem powędrowałem dalej w świat, jak pokazała przyszłość – bezpowrotnie, na całożyciową nieobecność.

Na tle tego rozdzialiku życia, prużański kościół był oczywiście fragmentem, ale fragmentem ważnym i liczącym się. Był jednoznaczny z wolnymi od zajęć świętami i niedzielami, utożsamiał się z wiarą, chociaż ta wiara pojmowana była różnie. Jako coś niezaprzeczalnie ważnego, jako dekalog, który obowiązywał i do czegoś zobowiązywał i powagą instytucji. Trochę też obawą przed tym Panem Bogiem, który ukazywany na lekcjach religii nie jako starzec z alegorycznych obrazów, trochę jednak nim był, bo Go wtedy łatwiej było zrozumieć. Nikt z nas nie wiedział jak to tam naprawdę jest z tym wiekuistym potępieniem, ale gdy nim straszono, coś w tym musiało być prawdą. I chociaż się przeciwko temu buntowałem, trzeba się było mieć na baczności. A że ten kościół w którym bywaliśmy był i mieszkaniem Boga, tłumaczonego nam jako mądrość i miłość, więc jakaś tam miarka szczerych i dobrych uczuć też obijała się o ściany kościoła w czasie naszej tam obecności. Może dziewczętom naszym było do Niego bliżej niż nam chłopakom z bzikami w głowie, ale kto to wie jak było naprawdę.

Tak to wyglądało czy inaczej, nasz kościół nigdy nam nie był instytucją obojętną. To tam od pierwszego dnia roku szkolnego szło się co niedzielę, tylko że ja byłem wybrańcem, który niemal od początku nie maszerował z „pospolitym ruszeniem" jak mawialiśmy, tylko na czele idącego ulicą Pacewicza pochodu szkolnego, w naszej gimnazjalnej orkiestrze. A grałem w kościele poraz ostatni kilka tygodni po maturze, wezwany do Prużany telefonicznie na pogrzeb kolegi z naszej klasy, Roberta Baranowskiego. Był to pogrzeb w naszej klasie piąty, byliśmy klasą w jakimś sensie napiętowaną przypadkami kolejnych pięciu zgonów chłopców w tak młodym wieku.

Ale wszystkie wypadki i pogrzeby, z których cztery miały miejsce w cerkwi a piąty w kościele, były oczywiście wyjątkami. Zwykle kościół witał nas poważnie ale pogodnie, czasem z humorem zajść anegdotycznych obok religijnych przeżyć i wrażeń. Był ogólnie świątynią i tę rolę w naszych oczach odgrywał.

To tam, na kościelnym dziedzińcu bierzmował mnie znany w całej Polsce i szanowany biskup Łoziński. Tam, jak wspominałem, szliśmy niedzielami z niedalekiej ulicy Strażackiej, a za nami maszerowali chłopcy z nauczycielskiego seminarium z drugiego końca miasta.

Tam siadywaliśmy w ławkach po prawej stronie, a seminarzyści po lewej i żona gimnazjalnego woźnego Antosiowa mówiła: „Ale takiż nasze chłopcy kudy ładniejsze". A mówiła „chłopcy", bo chociaż była lojalna i wobec koleżanek, pewnie w głębi serca uważała je w szkole za niepotrzebne. Podobnie zresztą jak matematyk Jan Łozowski, lekko sobie obecność dziewczyn w klasie traktując. I jak nasz prefekt ksiądz Fabian Poczobutt Odlanicki, wykpis przemawiający do naszych klasowych dziewcząt: – I czegoż tu miejsce tylko w ławkach zajmujesz? I tak będziesz mężowi garnki na głowie tłuc. Na co tobie gimnazjum?

To tam poskrzypującymi schodami szedłem z kolegami na chór, gdzie grywaliśmy na naszych uczniowskich mszach, a ja za każdym razem czekałem na moją ulubioną, solo na tle orkiestry graną przeze mnie pieśń „Stabat mater dolorosa".

To tam, do tamtego kościoła chodziliśmy wieczorami przez cały maj, z własnej chęci i bez przymusu na majowe nabożeństwa, ogólnie przez młodzież lubiane. Fascynowała mnie niezmiennie, tyle setek razy słyszana melodia litanii do Matki Boskiej, grał mi w uszach i pewnie w sercu przyśpiew „módl się za nami", unoszący się ku sufitowi swiątyni, umierając tam w górze.

To tam co niedzielę rano, Jarosław Jaromicz z naszego gimnazjum wchodził na stojącą obok kościoła dzwonnicę i grał na kornecie „Kiedy ranne wstają zorze", aby Bóg dawał o sobie znać małemu „urbi et orbi".

Tam nieżyjąca już dzisiaj moja siostra Hania, drużynowa gimnazjalnej żeńskiej drużyny harcerskiej, prowadziła swoje dziewczęta na defilady, które obok władz wojskowych przyjmował gospodarz powiatu, starosta Czesław Zbierański, późniejszy Nowojorkczanin.

Tam w kruchcie podeszliśmy cichcem i podsłuchali staruszka Szymańskiego, który klęcząc nucił sobie pod nosem psalmy, a pewnie nie umiejąc czytać i śpiewając na słuch, nie rozumiał słów „plaster miodu Samsona" i mruczał „plaś w mordę Samsona". Tam też poróżniony z tercjarką Orzepowską organista, śpiewał w czasie nieszporów: Ja tu gram na wysokości, a Orzepowska na niskości...

Tam do kościoła maszerowały wszystkie defilady w państwowe święta, a 19-go sierpnia 1930 roku dowódca 25 Pułku Wielkopolskich pułkownik Kociszewski, skandując po wojskowemu poszczególne słowa, wołał: Obywatele! Dziś mija dziesięć lat od dnia, kiedy wypędziliśmy z Polski ostatniego parszywego bolszewika!

Tam jeden z proboszczów którego nazwiska niestety nie zapamiętałem, zawsze sypiał bez poduszki i przykrywając się sutanną, bo ile razy tercjarki kupiły mu kołdrę i poduszkę, nastepnego dnia zanosił je cichcem do jakiejś nędzarskiej chałupiny, częściej żydowskiej niż chłopskiej, bo nędza żydowska bywała najbardziej beznadziejna i dramatyczna.

Tam, w najbliższym sąsiedztwie kościoła miał swój dom Franciszek Lachowicz, gdzie udzielałem korepetycji. Spotkałem się z nim, już jako z wierszopisem Polesia po latach w New Jersey i bardzo się nasze obie rodziny przyjaźniły. Nie żyją dawno ani on ani pani Jadwiga. Zostawił mi w spadku swoje archiwa i bibliotekę, które po uporządkowaniu przekazałem polskiemu działowi miejskiej biblioteki w New Britain.

Tam 3-go Maja 1938 roku, zaproszeni przez organizatorów defilady, maszerowaliśmy czwórkami i w mundurach jako grupa członków Związku Oficerów Rezerwy. Szczęśliwi bo młodzi, dumni bośmy znali stosunek większości społeczeństwa do polskiego wojska, epigonów legendy rycerstwa, obrońców Rzeczypospolitej.

A potem przyszła wojna i Czerwona Armia zalała Kresy i Prużanę. Pozabijali policjantów, zabili i wroga ludu księdza Poczobutta, wywieźli pół miasta, „oswobodzili". Opowiadał mi już tutaj w Stanach Ukrainiec ze Stanisławowskiego, że kiedy „bojcy" przyszli do nich do wioski, do mieszkania jego ojca przydzielono na nocleg ogicera. Rano przy odjeździe powiedział:

– Nu, stary, ty mnie dobrze przyjął, ja tobie na dowidzenia powiem: My, Czerwona Armia, przyszli was oswobodzić od polskich panów. Tak ty jeszcze zobaczysz jak my was oswobodzim...

Kościół w Prużanie wycierpiał wraz ze swoim ludem tę samą tragiczną niedolę. Wyszedł z niej odarty nie tylko ze swoich świętości i powagi, ale zachowując zaledwie skorupę zewnętrznych ścian, zamieniony w roku 1945 na Rejonowy Dom Kultury. Teraz po gruntowej i bardzo kosztownej przebudowie, powrócił do swojej dawnej postaci. Przeczekał wszystkie złe dni, od których nigdy już może gorszych nie będzie. Przeczekał i trwa. Po tak dobrze dawniej znanych schodach na kościelny chór ktoś wchodzi jak przed laty, ktoś napewno w majowe wieczory śpiewa „módl się za nami". Bóg zwyciężył i zwyciężyło życie.

Jan Wójcik

Bristol, USA, b. mieszkaniec Prużan

Od Redakcji:

Decyzją Kongresu Polonii Amerykańskiej Jan Wójcik został uznany Człowiekiem Roku 1996

МУЗЕЙ ГІСТОРЫІ Г. БРЭСТА

Феномен калекцыяніравання сягае каранямі ў глыбокую старажытнасць. Ужо на золку сваёй гісторыі чалавецтва збірала і імкнулася захаваць прадметы, якія мелі сакральную, прэстыжную і эмацыянальную значнасць, якія мелі цікавасць з пазнаваўчага ці эстэтычнага пункту гледжання. Яшчэ ў старажытным Двурэччы ўзнікаюць першыя калекцыі гліняных таблічак і старажытнасцей.

Адной са скарбонак для захавання часткі дакументаў, планаў, фотаздымкаў, прадметаў побыту і г. д. з'яўляецца Музей гісторыі г. Брэста. Ён – адзін з самых маладых у горадзе.

Ініцыятарамі стварэння такога музея былі гарадскія ўлады. Ён стаў адным з філіялаў Брэсцкага абласнога краязнаўчага музея. У лютым 1990г. падпісана рашэнне выканкама Брэсцкай вобласці і Савета народных дэпутатаў аб передачы на баланс Брэсцкага абласнога краязнаўчага музея дома № 3 па вул. Леванеўскага. Пачынаецца праца па ўпарадкаванню будынка і тэрыторыі вакол яго, завозіцца новае абсталяванне, афармляецца экспазіцыя. Над мастацкім праектам музея працаваў архітэктар з Мінску Бакаеў В.У.

Уся падрыхтоўка да адкрыцця лягла на плечы загадчыцы філіяла Тамчук С.А. і старэйшага навуковага супрацоўніка Страчук В.У. Урачыстасць, прысвечаная пачатку дзейнасці музея, адбылася 25 ліпеня 1998 г. У ёй прынялі ўдзел гарадскія і абласныя ўлады, а таксама прадстаўнікі дэлегацый гарадоў-пабрацімаў.



Невыпадкова абраны будынак пад Музей гісторыі горада. Гэта адзін з помнікаў архітэктуры г.Брэста, які быў узведзены яшчэ за польскім часам па праекту архітэктара Юліяна Лісецкага. Менавіта ён распрацаваў план забудовы новага раёна горада – «Nowa Dzielnica» ў паўднёва-заходняй частцы горада. Пачатак праектавання і будаўніцтва раёна звязаны з цікавым накірункам у польскай архітэктуры таго часу, які атрымаў назву «Styl Narodowy». Ён засноўваўся на выкарыстанні матываў архітэктуры Рэнесанса, барока і класіцызму. Як пісаў адзін з польскіх даследчыкаў гісторыі архітэктуры Ян Захватовіч, у архітэктуры таго часу «… высокія дахі ці аттыкі, каланады, пілястры, парталы і апраўленні вакон, контрфорсы аднолькава прысутнічаюць як у жылых дамах, так і ў новых грамадскіх будынках».



Дом № 3 быў узведзены па праекту 2-кватэрнага дома. Гэта аднапавярховы прамавугольны ў плане цагляны будынак, накрыты высокім двухскатным дахам. Сіметрычны па кампазіцыі галоўны фасад збудавання выдзелены магутным аттыкам, дэкараваным плоскімі лапаткамі і сандрыкамі. Уваходы ў кватэры размешчаны ў арачных нішах, перакрытых крыжовымі зводамі.

Згодна з навуковай канцэпцыяй Музея гісторыі горада Брэста ў экспазіцыі прадстаўлены наступныя тэмы:



У сувязі з будаўніцтвам крэпасці, жылая забудова была перанесена на фарштадты, якія знаходзіліся ў двух кіламетрах ад яе. Ядром фарміравання новага горада становіцца Кобрынскі фарштадт. Пачынаецца новы этап у жыцці горада на новым месцы.

Час з сярэдзіны XIX ст. да сённяшняга дня паказаны на другім паверсе. У экспазіцыі прадстаўлены планы горада, дакументы, выдадзеныя адміністрацыяй Брэст-Літоўска, матэрыялы па мадэрнізацыі крэпасці, будаўніцтву чыгункі, па першай сусветнай вайне і падпісанні Брэсцкага міру, прадметы побыту і інш.

Асобны куточак выдзелены пад перыяд з 1921 па 1939 г.г., калі горад знаходзіўся ў складзе Другой Рэчы Паспалітай. У гэты час Брэст-над-Бугам стаў цэнтрам Палескага ваяводства. Ён пачынае развівацца ў паўднёва-заходнім накірунку. Узводзіцца шмат грамадскіх і адміністратыўных будынкаў: банк, гарадскі суд, будынак ваяводскай управы і інш.). Гэта, а таксама культурнае жыццё, адлюстравана ў экспазіцыі.

Такім чынам, у будынку па вул. Леванеўскага можна прасачыць амаль тысячагадовую гісто-

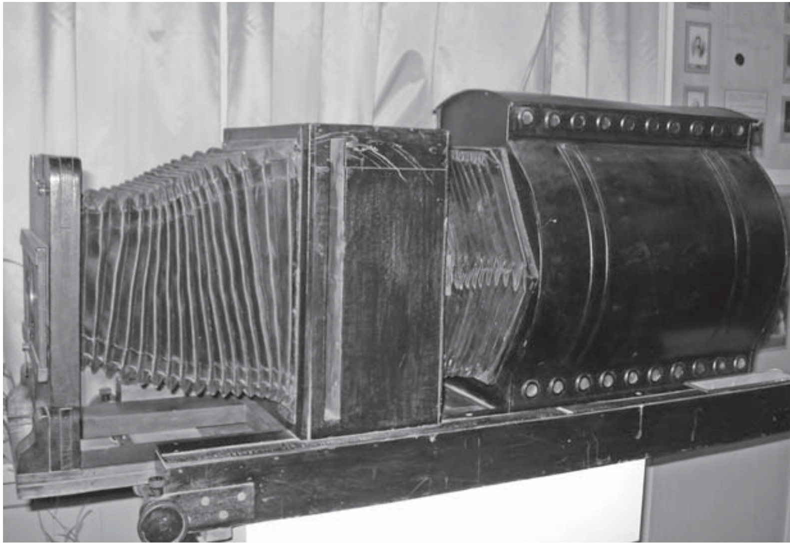
1. «Архітэктурны выгляд і гістарычнае жыццё г. Берасця (XI – перш. пал.XIX стст.)»

2. «Забудова і развіццё горада на новым месцы (сяр. XIX – 30-я гг. XXст)»

3. «Сучасны горад»

Музей мае цікавыя матэрыялы, якія раскрываюць гэтыя тэмы. Яны збіраліся на працягу многіх гадоў. Гэта – карты XVIII – XIX ст.ст., дакументы XVII – XX ст.ст., калекцыя манет-солідаў 1665-1666 гг., мастацкія працы, матэрыялы па сучаснаму перыяду. Экспазіцыя размяшчаецца на двух паверхах. На першым паверсе адлюстраваны галоўныя падзеі з гісторыі горада XI – пач. XIX ст.ст.: першы ўспамін у «Аповесці мінулых гадоў», дараванне Берасцю Магдэбургскага права, дзейнасць тыпаграфіі, манетнага двара, падпісанне Берасцейскай царкоўнай уніі. Тут прадстаўлена карціна берасцейскай мастачкі А. Фетысавай «Сярэднявечнае Берасце», на каторай паказаны ўсе будынкі і вуліцы горада таго часу; комплекс матэрыялаў па будаўніцтву Брэсцкай крэпасці, у выніку якога быў поўнасцю зруйнаваны стары горад, знішчаны ці прыстасаваны для ваенных мэтаў шматлікія помнікі архітэктуры.





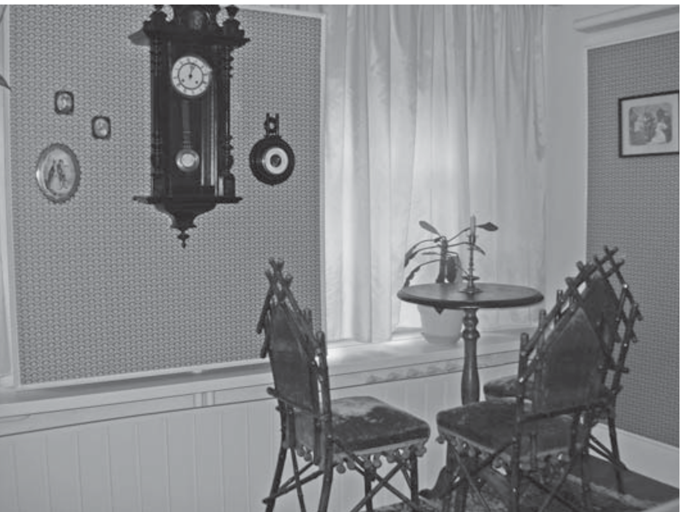
забіралі і часцінку гісторыі горада, успаміны. Кожны чалавек у горадзе – гэта гісторыя горада. Музей з'яўляецца захавальнікам і збіральнікам не толькі матэрыяльных каштоўнасцей, але і ўспамінаў людзей, жыццё якіх было звязана хаця б некалькімі хвілінамі з горадам.

Мы рады, што да нас прыходзяць дзеці, унукі, праўнукі берасцейцаў, якія ўсё жыццё пражылі тут, і тых, якія некалі выехалі з горада, пакідаюць успаміны сваіх родных, прадметы, якімі яны карысталіся, каб назаўсёды захаваць гэта для нашчадкаў. Мы ім таксама не адмаўляем і стараемся дапамагчы. Многія з іх знайшлі дамы, дзе калісьці жылі іх бабулі, дзядулі, бацькі, магілы сваіх родных.

рыю аднаго з найстаражытнейшых гарадоў Беларусі.

На жаль, на сённяшні дзень, як і шматлікія музеі Беларусі, Музей гісторыі горада Брэста мае шэраг праблемаў. У 2007г. ён быў перададзены ў падпарадкаванне аддзелу культуры Брэсцкага гарвыканкама і выключаны са структуры Брэсцкага абласнога краязнаўчага музея. Музею гісторыі горада перадалі не ўсе экспанаты, якія знаходзіліся ў экспазіцыі да гэтага часу, што прывяло да яе збяднення. Музеі ў першую чаргу з'яўляюцца захавальнікамі культурнай спадчыны і павінны лічыць сваёй мэтай клопат як аб росце калекцыі, так і аб яе якасці.

Лёс склаўся так, што шматлікія жыхары Брэста вымушаны былі яго пакінуць па розных прычынах. Выганялі іх войны, сталінскія рэпрэсіі. Людзі, якія выехалі назаўсёды з роднага кутка,





Музей заўсёды гатовы да супрацоўніцтва. Калі вы хочаце падзяліцца з намі цікавай інфармацыяй, перадаць на захаванне прадметы вашых родных, якія жылі ў Брэсце, альбо чакаеце дапамогі ад нас, вырашылі наведаць музей, мы заўсёды будзем вам рады.

Адрас: Рэспубліка Беларусь, г.Брэст, вул. Леванеўскага, д. 3.
E-mail: bresthistory@tut.by
Тэл.: +3750162-23-16-25
+3750162-23-17-65

Быцкевіч Сяргей
Ст. навуковы супрацоўнік

Францішак Карпінскі - паэт сэрца

Францішак Карпінскі – вядомы польскі паэт-сентыменталіст і асветнік, жыццё і творчая дзейнасць якога былі цесна звязаны з Пружаншчынай. Нарадзіўся 4 кастрычніка 1741 года ў вёсцы Галаскоў Каламыйскага раёна Івана-Франкоўскай вобласці Украіны. Ён быў сынам беднага шляхціца. Адукацыю здольны малады чалавек атрымаў у езуіцкім калегіуме Станіслава, а затым у Львоўскай езуіцкай акадэміі, дзе дасягнуў ступені доктара філасофіі і вольных навук.

Свой першы паэтычны зборнік „Zabawki wierszem i przykłady obyczajne" Францішак Карпінскі выдаў у Львове ў 1780 годзе і, як ужо вядомы паэт, быў прыняты ў двары Адама Казіміра Чартарыскага на пасаду сакратара. Усяго выйшла ў свет сем тамоў „Zabawek...", якія з'яўляюцца яскравым узорам сентыментальнай лірыкі. Францішак Карпінскі часта быў госцем „obiadów czwartkowych" у караля Станіслава Аўгуста Панятоўскага. Аднак роля прыдворнага паэта не задавальняла яго, ён адмоўна адносіўся да таго нездаровага маральнага клімату, які ўсталяваўся на той час у вярхах і не прытрымліваўся таго жыцця, якое вёў двор. Карпінскі шмат падарожнічаў, наведаў Вільню, Гродна. Тут, на ўсходніх землях, ён знайшоў сваё месца. Тут, на Пружаншчыне, ён арандаваў больш за 30 гадоў зямлю, на якой сам і гаспадарыў. У 1819 годзе ён набыў ва ўласнасць фальварак Хорашаўшчына ў Ваўкавыскім павеце (цяпер Свіслацкі раён), дзе і правёў астатнія шэсць гадоў свайго жыцця.

Творчасць Францішка Карпінскага – гэта прыклад спачувальнага ўдзелу душы аўтара ў тым навакольным жыцці, якое характарызавалася моцным народным рухам у Еўропе, выкліканым эпохай Асветніцтва і Вялікай Французскай буржуазнай рэвалюцыяй. Паэт ухваляў Канстытуцыю 3 Мая і аплакваў падзелы Рэчы Паспалітай, актыўна перайначваў жыццё сялян Хорашаўшчыны, перавёўшы іх з паншчыны на чынш, арганізаваў школу для вясковых дзяцей, садзейнічаў спатканням мясцовых літаратараў, а вершы Ф. Рысінскага, напісаныя па-беларуску, збіраў для публікацыі.

Разам з тым лірыка Карпінскага стварае вобраз чалавека сентыментальнага, які імкнецца за нечым недасягальным, а таксама прадстаўляе інтымны свет яго індывідуальных чаканняў. Паэт лічыў, што эмацыянальная сутнасць душы



Nagrobek cmentarny Fr. Karpińskiego przy kościele w Łyskowie

чалавека і яго розум супрацьстаяць жарсцям, якія нараджаюць толькі адно зло. Грамадства нішчыць прыроду чалавека, якому застаецца толькі вяртацца да свайго „чулага сэрца" і пазнаваць самога сябе. Гэтыя ідэі сугучныя асноўным палажэнням вучэння Ж.Ж.Руссо аб добрай першапачатковай прыродзе чалавека і шкодным уздзеянні на яе грамадскай культуры.

Карпінскі заклікаў да талерантнасці, спачування і да сардэчнай лагоднасці. У аўтабіяграфічных дзённіках (1822 г.) ён апісаў жыццё на Беларусі, дзе якраз і знайшоў адпаведныя духоўныя каштоўнасці ў асяроддзі простых палескіх сялян.

Нязменнай папулярнасцю карыстаецца і зараз рэлігійная лірыка паэта. Вялікая колькасць яго твораў стала агульнавядомай. Напрыклад, рэлігійныя песні „O narodzeniu Pańskim", „Pieśń poranna", „Pieśń wieczorna" і шмат іншых спяваюцца ў касцёлах Польшчы, Беларусі і Літвы.

Ф. Карпінскі стварыў новую форму лірычнай паэзіі, чым зрабіў вялікі ўклад у скарбонку польскай літаратуры. Вялікі паэт эпохі Асветніцтва пахаваны ў в. Лыскава на Пружаншчыне. Над яго магілай пастаўлены помнік з надпісам „Otóż mój dom ubogi". Помнік быў абноўлены 26 верасня 1993 года.

Анна Панішава

Literatura:

Kostkiewiczowa T., *Model liryki sentymentalnej o twórczosci Franciszka Karpińskiego*. Wrocław etc., 1964; Sobol R., *Franciszek Karpiński*. Warszawa, 1987

Лыскава – гістарычная каштоўнасць Заходняй Беларусі

Мястэчка Лыскава (Пружанскі р-н Брэсцкай вобласці) мала каму вядома. Размешчанае ў Ружанскай пушчы, яно аддалена ад вялікіх дарог, звязана са шматлікай колькасцю легенд і паданняў. Першыя звесткі аб Лыскаве адносяцца да XVI ст., тады яно з'яўлялася цэнтрам самай дробнай адміністрацыйнай адзінкі ў ВКЛ. Значэнне населенага пункта ўзрастае тады, калі яно ўваходзіць у склад каралеўскіх маёнткаў. У адным з дакументаў (1553 г.) успамінаецца: "Лыскава, мястэчка Ваўкавыскага павета. Мае 895 жыхароў, у тым ліку 682 яўрэі. Ёсць царква, школа, бажніца, дом прытулку, касцёл і кляштар...". Разам з тым ёсць успаміны аб Лыскаўскім замку, які знаходзіўся ў балоцістай пойме ракі Шыбы. Паводле даследаванняў археолага А.Ф. Пакроўскага ў канцы XIX ст., захаваныя ўмацаванні мясцовае насельніцтва называла каралеўскім замкам. У наш час ад калісьці вялізнага будынка засталася квадратная пляцоўка, акружаная валамі шырынёй 14 метраў і вышынёй у некаторых месцах да 3 метраў. Па вуглах замчышча захаваліся сляды драўляных вежаў, а культурны пласт захоўвае фрагменты керамікі XV – XVII ст.ст.

Аб былой велічнасці мястэчка нагадвае сёння прыгожы і велічны ансамбль у стылі барока: касцёл Прасвятой Тройцы (1763 – 85 гг.) і кляштар місіянераў. Гісторыя расказвае, што мясцовы памешчык, ваўкавыскі маршалак Ян Быхавец, у 1755 г. запрасіў у Лыскава манахаў. Як ужо ўспаміналася, гэта былі місіянеры – манаскі ордэн рымска–каталіцкіх святароў, заснаваны ў Парыжы ў 1625 годзе св. Віцэнтам з Паўла. Галоўная іх мэта – пашырэнне каталіцтва праз місіянерскую дзейнасць. Яны і пабудавалі на месцы драўлянага касцёла XVI ст. мураваны, які быў крыжовы ў плане, з адной вежай, прамавугольнай апсідай і сакрысціямі. Калісьці багата аздоблены інтэр'ер касцёла да нас дайшоў у кепскім стане. Узарвана ўся падлога са скляпеннямі, дзе пачалі прарастаць дрэвы. На сценах часткова захаваліся фрэскі, прыгожыя мармуровыя алтары і ляпніна. Аднак вільготнае паветра, дождж і снег працягваюць разбурэнне касцёла. Даху няма, ён быў прабіты снарадам у час II сусветнай вайны і паступова абваліўся. Толькі чатырох'ярусная вежа з крыжам, якая ўзвышаецца над усімі мясцовымі пабудовамі, сімвалізуе надзею на ўратаванне святыні.



Dawny klasztor misjonarski w Łyskowie

Насупраць касцёла стаіць барочны кляштар, пабудаваны ў другой палове XVIII ст. Двухпавярховы П–падобны ў плане будынак аздоблены крапаванымі пілястрамі і міжпавярховай карнізнай цягай. На першым паверсе паўднёвага крыла знаходзілася трапезная і іншыя агульныя памяшканні. На другім паверсе размяшчаліся келлі манахаў. З 1797 года місіянеры адкрываюць бібліятэку, шпіталь і школу, дзе вучыцца 120 вучняў. З 1863 г. у будынках кляштара дзейнічае – "Лысковское народное училище", "... на содержание училища отпускается 200 рублей из государственной казны. Учащихся 40 мальчиков, 1 девочка". Аб тым, у якіх умовах вучыліся сялянскія дзеці, можна даведацца з рапарта настаўніка Крамянкова Гродзенскаму дырэктару народных вучылішчаў: "Двери в училище ветхие и не затворяются..., многие рамы... без стёкол, всюду воет сквозной ветер, а от того в классе нестерпимый холод, дети часто страдают от простуды".

У тым жа XIX ст. касцёл манахаў пераасвячаецца ў праваслаўную царкву і рэканструіруецца архітэктарам Ф. Афанасьевым. Аднак ад маланкі загараецца дах, і пачынаецца наступны рамонт 1883 – 84 гг.

Рымска – каталіцкая святыня перажыла ў в. Лыскава як росквіт, так і заняпад з прыходам чужынскай улады пасля падзелаў Рэчы Паспалітай. Цяпер яна перажывае час абыякавасці да рэлігійных каштоўнасцяў бацькаўшчыны. Быццам прывід, стаіць сёння храм у глыбіні дрэў у вячэрняй імгле. Праходзяць дні, гады, мінаюць стагоддзі, а ён, як Ноеў каўчэг, шукае свой бераг, свой час і сваіх вернікаў у гэтым свеце.



Kościół pw. Św. Wincentego i Pawła w Łyskowie. Stan obecny

Ігар Дзем'янюк

Pani Reginie Konowaluk oraz Panu Igorowi Dziemianiukowi, naszym Przyjaciołom i Autorom kwartalnika „Echa Polesia" składamy najserdeczniejsze życzenia z okazji wspólnych zaślubin. Życzymy Im radosnych i szczęśliwych dni oraz długich lat dla dobra swej rodziny i społeczności. Państwo Młodzi - bądźcie zawsze mocni duchem, a szczęścia i zdrowia niechaj nigdy Wam nie zabraknie!

Życzy Redakcja „Ech Polesia"

Białoruski Olimp

„Cudze chwalicie, swego nie znacie" – to przysłowie, niestety w wielu dziedzinach naszego życia jest wciąż aktualne. I tak, jeżeli dzięki różnorodnym mediom dość powszechna jest wiedza, że nasza współczesna cywilizacja swoimi korzeniami głęboko sięga w antyczną kulturę Greków i Rzymian, to w niektórych społecznych kręgach w ogóle nic nie wiadomo o prehistorycznych mieszkańcach Polesia.

Bardzo nikła jest społeczna świadomość, że nasi praprzodkowie w dawnych przedchrześcijańskich wiekach tworzyli przecież społeczność opartą na współczesnej im kulturze, prawie, obyczajach i wierze. Niestety, do naszych czasów zachowało się niezwykle mało reliktów tamtej zaginionej w mroku dziejów społeczności, której przecież my jesteśmy potomkami!

Historycy i krajoznawcy pragnący poznać dzieje naszych pra-praojców, prowadzą swoje odkrywcze prace wspólnie z archeologami. Zabrzmi to może dziwnie, ale niejednokrotnie ci naukowcy trafiają na właściwy ślad swoich poszukiwań dzięki ludowym podaniom i legendom, przekazywanym przez dziesiątki stuleci z pokolenia na pokolenie.

Niniejszy artykuł zatytułowałem pozornie zagadkowo „białoruski Olimp". Jak wiadomo, leżąca w Grecji góra Olimp była w antycznych czasach zgodnie z ówczesną pogańską religią Greków siedzibą bogów. Na podstawie moich żmudnych dociekań odkryłem wiele zaskakujących analogii pomiędzy greckim Olimpem, a leżącą na Białorusi Górą Panieńską, która dla naszych przodków zamieszkujących Polesie w czasach przedchrześcijańskich także była Świętą Górą, jako miejsce ich religijnego kultu.

Tę moją „teorię analogii greckiego i białoruskiego Olimpu", oparłem na podstawie zebranych informacji, które tutaj prezentuję.

1. Dokonałem dokładnej analizy filmu o antycznej wyroczni Greków Delfach, miejscu kultu boga Apollina na górze Olimp, która leży w szczególnych warunkach geologicznych.

2. Skrupulatnie przestudiowałem naukową literaturę z opracowaniami na temat pomników pogańskiego kultu na greckim Olimpie i na Białorusi.

3. Zwiedziłem obszar Białorusi, gdzie skoncentrowałem swoją uwagę na dokładnym rozpoznaniu toponimii i reliefu (geograficznego nazewnictwa i rzeźby) tego terenu i sieci płynących na nim rzek, co dało mi zaskakujące analogie z greckimi Delfami.



Góra Panieńska leży na granicy obwodów wołożyńskiego i mołodeczeńskiego, nieopodal wsi Dąbrowa i Ogrodniki. Jest to płaskowyż wysokości 298,5 metrów nad poziomem morza o podstawie 200 x 200 metrów i górujący około czterdziestu metrów nad wymienionymi wyżej wsiami. Góra ta leży na głównym europejskim dziale wodnym. Tuż przy niej swój ciek rozpoczyna Zachodnia Berezyna płynąca do Niemna, o dwa i pół kilometra dalej płynie rzeka Usza wpadająca do Wilii, a siedem kilometrów na południe od góry, z Berezyną łączy się rzeka Świsłocz.

W czasach prehistorycznych terytoria te zamieszkiwały plemiona bałtyjskie, które z wiekami zasymilowały się z napływowymi plemionami słowiańskimi, lecz wiele reliktów kultury Bałtów zostało wpojonych w tradycję słowiańską i przetrwało na Białorusi do dzisiaj.

Echa tamtych czasów do dzisiaj pobrzmiewają także w wielu geograficznych nazwach, czego przykładem jest „białoruski Olimp"– Panieńska Góra. Jej nazwa wywodzi się ze starego litewskiego słowa „dievas" oznaczającego „Bóg". Na Białorusi słowo „diewa" lub „diwa" oznacza pannę, to też z upływem lat na skutek słowiańskiego kojarzenia słowa starożytnych Bałtów „dievas"– boga z „diewą"- panną, pogańska święta góra stała się dla Słowian „Panieńską Górą".

Relikty prehistorycznej kultury Bałtów prze-

trwały na Białorusi także we współczesnych ludowych obrzędach, jak chociażby święto Kupały z nocnym paleniem ognisk i skokami przez nie, oraz puszczaniem na wodę wianków. W poleskim folklorze, również zachowały się ślady prastarej kultury Bałtów.

W 1987 roku, grupa białoruskich archeologów pod kierownictwem profesora E. Zajkowskiego rozpoczęła prowadzić na Górze Panieńskiej wykopaliska, w poszukiwaniu ocalałych historycznych szczątków naszych bałtyjskich przodków. Odnaleziono tam około dwudziestu pięciu ziemnych grobowców Jaćwingów z różnymi użytkowymi przedmiotami w nich z okresu pomiędzy IX i XII wiekiem. Odkryte spod warstwy ziemi wykopaliska świadczą, że na górze znajdowała się również gontyna, czyli pogańska świątynia.

Muszę tutaj powrócić jeszcze do filmu o greckich Delfach, w którym został wyjaśniony eksperymentalnie fenomen delfijskiej wyroczni. Stwierdzono, że góra Olimp, a więc i delfijska świątynia na niej znajduje się nad tektonicznym pęknięciem, którym płynął strumień o specyficznym składzie chemicznym wydzielającym narkotyczne opary. Delfijska wieszczka greckiego boga Apollina Pytia głosząca tam swoje „proroctwa", była odurzana tymi oparami, które wydobywały się do jej pomieszczenia przez specjalny tunel zakończony otworem w podłodze.

U stóp Góry Panieńskiej znajdują się trzy źródła, a ona także leży nad wielkim tektonicznym pęknięciem o nazwie Orszańskie, które „oddycha" swoją tajemniczą atmosferą sprzed miliardów lat... I tutaj w udowodnianiu analogii pomiędzy Olmpem greckim i białoruskim, stawiam już nad „i" kropkę.

* * *

Pragnąc odetchnąć „atmosferą białoruskiego Olimpu" i sprawdzić na miejscu wszystkie swoje dociekania, postanowiłem osobiście znaleźć się na „Górze Bogów", w pobliżu której leży miejscowość Wiazynka, z której pochodzi białoruski pisarz Janko Kupała. To chyba nie przypadek, że ten wielki człowiek narodził się obok tej świętej góry. A i nazwa leżącej obok wsi Dąbrowa mówi o tym, że tutaj pośród świętych dla pogan dębów, znajdowała się ich świątynia.

Zresztą tutaj wiele okolicznych wsi nosi nazwy świadczące o ich starej, jeszcze przedsłowiańskiej przeszłości. Mieszkał tutaj kiedyś prawdziwy konglomerat plemion bałtyjskich i przybyłych później ze wschodu Krywitów oraz Tatarów.

Wybrałem się tam z przyjaciółmi i ten jednodniowy pobyt w Dąbrowie, wywarł na mnie wrażenia zarówno wspaniałe, jak i przykre. Przed wyprawą na Panieńską Górę „rozejrzałem się" po wsi i to ona zrobiła na mnie niezwykle przygnębiające wrażenie. Wieś Dąbrowa umiera. Jest w niej wiele opuszczonych, popadających w ruinę domostw, stary nieczynny browar, murowany młyn, świecąca czarnymi otworami po oknach nieczynna szkoła i pokościelne mury. Bolszewicy po zamknięciu kościoła przeznaczyli go na magazyn sztucznych nawozów. Kościelny budynek pełnił tę rolę do czasu, dopóki komsomolcy go nie podpalili. Teraz pozbawione dachu mury niszczeją i zarastają zielskiem, a w ich wnętrzu na jednej ze ścian wisi zdeformowany żelazny krzyż. Mam pytanie, czyżby we wsi nie było chrześcijan? Jeśli nawet ich nie ma, to przecież należy pamiętać o spuściźnie każdej kultury i troszczyć się o nią.

Podczas naszej obecności w Dąbrowie, towarzyszył nam w



Kościół w Dąbrowie

charakterze przewodnika po wsi jej okolicy emerytowany kierownik tutejszej nieczynnej szkoły pan Wiktor Korsak, ale wizyta nasza rozpoczęła się od wysłuchania prastarej legendy, którą opowiedziała nam emerytka pani Walentyna Kowalewska mieszkająca przy ulicy Panieńska Góra.

Bardzo dawno temu, żyła tutaj piękna, lecz niezwykle zarozumiała dziewczyna, o której względy zabiegali dwaj chłopcy. Dziewczynie podobali się obaj, więc wybór kandydata na męża postanowiła oddać w ręce losu, który im zgotowała. Obiecała, że wyjdzie za mąż za tego z nich, który zatoczy na szczyt świętej góry olbrzymi kamień.


Jeden z budynków Dąbrowy popadający w ruinę

Dziewczyna nie wyszła za mąż do końca życia, gdyż jeden z zalotników tocząc kamień skonał z wysiłku w połowie drogi na górę, a drugi z nich był silniejszy, bo skonał dopiero na jej szczycie. Po tym zdarzeniu mieszkańcy wsi, co roku pielgrzymowali na szczyt tej góry, aby złożyć tam ofiary. Inna wersja legendy mówi, że mieszkańcy wsi ukarali dziewczynę za to okrucieństwo, zakopując ją żywcem na szczycie świętej góry.

Z pewnością ta legenda sięga swoimi korzeniami obyczajowości czasów pogańskich, ale po asymilacji Bałtów ze Słowianami i ich chrystianizcji, wiele prastarych pogańskich obrzędów i tradycji przybrało postać legend żywych do dzisiaj, chociaż i niektóre obrzędy także przetrwały. Pani Walentyna Kowalewska pamięta, że jeszcze pół wieku temu na zboczach Panieńskiej Góry porośniętej wówczas leszczyną, było wydeptanych wiele ścieżek na jej szczyt, gdzie miejscowa młodzież urządzała przeróżne imprezy związane z pogańskimi świętami, włącznie ze świętem Kupały.

Podczas tej wyprawy, największym i najpiękniejszym przeżyciem była moja „pielgrzymka" na Panieńską, a w pogańskich czasach Świętą Górę, którą odbyłem w towarzystwie mieszkańca Dąbrowy pana Wieńczysława Makowczuka. Ażeby dostać się na jej szczyt, musieliśmy pokonać około pół kilometra drogi zboczem porośniętym klonami i młodym lasem. Podczas tej wspinaczki, uwagę moją zwróciła porastająca górę niezwykle bogata i bujna roślinna szata z kobiercami przylaszczek, leśnego groszku, bukwicy i wiechami kwiatów trzmieliny. Roślinność ta w naturalnym środowisku tworzy symbiozę z dębami, co jest dowodem tego, że niegdyś pogańska święta góra była porośnięta dębowym lasem.

Na płaskim i rozległym szczycie Panieńskiej Góry, ujrzeliśmy wiele mogił charakterystycznych dla antycznej kultury Bałtów, w postaci kopców obłożonych kamieniami. Niektóre z nich były rozkopane przez archeologów. Prócz mogił, na górze znajduje się mnóstwo dużych kamieni. Wśród nich był tutaj również ogromny „kamień Adama", którego opis pamięta pani Walentyna. Po zachodniej stronie płaskowyżu góry znajduje się wał ziemny, charakterystyczny element dla wznoszonych niegdyś gontyn, czyli pogańskich świątyń.

Po tej wspaniałej wyprawie na świętą górę naszych przodków a teraz na Panieńską Górę, pytam: Dlaczego ona nie może być naszym białoruskim Olimpem, celem turystycznych pielgrzymek do miejsca pogańskiego kultu naszych przodków? Przecież niedaleko naszego Olimpu leży Mińsk i Wiazynka, miejsce narodzin Jana Łucewicza znanego nam jako Janka Kupały. Teren wsi Dąbrowa przynależał do katolickiej parafii w Wiazynce, a Janko Kupała urodził się w rodzinie katolickiej.

Gdyby płaskowyż Panieńskiej Góry przygotować na przyjęcie zwiedzających ją turystów, to z niej na cztery strony świata otworzyłby się widok na nasz Kraj. A góra leży w jego centrum.

***A. Dubowski**, Pińsk*

Korekta: B. M.

Код памяці

Чым болей я жыву, тым мацней мне падаецца, што ў жыцці я не спасціг нечага галоўнага. Як бы прайшоўся па яго вярхах за 60 гадоў, пагойдаўся на прыемных яго хвалях і ўсё. А цывілізацыя за тысячагоддзі сабрала для ўсіх народаў амаль непадымальны пласт звестак, своеасаблівы код памяці пра тое, як трэба жыць у гармоніі з навакольным светам. Аднак, гэта інфармацыя не ўжываецца, і са стагоддзя ў стагоддзе людзі сутыкаюцца з дробнымі штодзённымі непаразуменнямі, вядуць малыя і вялікія войны. Яшчэ 17 гадоў таму назад я сутыкнуўся на Палессі з цудоўнымі мастацкімі вырабамі народнай творчасці ў выглядзе вышытых ручнікоў, аднак, не прыдаў гэтаму важкасці, таму што ніхто і ніколі мне пра гэта не гаварыў. І толькі цяпер, прагледзеўшы спецыяльную літаратуру, разбіраючы мудрагелістыя ўзоры, зразумеў, што з нашага жыцця адсунута памяць нацыі, а калі мы яе страцім назаўжды – тады і самі згубімся ў гэтым бясконцым і жорсткім свеце.



Не цяжка ўявіць, як тысяча гадоў таму непісьменная дзяўчына доўгімі зімовымі вечарамі вышывала ручнік і толькі яму давярала свае пачуцці, жаданні, затым ішла на капішча і, звяртаючыся да сваіх багоў, аддавала гэту ахвяру выбранаму ідалу. Так і яе маці, калі выдавала замуж дзяўчыну ў іншае племя, прасіла багоў праз вымоўныя вышыўкі на ручніках быць чулымі да яе дзіцяці. Такія абрады дайшлі і да XX ст., але ўжо ў хрысціянскім абрамленні.

Некалькі гадоў таму назад на закінутым хутары сярод багнаў і лясоў я знайшоў верацяно, на якім была выразана такая просьба:

Любоў мая, да цябе прыльні,
Любоў мне змоладу дадзена,
Любоў мне разбіла жыццё,
Без цябе смуткую я.

А побач намалявана бярозка.

Заклінанні, элементы варажбы, просьбы, спадзяванні, выявы аблiччаў багоў, міфалогію язычніцтва і нават Душу чалавека – усё адлюстроўваюць вышыўкі і ўзоры ткацтва. Многія з іх звязаны з ураджаем, і па іх канфігурацыі мы можам сёння мець уяўленні, як даўней нашы продкі ўяўлялі язычніцкіх багоў і духаў: Перуна, Стрыбога, Ладу, Дамавіка, Мару, Жыценя, Багача, Спорыша, Маці-Аранту, Дрэва Жыцця, Продкаў і шмат іншага.

У першай палове XX ст. можна было яшчэ сустрэць сялянак, якія ўмелі разгадаць гэтыя коды на ручніках. Цяпер ужо цяжка знайсці такіх людзей. Выміраюць вёскі, а разам з імі і рукадзелле, якое дэманстравала часта не толькі асабістыя пажаданні, але і просьбы цэлай вёскі. Апошнія масавыя просьбы да Бога былі ў часы Другой сусветнай вайны. За суткі пралі, ткалі і вышывалі доўгі ручнік і неслі яго ў царкву з просьбамі аб выратаванні вёскі.

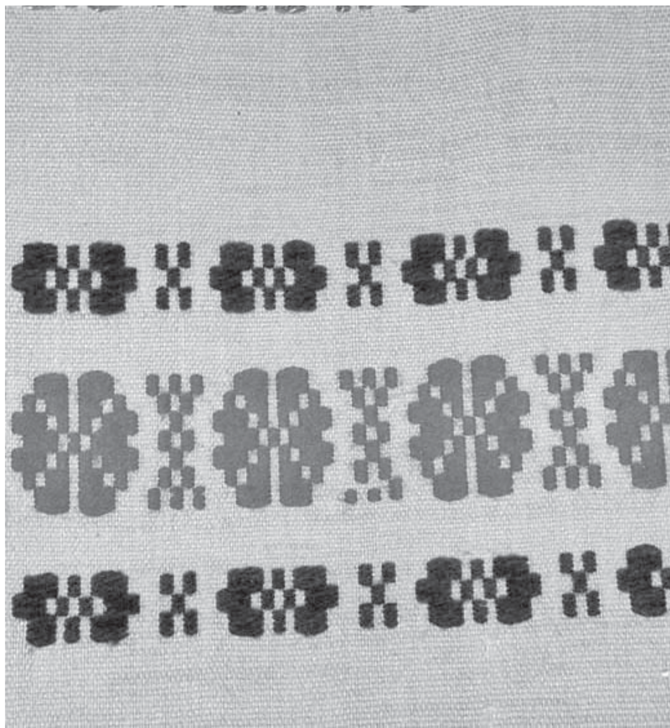
Сёння цяжка ўявіць залежнасць сярэднявечнага чалавека ад прыродных стыхій, яго няведанне іх сутнасці. Цяпер усё неабходнае для жыцця мы купляем у магазіне, а ў тыя далёкія часы эпідэміі, неўраджаі прымушалі чалавека шукаць ратунку не толькі ў Бога, але і ў шматлікіх, якія засталіся яшчэ з часоў язычніцтва, міфалагічных істот, якія жылі і пад страхой, і ў хляве, і ў лесе, і ў рацэ. Уся гэта шматгранная сістэма ўзаемаадносін знаходзіла адлюстраванне

ў ткацтве і вышыўцы, не толькі як у матэрыяльным вырабе, але, у першую чаргу, як у створанай містычнай і псіхалагічнай з'яве. У музеях Беларусі сабраны тысячы і тысячы экспанатаў народнай ткацкай творчасці. У навуковай літаратуры падаюцца ўсе асаблівасці спосабаў вязання, ткацтва і вышыўкі, але галоўнае – каму, для чаго, з якой мэтай, што было на душы ў творцы ў той момант, інфармацыі няма. А гэта вельмі важна ведаць: для якога абраду, выпадку выконвалася праца.

Калі я стаў углядацца ў сімволіку народных вырабаў, адкрыўся мне невядомы і дзіўны свет душы нашых продкаў. Гэта неверагоднае адчуванне! Цяпер, калі гляджу на вышыты ручнік, ужо ведаю з большага, пра што ён гаворыць.

Нядаўна паехаў з дзецьмі на экскурсію ў Тураў. У краязнаўчым музеі, дзе быў шмат разоў, адразу падышоў да вышывак. Чытаю сімвалы: моцная сям'я, продкі з пажаданнямі ў абрамленні знакаў Душы. Раней людзі вельмі моцна былі звязаны са сваімі памерлымі Дзядамі, спадзяваліся на іх дапамогу і ў падзяку за гэта вышывалі іх сімвалы на ручніках, якія затым аддавалі ў царкву, упрыгожвалі прыдарожныя крыжы, якія выконвалі ролю ахвярніка. Часта на крыжах разьбяры размяшчалі выявы розных звяроў, як сімвал даўнейшых ахвяраванняў.

Аднойчы бачыў ручнік з вышытымі галубкамі. Відовішча вельмі кранальнае: галубкі з распушанымі крыламі глядзяць у розныя бакі. Гэта





сімвал моцнага кахання, як кажуць, да смерці, якое прайшло, а памяць аб ім засталася толькі на ручніку. А мы пра гэта даведаліся праз шмат гадоў.

Многія ўзоры паўтараюцца для ўсіх рэгіёнаў Беларусі, што сведчыць пра агульныя карані вераванняў, традыцый і культуры нашага народа. Асабліва часта выкарыстоўваліся сімвалы Зямлі і Сонца ў адзіным ромбе – сімвале жыцця, які адначасова выконваў функцыю містычнага абярэга. На адным пінкавіцкім ручніку (гл. фота) на ствале дрэва размяшчаюцца такія ромбы адзін на адным – вышыўка ручніка скіравана з надзеяй у будучае. Галоўная выява акружана ягадамі чырвонай рабіны і чырвоным вянком – сімвалам доўгага і шчаслівага жыцця. Акрамя таго, ромб – гэта два злучаныя трохкутнікі, а гэта ўжо сімвалы мужчыны і жанчыны, а калі пасярэдзіне знаходзіцца кропка, тады гэта ўжо сімвал новага жыцця. Увогуле, узорчатых канфігурацый у гэтым гатунку народнай творчасці тысячы і тысячы, усіх іх не зможа разгадаць ніхто, аднак абазначыць у цэлым сутнасць вышыўкі можна, а ў некаторых выпадках і адкрыць яе душу. Уявіце сабе такі выпадак: у сучасным горадзе жыве сям'я, у шафе зберагаюцца ў скручаным выглядзе (іх захоўваюць як Тору) ад прабабкі вышытыя ручнікі. Які сакрэт рода яны нясуць у сабе, што могуць расказаць нашчадкам – тайна за сямю пячаткамі. А спробу зрабіць можна і даведацца пры гэтым шмат цікавага.

Задача – зберагчы як мага больш гэтых старажытных народных сімвалаў. Пры цяперашняй фота-відэатэхніцы гэта магчыма. Патрэбны жаданне, час і сродкі – і Палессе адкрые нам свае тысячагадовыя духоўныя скарбонкі.

А. Дуброўскі, *Pińsk*

O POLESIU I O ŚWIECIE

Kogo zadziwić chcesz „Polesia czarem",
albож piękniejszych krain w świecie mało?
A ja odpowiem powiedzeniem starem:
Tam pięknie, kędy serce pozostało.

Tedy jako naturalizowany człowiek Polesia, tam właśnie zostawiłem serce. Bo widziałem na Polesiu wszystko, czym tamten kraj owocował, a bywały to sprawy piękne. Oglądałem czajki płaczące w powietrzu zatroskanym krzykiem i jastrzębie – „korszuny" widziałem, pikujące jak bombowce na polne myszy, albo i na małe zajączęta. Słuchałem basów bagiennych ptaków, bąków i bekasów, podglądałem połyskliwe ważki-łątki i biegające po wodzie jak po stole wodne pająki. Widziałem żubry, jak ze spuszczonymi, brodatymi łbami powoli, z rozmysłem kroczyły między puszczańskimi drzewami. Opowiadano mi, jak rozsierdziła jednego z nich wąskotorowa kolejka, więc stanął na torach z nadstawionym łbem i czekał na bitkę. „Miszki" – niedźwiedzia nie spotkałem, ale też mi ktoś opowiedział, że razu pewnego na chłopską furmankę wiozącą na sprzedaż beczułkę miodu wskoczył taki jeden, a wystraszony Poleszuk nawet obejrzeć się nie śmiał i czekał aż mu intruz wygarnie miód łapą zeskoczy z jadącego wozu i pójdzie spokojnie w las. Za to już sam widziałem dziki, jak pochrząkując biegały gdzieś stadkami, a Puszczę Białowieską trzeba było szczelnymi płotami od chłopskich pól odgradzać, bo niszczyły wszystko co znalazły posianego albo zasadzonego. Sarny i jelenie widywałem dziesiątkami, a kiedy przez kwadrans leżałem bez ruchu pod którąś, sięgającą nieba sosną, słuchałem koncertu setek muzyków ptasiego rodu. Zajęcza młodzież z radości, że żyje, kotłowała się wtedy ze sobą, albo kicała w kółko, podobnie jak potrafią biegać oszalałe od własnego pędu psiaki. O piętro wyżej od zające hasały, z rzadką tylko w odskoku dotykając łapkami ziemi, rude polskie wiewiórki.



Mieszkanka wsi Kudricze

To wszystko działo się nieopodal zameczku, nazywanego, za polskich czasów, prezydenckim, bo tam prezydent Mościcki nocował, kiedy polował w okolicy. A bardzo już stary Poleszuk ze wsi Białowieża opowiedział mi, bo mnie do niego po tę ciekawostkę posłano, że gdy był dzieckiem a do pałacyku przyjeżdżał na polowanie car Aleksander III, to wieczorami wymykał się „ochranie" i przychodził do nich na kapuśniak i chłopską wódkę-siwuchę. Dziś zameczku nie ma, spalił się, czy go może spalono, bo druga wojna światowa rozgrywała się po hasłem niszczenia wszystkiego co żywe i nieżywe, wszystkiego co nosiło nazwę „wczoraj". A sama puszcza, nie zniszczona przez Sowieciarzy i Hitlerowców, niszczona jest teraz, przez władze wolnej już Polski. Tak dalece, że z niej został tylko skrawek. Chyba, że dobry duch natchnie społeczeństwo i zabroni ono, zakrzyczy barbarzyńców, którzy w pogoni za oczywiście potrzebnym skarbowi państwa dochodom, nie powstrzymują się przed niczym, nawet przed zagładą odwiecznej, unikalnej w Europie, Białowieskiej Puszczy.

A ja czy mogę o niej zapomnieć i wymazać ją z pamięci?

O puszczo moja, Puszczo Białowieska,
piękna kraino z przeszłości, z daleka.
Już nie zielonaś z dala, a niebieska
i już powrotu mojego nie czekasz.

A daleko od Białowieży, w okolicy Łunińca, nad samą prawie ówczesną granicą sowiecką, w towarzystwie leśnika i komarowych rojów, zobaczyłem nad ranem idącego do wodopoju łosia, nie częstego mieszkańca Polski. Zaś w nadleśnictwie Barany w północnej prużańszczyźnie, zaproszony tam przez nadleśniczego Czarnieckiego, widziałem inny polski unikat, bobry. Podpatrywałem jak niestruszenie pracowały, tak właśnie jak to oglądamy teraz w telewizji. A pana Czarnieckiego pamiętam z innych jeszcze dwóch powodów. Jego córka chodziła przez krótki czas do tej samej co ja klasy gimnazjalnej w Prużanie, a sam nadleśniczy wsławił się w okolicy przygodą, która mu się nie udała, chociaż intencje miał jak najlepsze. Prezydent Ignacy Mościcki razu pewnego i do niego na polowanie przyjechał, a on, chcąc „włodarze"

przyjąć pod hasłem „zastaw się a postaw się", wystawił mu w lesie namiot, od wewnątrz ustroił go dywanami, zastawiając stół wykwintnymi potrawami i baterią drogich napoi. Prezydent wszedł, przywitał się z obecnymi, rozejrzał po namiocie i oświadczył, że przyjechał tu na świeże powietrze, więc śniadanie zje nazewnątrz. Potem wyszedł, siadł na pieńku, wyjął z torby kanapkę i zjadł.


Śluza nad rzeką Prypeć w Kaczanowicach

W odległych czasach widziałem też raz jeden wilcze ślepia, gdyśmy późnym zimowym wieczorem wracali sankami z kolegą od nauczycielek z pobliskiej szkoły. Mój kolega, syn właściciela folwarku całą siłą trzymał na lejcach zdurniałe ze strachu konie, a ja leżąc na sankach strzelałem z pistoletu, żeby hałasem wilki odstraszyć.

Tamta wilcza przygoda przydarzyła mi się zimową porą, kiedy wilki bywają zdesperowane. Za to latem miewałem mniej niebezpieczne atrakcje. Żabie koncerty poleską brzmiały mi uwerturą, bo gdzież jak nie na tamtejszych bagnach żabia społeczność mogła takimi milionami zamieszkiwać trzęsawiska, co potrafiły bez ratunku wciągnąć człowieka, jeżeli się niebacznie za daleko zaawanturował. Za to żaby bywały tam bezpieczne, żaden bocian się nad „oka" wodne nie zapuszczał, brodząc po płytkim, gdzie też naiwnych żab nigdy nie brakowało.

A na suchych gruntach też nie brak bywało na Polesiu czworonogich mieszkańców. Nawet obok borsuka przejechałem kiedyś rowerem, ówczesnym samochodem, bo maszerował po poboczu drogi. Musiał być o czymś zamyślony, bo nawet głowy w moją stronę nie odwrócił, albo też był pewien swoich praw „tamtejszego", którego Polesie od wieków było własnością.

Bogactwem Polesia, a moją ulubioną potrawą były, mieszkające po tamtejszych lasach, grzyby. A Poleszucy to nie Niemcy i nie Anglicy, nie bali się grzybów i chętnie się nimi dożywiali. Bywały takie miejsca w lasach, gdzie trzeba je było wyszukiwać, ale „znający" wiedzieli, że komu zależało nie na spacerze tylko na szybkim napełnieniu koszyków, mógł znaleźć miejsca, gdzie nogi nie można było swobodnie postawić, żeby grzyba nie rozdeptać. A rozmaitość i ilość ich była tam taka, że nie zawsze szło się „na grzyby". Chodziło się raz na borowiki nazywane najczęściej prawdziwkami, gdyby najcenniejsze i „szlachetne", na piękne kozaki w czerwonych kapeluszach na podbereźniaki, podpieńki, na „żydowskie kurki, zwane po białoruski lisiczkami", jedyne jakie Żydzi zbierali i jedli, bo nie miewały robaków, a gromadziły się zbiorowo, istotnie jak lisy żółtymi koloniami i przez miejscową ludność traktowane raczej niechętnie. Chodziliśmy też czasem na podpieńki i maślaki, a specjałem były też kłapciaste rydze, świetnie w smaku gdy się je piekło na kuchennej rozgrzanej płycie. „Lepszy rydz niż nic", to nie nasze poleskie powiedzenie, zwłaszcza, że nie bywało ich za wiele. A były jeszcze grzyby syrojadki, które się zjadało na miejscu na surowo.

A kwiaty poleskich łąk! Może tam gdzie po świecie bywają podobne, ale tamte poleskie były nie do zapomnienia. Jak i lasy tamtejsze iglaste, co chmur sięgały. I bory drzew liściastych, olbrzymów, gigantów, których pnia, bywało że objąć mogły z trudem dwie, albo i trzy osoby. Włoskie i wszystkie inne po świecie rosnące winnice i południowe orchidee, już ci wspaniałe są i malownicze, alem w Szereszowie widział, kto wie czy nie jedyne w Polsce poza Czerniowcami pnącza winogronowe, południowych ścian uczepione, nieśmiało w tamtym klimacie, kwaśnawo owocując. A w Holickim lesie, pod Rewiatyczami, znalazłem storczyka, polską orchideę i potwierdził mi to odkrycie profesjonalnie nasz gimnazjalny przyrodnik „Dyzio" Skorupski.

Sześć miesięcy, od czasu kiedy w mundurze wyjeżdżałem z Polesia na ochronę zachodniej granicy Polski, w pierwszych dniach października, zetknąłem się z tym, co w ówczesnych warunkach było „zagranicą". Prowadzono nas w długiej czwórkowej kolumnie siedmiuset oficerów, do koszar w Skierniewicach. Szliśmy w niczym nie przerywanej ciszy, bo wszyscy podobnie jak ja zdruzgotani byli dramatem minionego Września. My, pierwsze pokolenie młodych ludzi wychowanych w niepodległej. Nasi „Wachmani", niemieccy konwojenci, milczeli również, bo żołnierz w szeregu nie rozmawia. I wtedy w prowadzącej do koszar wejściowej bramie stanął niemiecki sierżant z pejczem zakończonym kilkunastoma rzemieniami w ręku. Wymachiwał nim nad naszymi głowami i w taki sam sposób jak jego Führer Hitler, z twarzą wykrzywioną złością i wrzaskiem, ryczał zachłystując się własnym krzykiem: – Los, los! Schneller... Gdyby przypadkiem scenę tę oglądał widz nie Polak i nie Niemiec, wydała by się ona prawdopodobnie zabawna. Bo ten samotny człowiek, rozwrzeszczany na milczącą, idącą w martwej ciszy w tempie nakazanym przez prowadzą-



Fragment zabudowań w Kudriczach

cych, wydałby mu się błaznem albo szaleńcem, jeżeli nie po prostu durniem.

Następne spotkanie nie z „zagranicą" już, tylko z rzeczywistością, odbyło się następnego, niedzielnego dnia w garnizonowym kościele, gdzie po raz pierwszy od dwudziestu lat znowu śpiewaliśmy „...Ojczyznę wolną racz nam wrócić Panie..." Nie przypuszczam, by te moje słowa wywarły obecnie na kimkolwiek wrażenia chociażby w przybliżeniu, podobne do wrażenia przez wszystkich nas wówczas odniesionego. Te słowa były trzaskiem pioruna i oślepiającym serce bólem rozżarzonej błyskawicy.

A wkrótce przyszło moje kolejne zapoznanie się z „zagranicą", kiedyśmy wjechali pociągiem na peron stacyjny w Dreźnie, gdzie z jakiegoś powodu zgromadził się tłum Niemców. Stali w obramowaniu dziesiątków flag z Hakenkreutzem i z zaciśnietymi pięściami podniesionych nad głowami rąk, nienawistni krzycząc: - Polnische Schweinehunde! – polskie świńskie psy.

Tak wtedy zaprezentował mi się oglądany świat. Zachodni, więc kulturalny.

Lecz niedługo potem miałem możność przekonać się, że ten świat poza granicami Polski to nie tylko sami wściekli z nienawiści ludzie, ale również natura. Bo znowu nas kowojowano w kolumnie, aleśmy szli tym razem szosą wijącą się wśród pięknych, bogato zadrzewionych gór, Sehsische Schweitz, prowadzącą do wysoko na skałach widniejącego Burgu. Widoki uzasadniały nazwę Saskiej Szwajcarii, ale zamek był klatką, chociaż wystawioną na malownicze górzyste okolice, na położone w dole miasteczko Hohnstein i płynącą w dolinie rzeczkę Polenz. Potem było tych klatek więcej, bo nas przenoszono, ale żadna nie była już nigdy tak kolorowo piękna.

I dopiero po latach wyszedłem na wolny świat zagranicy. Nie była wolna Polska, ale byłem wolny ja sam, lat miałem trzydzieści dwa, a przy sobie odnalezioną w Niemczech siostrę i samodzielną pracę w bardzo licznym gronie Polaków w służbie innym Polakom. Środkowe i południowe oglądane wtedy Niemcy były piękne, a samochodowe wędrówki nad Renem od Bonn po Szwajcarię, ze słynną Lorelei i winnicami w Schwarzwald, nie do zapomnienia. I to wtedy dołączyła do mojego życia Danka.

Polesie odległe było ode mnie o dziesięć lat, kiedy rozpoczęliśmy w rodzinnej już gromadce moją dalszą wędrówkę w świat. Droga wiodła wzdłuż przepięknych Alp Austrii, doliną rzeki Inn, aż po austriacko-włoski Brenner, potem przez Włochy do Neapolu. Zobaczyłem pomarańczowe sady i oliwne gaje, widziałem znane z obrazów kobiety, noszące na głowie ładunek, nie podtrzymując go rękoma, obejrzałem rzymskie akwedukty, wysadzoną palmami aleję Santa Lucia w Neapolu, leniwie dymiący Wezuwiusz, włoskie bezchmurne, lazurowe niebo. Przepłynąłem Morze Śródziemne po Gibraltar i Atlantyk z Archipelagiem Wysp Zielonych po Rio de Janeiro z jego zachwycającą zatoką pełną wysepek, wśród nich ustrojoną tropikalną zielenią Ilha das Flores, miejsce naszej „kwarantanny" i odpoczynku. Przejechałem stamtąd przez Brazylię w pięciodniowej podróży od Rio i Santos po Rio Grande do Sul i obejrzałem wiele dziwów tamtego kraju, a także większość kolonii polonijnych. Lecz czyż to nie dziwne? Polesie i tam pozostało piękne, nie szarzało, nie gasło, nie odchodziło. To właśnie egzotyka powszedniała swoją monotonią tamtejszych lasów z pająkami i żmijami, a za to bez majestatu wielkości dawnych poleskich. A palmy, nie te grubopienne z grzywą korony w ananasowym kształcie, tylko pospolite, najczęstsze i wszedobylskie, okazały się patykami, skąpo od góry uliścionymi. Ratowały honor domu tylko imponujące piniory, inne w kształcie niż nasze sosny i włoskie pinie, choć od tego samego „pinus" pochodzące. I od biedy pojedyńczo rosnące rozłożystą figueiras, nic z figowymi drzewami nie mające wspólnego, a służące jako parasole, pasącemu się bydłu, gdy słońce zbytnio dokuczało.

Nie byłbym w moich osądach sprawiedliwy, byłbym nawet niewdzięcznikiem, nie przyznając moim brazylijskim latom doznań wielkiej przygody i oglądanych wspaniałości. Ale Polska, Polesie, a po nich Europa, były i pozostały dla mnie synonimami prawdziwego piękna natury. I pewnie dlatego potrafię zrozumieć Marszałka Piłsudskiego, który ponoć po obejrzeniu Niagary miał powiedzieć: „Ładna, ale Wodogrzmoty Mickiewicza ładniejsze."

Bogactwo i rozmaitości moich poznawczych wrażeń były i na zawsze pozostały jednymi z najciekawszych i najbogatszych przygód życiowych. Ale pragnieniem moim od lat było poznanie Alaski, bo mi się zdawało, że stamtąd bliżej będzie na Polesie, chociaż wiedziałem, że ani kraj ani jego klimat podobnymi do poleskich nie są.

Jak się na tej Alasce okazało, instynktownie wiedziałem czego pragnąłem. Przy całej swojej inności, Alaska

rzeczywiście dała mi przypomnienie wielu zbłękitniałych już nieco poleskich refleksji. Stanowiła koronę wszystkich moich w życiu wędrówek, a było ich niemało. Teraz miałem zamknąć moją krajoznawczą teczkę alaskańską wycieczką i przygodą.

Wrażeniem pierwszym jakie na Alasce opanowywało po opuszczeniu każdego z nielicznych tam ludzkich osiedli, była cisza wielkich obszarów, bezludzie. Ta cisza pustki była tak przemożna, że niemal nakazywała ściszanie własnego głosu, by jej nie obrażać. I już sama ta cisza przypominała poleskie strony i czasy, kiedy tak samo była wszędzie obecna o wieczornej porze, gdy i ludzie i reszta wszystkiego co żyje spała. A potem narzucały się na Alasce podobieństwa dalsze, kiedyś, niemal pod same moje nogi wycieczkowicza, przychodził w rezerwacie Denali, kuzyn białowieskiego jelenia – renifer, nazywany tam karibú. A płochliwy łuniniecki łoś nieufnie, ale też bez zbytniej obawy zerkał na nas, ruszając swoją olbrzymią wargą. Wielki, rozrosły, jakby chciał się dopasować do niekończących się, jak by się zdawało, przestrzeni tamtego kraju. A pewnego dnia, na nikogo się nie oglądając, przebiegł obok wycieczkowiczów czerwony lis. A był czerwony nie dlatego żeby w moim opisie wyszło to bardziej kolorowo, lecz był czerwony naprawdę. Ciemne alaskańskie niedźwiedzie niechętnie się, jak nam powiedziano, pokazują ludziom. Natomiast białe, chociaż też do ludzi nie podchodzą, z daleka dają się oglądać i właśnie taka niedźwiedzica leżała na trawie niezbyt daleko od nas, bawiąc się swą olbrzymią łapą z leżącymi na grzbiecie niedźwiadkami. I jakieś z wronowatego rodu ptaki krakały podobnie jak nasze wrony, przelatując z drzewa na drzewo. Łatwiej też niż nasze, dawały się podejść i oglądać tamtejsze bobry, bo kto wie czy cały ten zwierzyniec nie przywykł już do tego i nie wywachał instynktem, że nikomu tam polować na niego nie wolno.

Pamiętam przedwojenną anegdotę, w której pytano na egzaminie studenta psychologii, z czym mu się kojarzy pokazana mu chustka do nosa. Odpowiedział, że z kobietą.

– Z kobietą? – zadziwił się profesor – A jak pan to uzasadnia?

– A bo mnie się wszystko kojarzy z kobietą.

Jestem i ja takim studentem, któremu się na życiowym egzaminie wszystko kojarzy z Polską i Polesiem. Nie jest mi źle na świecie, ogrzewanie w mieszkaniu funkcjonuje prawidłowo, dzieci o mnie nie zapominają, artretyczne bóle bywają umiarkowane i mam licznych przyjaciół o ciepłych sercach, ale tamto dalekie we mnie jest i nie przemija. I muszę dodać, ale to już po cichu i żeby nikt się nie dowiedział, że nie tylko mi to nie przeszkadza, ale pomaga i upiększa, trochę tylko smętnawo, obecne życie. Bo i to życie i świat są urocze. Tylko że

piękne są wody mórz i oceanów,
lecz rzeka Bug w piękniejszym kraju leży.
I miasta wielkie z piękności są znane,
a ja w Prużanie życie chciałem przeżyć.
Bo tam mi bliżej do lat przeminionych,
gdy cicho było wokół i bezpiecznie,
a życie równe jak skiby zagonów



Przykład dawnego budownictwa

i tak zdawało się że będzie wiecznie.
Ale nie było. Zadrwił los złośliwy
i zburzył życie. Nie moje, lecz świata.
Cmentarze tam gdzie dawniej chłopskie niwy
i już legendą jest wieśniacza chata,
bociek na dachu, zimą sanki dzwonią,
Poleszuk z kosą wychodzi na drogę
i jak w piosence lśni „kwiecie na błoniu",
a ja pamiętam, zapomnieć nie mogę.

Taka jest dzisiaj moja legenda o Polesiu. Może i o Polsce. Bo tylko już legendą można nazwać dawne Polesie, jak ja sam zamieniony w legendę o minionych latach. Czytam zapisane tutaj własne słowa prawie z tym samym uczuciem, z jakim czytam zapamiętane na całe życie słowa Mickiewicza:

...Śród takich pól przed laty, nad brzegiem ruczaju,
na pagórku niewielkim we brzozowym gaju,
stał dwór...

Przez ponad pół wieku Polesie szło swoją dramatyczną drogą, a ja swoją. Jak odnajdywać zapomniane, dawne drogi wspólnych wędrówek...?

Więc nie pojechałem nigdy ani do Polski, ani na Polesie. Za tę cenę i jedno i drugie pozostało we mnie w postaci nienaruszonej. W stanie pamięci i myśli o tamtym kraju i o tamtych ludziach, których już nie ma.

Jan Wójcik
Bristol, USA
Foto: ***J. Adamski***

OD REDAKCJI

Artykuł powyższy nadesłał nam pan Jan Wójcik z USA, były mieszkaniec Prużan, który między innymi pisze: *(...) Mam lat 94, z powodu degeneracji gałek ocznych prawie nie widzę. Piszę odręcznie, gdyż pisać na maszynie już nie mogę, a odręcznie piszę tylko przy pomocy domowego ekraniku. Moim całożyciowym hobby było pisanie. Już w Polsce, a potem w trzech krajach świata, gdzie żyłem, zawsze jednym z głównych tematów było Polesie, w którym byłem i jestem zauroczony, choć mieszkałem tam tylko 17 lat, do wojny. (...) Ślę najlepsze pozdrowienia i życzenia pomyślnej pracy dla „Ech Polesia".*

Forum Czytelników

Tym razem Szanownym Czytelnikom prezentujemy aktualne tematy nadesłane do Redakcji, które odnoszą się zarówno do Polesia, jak i do tematyki ogólnej, a które wydawały się najciekawszymi. Do pierwszego zestawu należy „Historia jednej fotografii", „Wspomnienie o R. Kapuścińskim", medale dotyczące św. Andrzeja Boboli oraz wspomnienie o M. Rodziewiczównej, zaś do innych należą: program edukacyjny, polonijne spotkania czy „List do Polonii". Wszystkim Drogim nam Korespondentom, Czytelnikom, Autorom listów pocztowych i e-mailowych pragniemy tą drogą przekazać serdeczne podziękowania, jak też gorące pozdrowienia od Polaków i Białorusów z czarującego Polesia. REDAKCJA

Program edukacyjny Opowiem Ci o wolnej Polsce

Organizatorzy:
Centrum Edukacji Obywatelskiej
Instytut Pamięci Narodowej
Muzeum Powstania Warszawskiego

W roku szkolnym 2007/2008 Centrum Edukacji Obywatelskiej, Instytut Pamięci Narodowej i Muzeum Powstania Warszawskiego będą realizować program edukacyjny „Opowiem Ci o wolnej Polsce... – spotkania młodzieży ze świadkami historii".

Program ten skierowany jest do uczniów wszystkich poziomów szkół.

Celem programu jest przybliżenie młodym ludziom wydarzeń związanych z najnowszą historią Polski, pokazanie w jaki sposób na przestrzeni 50 lat kształtowało się społeczeństwo obywatelskie. Źródłem wiedzy o przeszłości będą losy ludzi. Świadkowie opowiedzą młodzieży historie, które być może nigdy nie zostały zapisane – odtworzą wydarzenia, ich kontekst społeczny, klimat przeszłości. Jesteśmy przekonani, że metoda wywiadu ze świadkiem historii jest doskonałym narzędziem edukacji historycznej, patriotycznej i obywatelskiej, które można wykorzystywać w czasie lekcji historii, polskiego, wiedzy o społeczeństwie a także zajęć pozalekcyjnych.

W programie stawiamy na samodzielność uczniów, wolne wybory i różnorodność pomysłów. Wierzymy, że podejmowane w ramach programu działania przyczynią się do kształtowania tożsamości młodych ludzi, zainteresowania historią, rozbudzenia patriotyzmu i obywatelskiej odpowiedzialności.

Uczniowie będą przeprowadzać wywiady z osobami, które brały aktywny udział w życiu politycznym i społecznym, sprzeciwiając się istniejącym systemom władzy w latach 1939 – 1989. Spotkanie ze świadkiem powinno być zarejestrowane w formie audio lub video, a następnie opracowane w formie pisemnej. Zadaniem uczniów będzie również upowszechnienie wiedzy o wydarzeniach, w których świadek uczestniczył – zorganizowanie wystawy, przygotowanie spektaklu, filmu bądź audycji radiowej, opracowanie artykułu prasowego itp.

Organizatorzy programu zapewniają uczniom jak i nauczycielom wsparcie merytoryczne oraz organizacyjne dla prowadzonych w szkołach działań – organizowane będą warsztaty i szkolenia dla nauczycieli i młodzieży, opublikowane zostaną materiały pomocnicze. Naszym zadaniem będzie również stworzenie przestrzeni do publicznej prezentacji efektów prac uczniów.

Zebrane materiały publikowane będą na portalu internetowym www.ceo.org.pl, www.ipn.gov.pl oraz www.1944.pl.

Najciekawsze i najlepiej przygotowane prace zostaną nagrodzone.

Od sierpnia informacje na temat programu dostępne będą na stronach internetowych www.ceo.org.pl, www.ipn.gov.pl, www.1944.pl

Historia jednej fotografii



„Święta Wola – najmniejsze miasteczko w Polsce międzywojennej, położone przy kolei wąskotorowej z Iwacewicz do Telechan i Janowa Poleskiego. Komendant posterunku, ojciec nasz Roman Prokop. Ojciec 18.IX.1939 r. z Armią Polesie doszedł aż do Kocka, gdzie w bitwie dostał się do niewoli niemieckiej, uciekł z niej i przyjaechał na stronę rodzinną, po nas i po rodziny swoich policjantów. Wywiózł wszystkich. Nas ostatnich 24.XII.1939 r. przez zamarznięty Bug. Obecnie budynek posterunku nie istnieje." – *Taki napis figuruje na fotografii, która trafiła do Redakcji „EP". Prosimy Czytelników o nadsyłanie dawnych fotografii z Polesia z okresu międzywojennego wraz z opisami wydarzeń i historii z nimi związanych.*

Wspomnienie o Ryszardzie Kapuścińskim

Odszedł na zawsze Ryszard Kapuściński. Wielki Polak, nasz Krajan – Pińczuk, znany na całym świecie dziennikarz, publicysta, reporter, poeta, kandydat 2006 roku do Literackiej Nagrody Nobla. My Pińczucy, zawsze byliśmy ogromnie dumni z naszego Wielkiego Rodaka. Ja poznałem osobiście Pana Ryszarda w 1993 roku, kiedy spotkaliśmy się podczas uczestniczenia w pielgrzymce do sanktuarium św. Andrzeja Boboli.

W 1996 roku dowiedziałem się, że dom, w którym Pan Ryszard spędził dzieciństwo, ma ulec zburzeniu. Będąc wówczas Prezesem Związku Polaków w Pińsku, wystąpiłem do władz miejskich z prośbą o sprzedanie tego budynku Związkowi, w celu utworzenia w nim muzeum pamięci Ryszarda Kapuścińskiego.

Władze Pińska wyraziły na to zgodę pod warunkiem, że będzie to muzeum wybitnych Polaków pochodzących z Polesia i Związek to zaaprobował. Kiedy Pan Kapuściński dowiedział się o tych naszych staraniach, przyjechał do Pińska.

Niestety, idea utworzenia tego muzeum upadła ze względów finansowych. Zwróciłem się do naszej głównej organizacji w Polsce z prośbą o finansowe wsparcie i nawet nie otrzymałem stamtąd żadnej odpowiedzi. Na znak protestu za takie traktowanie nas, w październiku 1996 roku złożyłem rezygnację ze stanowiska Prezesa Związku Polaków w Pińsku. To wielka szkoda i strata, że wówczas nikt nas nie wsparł.

Kiedy w 2002 roku Oddział w Pińsku Zjednoczenia Społecznego „Polskiej Macierzy Szkolnej" otworzył polską szkołę, podzieliłem się tą radosną wiadomością z Panem Ryszardem Kapuścińskim. Otrzymałem wówczas od niego piękny list, którego fragment tutaj zacytuję.

„...To prawda, wszędzie podkreślam z dumą, że pochodzę z Pińska i że utrzymuję serdeczne więzi z moim rodzinnym miastem, które jest zawsze tak bliskie mojemu sercu. Jestem szczęśliwy, że dzięki Państwu, istnienie Polskiej Szkoły stało się faktem. Dumny jestem z tego i życzę wszystkim: i gronu nauczycieli i uczennicom, oraz uczniom pomyślnej, owocnej pracy i nauki..."

Wtedy też obiecał, że przyjedzie do Pińska, aby cieszyć się razem z nami tym sukcesem. Niestety, nie przyjechał i już nigdy nie przyjedzie. Jednak pamięć o Nim, naszym Wielkim Rodaku pozostanie w naszych sercach na zawsze.

Ryszard Kapuściński zmarł 23 stycznia 2007 roku, a żałobna msza święta i pogrzeb jego odbyły się w dniu 31 stycznia. W tym samym czasie, u nas w Pińsku w Katedrze była odprawiona msza święta za jego duszę, której przewodniczył Kardynał Kazimierz Świątek, a koncelebrowali ją ksiądz Kanclerz Stanisław Paulina i ksiądz Rektor pińskiego Seminarium Duchownego Jan Salemon. Warto zaznaczyć, że uroczystość ta nie była poprzedzona specjalnym ogłoszeniem, ale podczas jej kościół był pełen Polaków, którzy modlili się za spokój duszy Ryszarda Kapuścińskiego.

W miesiąc po tej smutnej uroczystości, nasz Oddział w Pińsku Zjednoczenia Społecznego „Polska Macierz Szkolna" zorganizował uroczystość z okazji 75-tej rocznicy urodzin Ryszarda Kapuścińskiego. Trzeciego marca tego roku w przeddzień rocznicy, w wynajętej sali centralnej miejskiej biblioteki odbyło się uroczyste spotkanie zaproszonych na tę uroczystość gości z mieszkańcami Pińska, wśród których byli także znajomi Pana Ryszarda.

Wspomnieniami o życiu i twórczości Ryszarda Kapuścińskiego, podzielili się z nami Konsul Generalny RP w Brześciu Pan Krzysztof Czajkowski, Prezes pińskiego Oddziału Zjednoczenia Społecznego „Polska Macierz Szkolna" Pani Helena Jarucicz, profesor Uniwersytetu Śląskiego Pani Beata Nowacka, redaktor Instytutu Wydawniczego „Znak" Pani Bożena Dudka i przedstawiciele Wydziału Kultury Urzędu władz Pińska.

Potem kolejny nasz gość, aktorka z warszawskiego Teatru Dramatycznego Pani Jolanta Olszewska przedstawiła nam monodram według książki Ryszarda Kapuścińskiego „Cesarz". To jednoosobowe wystąpienie Pani Jolanty było wspaniałe, słuchacze byli zachwyceni i po zakończeniu występu aktorki, nagrodzili ją ogromnymi oklaskami i owacjami.

W dniu następnym, czwartego marca, w którym przypada 75-ta rocznica urodzin Ryszarda Kapuścińskiego, w pińskiej Katedrze odbyła się uroczysta msza święta, po której nastąpiło spotkanie z Jego Eminencją kardynałem Kazimierzem Świątkiem.

Później w naszej Polskiej Szkole odbył się uroczysty wieczór, poświęcony pamięci Ryszarda Kapuścińskiego. Po wstępnym słowie, uczestnicy spotkania uczcili Jego pamięć powstaniem z miejsc i chwilą uroczystej ciszy. Z kolei, na scenę wyszły dzieci z zapalonymi zniczami i recytowały wiersze Pana Ryszarda. Potem jego ulubione piosenki „Polesia czar" i „Polskie kwiaty", zaśpiewał chór „Polskie kaczeńce". Następnie były recytowane wiersze, śpiewali soliści, a także śpiewał dziecięcy chór „Jagódki".

Nie doczekaliśmy się wizyty Pana Ryszarda Kapuścińskiego w Pińsku na jego 75-te urodziny, ale był on z nami na tym koncercie w postaci wielkiego obrazu, znajdującego się na scenie. Był z nami, widział i słyszał wszystko. Mamy nadzieję, że był zadowolony słysząc jak w Pińsku nadal brzmi polska mowa, polskie piosenki i że dzieci polskiego pochodzenia uczą się polskiej kultury i prastarych pięknych tradycji.

Wiktor Mostek
Z.S. "Polska Macierz Szkolna" w Pińsku

Jeszcze o św. Andrzeju Boboli

W nawiązaniu do zamieszczonych w numerze 1/13/2007 artykułów dotyczących majowych obchodów 350 rocznicy męczeńskiej śmierci św. Andrzeja Boboli, postanowiłem przybliżyć Czytelnikom „Echa Polesia" będące w mojej kolekcji medale upamiętniające świętego oraz przy okazji księdza Kazimierza kardynała Świątka.

Obaj związani z Pińskiem, które to miasto jest moim miejscem urodzenia. Spędziłem w nim pierwsze 6 i pół roku życia, do połowy 1944 roku.

Jako wieloletni kolekcjoner, w którego zainteresowaniach pozostają książki, monety i medale, gromadzę też w miarę możliwości wszelkie pamiątki dotyczące Pińska, Flotylli Pińskiej, Marynarki Wojennej RP i 84 pułku Strzelców Poleskich.

Jeśli chodzi o medale poświęcone wspomnianym osobom to nie jest tego za wiele. W sumie posiadam medal



Awers: na gładkim tle wypukło-wklęsła postać świętego w drodze. Na obrzeżu półkoliście napis: św. ANDRZEJ BOBOLA – JEZUITA.
Rewers: widok kościoła przy ul Rakowieckiej w Warszawie p/w św. Andrzeja Boboli. W półkolu napis: WARSZAWA – MOKOTÓW – SANKTUARIUM

dotyczący św. Anrzeja Boboli o trzech różnych średnicach i w dwóch wersjach kolorystycznych oraz medal dotyczący księdza Kardynała również w dwóch wersjach kolorystycznych.

Medale dotyczące św. Andrzeja Boboli:

W 1993 roku z inicjatywy księdza Zdzisława Połubickiego z Koszalina znana artystka-medalier Pani Ewa Olszewska-Borys zaprojektowała i wykonała medal poświęcony św. Anrzejowi Boboli.

Jak już wyżej wspomniałem medale te są w trzech wersjach i tak:

1.medal w tombaku patynowanym o średnicy 60 mm wybity został w ilości 100 sztuk

2.medal w tombaku srebrzonym i oksydowanym o średnicy 33 mm wybity został w ilości 500 sztuk i w tombaku patynowanym 500 sztuk.

3.medal w tombaku srebrzonym i oksydowanym o średnicy 23,3 mm wybity został w ilości 1000 sztuk

c.d.n.

Romuald Lech Sieradzki
Gdynia

O czym szumi Dewajtis?

Pan Podpułkownik w st. spocz. Michał Aniszewski były mieszkaniec Polesia, urodzony w 1924 r. w majątku Ostrzyca k/Janowa Poleskiego, stał się od niedawna naszym współpracownikiem. Dla „Ech Polesia" przekazał szereg ciekawych artykułów wspomnieniowych. Spośród licznej korespondencji zamieszczamy wspomnienie o Marii Rodziewiczównej zamieszkałej w niedalekim majątku Hruszowa.

Dowódca sowieckiego oddziału, który dotarł we wrześniu 1939 roku do majątku Hruszowa w powiecie Kobryń, województwa Poleskiego – należącego do Marii Rodziewiczówny, odniósł się do niej bardzo poprawnie. Okazało się, że znał jej twórczość i pozwolił Jej pozostać we własnym majątku. Później okoliczne chłopstwo, podjudzane przez moskiewskie radio przeciwko „proklatym Lachom" zmusiło ją do opuszczenia tej posiadłości.

Obecnie w ogrodzie nie istniejącego dworu, pod rosnącym wiekowym dębem „Dewajtis" umieszczona jest pamiątkowa tablica:



Natomiast na cmentarzu, w tej miejscowości, jest grób rodziców Rodziewiczówny: Amelii zm. 1893 i Henryka zm. 1882. Betonowy nagrobek z cytatem z Ewangelii św. Jana: „Jam jest zmartwychwstanie i żywot..."

ppłk. w st. spocz. ***Michał Aniszewski****,*
Oborniki Śl.

Паланійныя спатканні з найноўшай гісторыяй

Упершыню Інстытут нацыянальнай памяці ў Варшаве праз сваё Бюро публічнай адукацыі 2 – 15 ліпеня 2007 г. арганізаваў інтэнсіўны курс для настаўнікаў польскай гісторыі з тых краін, дзе ёсць польскія адукацыйныя пляцоўкі. Такім чынам у Варшаве спаткаліся 39 выкладчыкаў Палоніі з Беларусі, Украіны, Літвы, Расіі, Грэцыі, Лівана, Аўстрыі, Францыі, Бельгіі, Швецыі, Канады і ЗША, каб даведацца пра апошнія метадычныя распрацоўкі ў галіне навучання найноўшай гісторыі Польшчы. Акрамя гэтага ставілася задача наладжвання сталых кантактаў БПА ІНП з паланійным асяроддзем за мяжой, папулярызацыя і распаўсюджванне там выдаўнічай прадукцыі ІНП і падрыхтоўка гістарычнага конкурсу, адрасаванага да вучняў польскіх школ усіх узроўняў за межамі краіны пад назвай “Раскажу табе пра вольную Польшчу…- сустрэчы моладзі са сведкамі гісторыі”, які плануецца правясці ў 2007/2008 навучальным годзе. Ад жніўня інфармацыя на тэму конкурсу і падрыхтоўчай праграмы да яго будзе размешчана на інтэрнэт-бачынах: **www.ceo.org.pl**, **www.ipn.gov.pl**, **www.1944.pl**

Праграма курса была насычанай і адмысловай. Сярод выкладчыкаў па праблемах найноўшай гісторыі Польшчы выступілі прафесар Анджэй Фрышке, кандыдаты навук Антоні Дудэк, Ян Жарын, Анджэй Кшыштаф Кунэрт, Анджэй Завістоўскі. Удзельнікі курсу прайшлі шэраг практычных заняткаў, на якіх пазнаёміліся з сучаснай методыкай навучання гісторыі Польшчы і атрымалі адукацыйныя папкі БПА ІНП, а таксама кнігу Яна Жарына “Касцёл у ПНР”. Быў праведзены шэраг экскурсій па Варшаве, сярод якіх наведванне музея Варшаўскага паўстання, музея ксёндза Юрыя Папялушкі, забітага спецслужбамі ПНР у кастрычніку 1984 г., могілак на Павонзках, каралеўскага замка, Варшаўскай крэпасці. Хітом праграмы стаў выязны чатырохдзённы семінар на паўночнае Мазоўша і Падляссе, дзе знаходзіцца шмат мясцін, звязаных з імёнамі славутых палякаў XX стагоддзя, такіх як кардынал Стэфан Вышынскі, Папа Рымскі Ян Павел ІІ, кіраўнік міжваеннай Польшчы Юзэф Пілсудскі, ксёндз Юрый Папялушка і інш. Адбылася экскурсія і ў Кракаў на Вавель.

Паланійныя настаўнікі гісторыі дзяліліся сваім досведам навучання, апавядалі аб праблемах і дасягненнях, якія маюць у сваёй працы. Вельмі важна, што наша заклапочанасць справай гістарычнай і патрыятычнай адукацыі за мяжой знайшла падтрымку на ўзроўні ІНП, што здабытыя веды і кантакты ў хуткім часе дапамогуць перавясці адукацыйны працэс на якасна новы ўзровень.

Плануецца, што “Паланійныя спатканні” будуць адбывацца штогод, а пакуль ад імя настаўнікаў з Беларусі хачу падзякаваць арганізатарам курса і яго кіраўніку Анджэю Завістоўскаму за новыя магчымасці навучання гісторыі Польшчы, якія БПА ІПН ахфярна стварае для польскіх адукацыйных пляцовак за межамі краіны.

Анна Панішава

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
DEPARTAMENT DO SPRAW POLSKIEGO DZIEDZICTWA KULTUROWEGO ZA GRANICĄ

List otwarty do Polonii i Polaków za granicą

Zwracam się z uprzejmą prośbą o udział w projekcie pn.: „Rejestracja zbiorów polskich za granicą" realizowanym przez Departament do Spraw Polskiego Dziedzictwa Kulturowego za Granicą w Ministerstwie Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Przedsięwzięciu temu przyświecają przede wszystkim cele naukowe i dokumentacyjne. Naszym zamiarem jest zgromadzenie informacji o istniejących obecnie kolekcjach polonijnych dla przechowania wiedzy i pamięci o nich, bez prób ingerencji w ich status własnościowy i organizacyjny.

Obok podstawowego zadania opisania stanu dóbr kultury podlegających stałym zagrożeniom, założona baza danych może być wykorzystywana na bieżąco przez badaczy i zainteresowane instytucje, ułatwiając im poszukiwania i współpracę. W 2009 r. planujemy wydanie publikacji na temat księgozbiorów polonijnych.

Prowadzona ewidencja obejmuje:

1. Zbiory biblioteczne mające wartość historyczną, kulturalną lub bibliofilską zarówno jako całość, jak też w poszczególnych fragmentach czy jednostkach, gromadzone przez Polaków oraz instytucje polonijne;
2. Polonijne księgozbiory użytkowe (funkcjonalne), także podręczne;
3. Inne rodzaje kolekcji np. archiwalne, muzealne, pamiątki historyczne.

Najważniejszym źródłem wiedzy o tych zasobach są kwestionariusze wypełnione przez osoby lub instytucje dysponujące informacjami o tego typu zbiorach lub mogące zaoferować pomoc w ich ochronie.

W przekonaniu o celowości podjętych działań uprzejmie proszę o wypełnienie kwestionariuszy rejestracyjnych dostępnych na stronie internetowej Ministerstwa www.mkidn.gov.pl w zakładce „Zbiory polskie za granicą". Cenne będą dla nas nawet wiadomości cząstkowe, sygnalne, stanowiące zaledwie wskazówki do dalszych badań. Ankiety mogą zostać wypełnione w dowolnym języku. Będę wdzięczny za każdą formę współpracy.

Wszelką korespondencję uprzejmie proszę kierować na adres: Departament do Spraw Polskiego Dziedzictwa Kulturowego za Granicą, ul. Krakowskie Przedmieście 15/17, 00-071 Warszawa lub drogą elektroniczną: mczartoryjska@mkidn.gov.pl.

Informacja o programie znajduje się na stronie internetowej Ministerstwa: www.mkidn.gov.pl - „Zbiory polskie za granicą".

Dyrektor Departamentu
Jacek Miler

OD REDAKCJI

Opublikowany przez nas „Herbarz szlachty poleskiej” autorstwa prof. Jana Ciechanowicza („Echa Polesia” nr 14, ss. 17-55) wzbudził u Czytelników silne zainteresowanie. Najczęstrze uwagi odnoszą się do brakujących nazwisk, lub ich brzmienia. Redakcja kierowała się pragnieniem ukazania przykładów, czyli nie mieliśmy aspiracji ukazania kompletnego zestawu, gdyż byłoby to zapewne trudne, a w niektórych przypadkach – niemożliwe. Niemniej Pan Prof. Jan Ciechanowicz rozszerzy zestaw nazwisk, my zaś uwzględnimy wszelkie poprawki, aby taki zestaw herbów szlachty poleskiej wydać w odrębnej zwartej pozycji książkowej, co powinno nastąpić w IV kwartale br.

Nadal oczekujemy od Szanownych Czytelników dalszych uwag, propozycji, uzupełnień, zapytań itp.

* * *

Przepraszamy PT Czytelników za zaistniałe z powodów technologicznych błędy w „Echach Polesia” nr 14, na str. 37; jest PrusyI, PrusyII, PrusyIII, ma być: Prus I, Prus II, Prus III.

Ponadto na str. 6 jest Stanisławska, ma być Staniszewska oraz Jesiodło, ma być Jesiołda.

Mój kanał Ogińskiego, mój biczewnik

Myślami uciekam w dawno minione lata, poprzedzające 1939 rok. Lata mojego szczęśliwego dzieciństwa. Wówczas my chłopaczkowie z Telechan, uznawaliśmy kanał Ogińskiego za swoją wyłączną własność. W naszym pojęciu, do nas należał ten cudowny, letni raj przyrody. Nasza była wodna kaskada, śluzy, jeziorko o złocistym dnie i drzemiące nad brzegami potężne drzewa.

Przecież to tutaj, ja razem z Tadzikiem, Kolą, Guciem i innymi chłopaczkami, mocząc się na golasa w wodzie po pępki, łowiliśmy ryby. Stopy nasze zatapialiśmy w biało-złotym piasku dna, bo stadka maleńkich okoni natrętnie szczypały nasze palce u stóp. Każdy z nas ma w ręku długi, prosty leszczynowy kij. Do końca kija przywiązany jest konopny sznurek, do sznurka zaś plecionka z końskiego włosia. Do niej haczyk. Na haczyku przynęta dla ryby, dżdżownica. W przezroczystej wodzie doskonale widać, jak skubie ją stadko malutkich rybek. Wtedy spławik z gęsiego pióra z korkiem, lekko drga. Ale oto do przynęty podpływa większa rybka. Rozpierzchły się maleństwa, a ona skubnęła przynętę raz, drugi i łaps! Ciągnie, trzymając w pyszczku. Teraz trzeba poderwać wędkę. Raz! Błysnęły słońcem w powietrzu srebrne łuski. Płotka leży już na trawie. Rozpaczliwie otwiera pyszczek. Stroszy czerwone grzebienie płetw. Teraz wędruje do saczka, zatopionego w wodzie. Niech się nie męczy.

A spławik drga znowu, ale inaczej. To bierze okoń. Raz! Już jest na brzegu, skąd trafia do saczka. Łowimy dalej, drepcząc po piasku dna, bo malutkie okonie nie dają nam spokoju.

– A kaby was usich szczuka zożrała! – żeby was wszystkie szczupak zeżarł! – Irytuje się Jura, wierzgając w wodzie nogami. Odgania tym sposobem skubiące go po nogach małe okonki. Jest widocznie spośród nas najmniej cierpliwy.

– Ty, umyj nogi, to ryby nie będą ciągnąć do padliny – chichocze ze swojego dowcipu Robert.

– A ty łowi rybu na swoi woszy – łap ryby na swoje wszy - odcina się Jura. Śmiejemy się wszyscy z ich pogaduchy. Jest fajnie, wesoło…

– Jutro przyjdziemy na raki. Tam gdzie one siedzą, woda jest głębsza i nie ma tego natręctwa - decyduje nagle najstarszy wiekiem Kola.

– Ja patrzyłem ooo tam, pod wykrotami! Zalęgło się ich pełno!

– Wieczorem nałapię żab na przynętę - wtóruje mu Gucio. Wiadomo przecież, że raka nic tak nie znęci jak żabie udko, aby wylazł z wykrotu.



Telechany. Widok na kanał Ogińskiego



Dziesiąta śluza na kanale Ogińskiego

Słońce skryło się już za drzewami. Drzewa rzucają długie cienie, aż na drugi brzeg. Pochłodniało. Wyłazimy z wody, na mokre ciała naciągamy ubrania. Rybki mamy już nadziane na wierzbowe patyczki. Patyczek wkłada się rybce do skrzeli, a wyciąga pyszczkiem. Rybki wiszą pęczkiem, jedna nad drugą. Czasem jeszcze któraś rozpaczliwie trzepnie ogonkiem. Teraz do domu. Bose nogi chłopaczków mlaskają o piach. Jeszcze ciepły, wygrzany. Będzie kolacja z rybek. Mama je usmaży.

Czasami, jeśli w piątek po południu nie łowimy ryb, nasza paczka chłopców urządzała sobie atrakcyjny wypad. Tuż przed zachodem słońca, cichaczem wymykaliśmy się z domów i biegliśmy przez rynek w uliczkę, gdzie znajdowała się synagoga. W synagodze, w piątek wczesnym wieczorem modlą się Żydzi.

Jak możemy najostrożniej, uchylamy drzwi synagogi, żeby broń Boże nie skrzypnęły. Z wnętrza dobiega męski wielogłos modlących się. Nad tym bezładnym chórkiem góruje wysoki, lekko schrypnięty głos wiernego, czytającego Torę. Człowiek ten ubrany jest w dziwne dla nas, liturgiczne szaty.

Szparą w drzwiach wydostaje się na zewnątrz rozgrzane powietrze, przesycone zapachem roztopionego wosku świec, nieświeżych ludzkich ubrań i czegoś jeszcze, jakby zleżałego papieru.

Palą się w lichtarzach woskowe świece, mrugają ich płomyki. Najwięcej ich tam, gdzie Żyd w liturgicznych szatach czyta Torę, spisaną na zwoju papieru. Tora w trakcie czytania przewijana jest z jednego drewnianego wałka na drugi. Od palących się świec, ludzkie postacie rzucają na biało wybielone ściany wielkie kosmate cienie. Nagle robi mi się nieswojo, bo przypomniałem sobie, co kiedyś powiedział Chaimek, mój żydowski przyjaciel. Że jak się zagląda do obcej świątyni, to za plecy może złapać coś strasznego. On nie zagląda nigdy ani do cerkwi, ani do kościoła. U mnie jednak ciekawość bierze górę. Gapię się dalej.

Nagle któryś z podglądaczy głośno chlipie smarkami w nosie. Na ten odgłos, Żyd siedzący najbliżej drzwi, odwraca ku nam kudłatą głowę okrytą tałesem. Mnie się wydaje, że jego kosmata broda zjeżyła się w naszym kierunku. Żyd patrzy na nas groźnie i syczy:

-Poszli wont małe goje, wek szejgin, precz łobuzy!

To wystarcza, żebyśmy się rzucili do ucieczki, choć nikt nas nie goni. Podglądanie modlących się w synagodze Żydów, nie zawsze kończyło się w ten sposób. Czasami nikt nie zareagował, a czasami nikt nas nie zauważył. Jednak ze względu na późną porę, zawsze spod synagogi pędziliśmy biegiem do domu.

Dom, to ostoja bezpieczeństwa. W domu tym zaś mama, najlepsza z mam, zawsze znajdująca dla nas, dzieci, czas na uśmiech i pieszczotę.

Dom nasz, osaczony jest ze wszystkich stron krzewami bzu i jaśminu. Nad naszym i wujostwa podwórzem, króluje potężny klon z bocianim gniazdem pomiędzy konarami, a naszego podwórza pilnuje wielka, rozłożysta brzoza.

W niezmąconej ciszy wieczoru, zapadnięty w miękką pachnącą pościel, widzę za otwartym oknem rozmazane w mroku zarysy owocowych drzew sadu.

Z leżącego tuż za ulicą Borową chutoru Żura, niesie się rozlewna poleska pieśń. To śpiewają czystymi, białymi głosami jego córki Żuryszki, jak je nazywają ludzie. Są to siostry bliźniaczki, Zojka i Ołena.

Pieśń płynie stamtąd za pieśnią, a mnie tutaj miło, wygodnie, bezpiecznie... Usypiam.

* * *

Słodkie, beztroskie dzieciństwo. Znowu widzę siebie jako kilkuletniego chłopczyka, który drepcze po miękkiej, wilgotnej trawie bulwaru nad kanałem Ogińskiego. Na ogromnych drzewach delikatnie szumią liście. Przez piramidę ich gęstwiny, z trudem przedzierają się promienie słońca, układając na trawie złociste plamy. Ukryte w zielonej gęstwinie wysoko nade mną, zachłystują się śpiewem wilgi i drozdy. Od wody w kanale niesie się jej przeczysty zapach, upajający jak świeże siano.

Taki był telechański bulwar zwany tutaj biczewnikiem, w ciepły wiosenny dzień. Służył wszystkim, kto chciał napawać się jego niepowtarzalnym, zielonym urokiem. Ba, od lat, kiedy ucichła zawierucha pierwszej wojny światowej, wiosną i latem w pogodne świąteczne dni, biczewnik stawał się dla mieszkańców miasteczka niezbędnym spacerowym miejscem spotkań. Rodzinnych i towarzyskich. Telechańską rewią mody dla większości tutejszych pań. Nieomal czymś obowiązkowym, w wypełnieniu godzin świątecznego dnia. Dla Żydów w szabas, czyli sobotę, dla chrześcijan w niedzielę.

Otóż dzisiaj jest sobota, słoneczna i ciepła. Wczesnym popołudniem, nad brzegiem kanału w cieniu drzew, siedzi kilku chłopaczków z wędkami w rękach. Dzisiaj łowią ryby w nurcie kanału, a nie w swoim stałym miejscu przy śluzie. Przywiodła ich tutaj ciekawość, oglądania spacerujących po bulwarze Żydów. Bystre oczy chłopców pilnie obserwują, co się na nim dzieje. O, bulwarem idzie już grupka żydowskich dziewcząt. Większość w białych, prawie po kostki sukienkach. Niektóre w kolorowych, wzorzystych. Wszystkie w białych pończochach. Prawie każda z dziewcząt ma długie włosy, splecione w warkocze. Te warkocze są kruczoczarne, rzadziej miedziano-rude.

Dziewczęta idą po kilka, głośno szwargoczą, śmieją się. Strzelają oczami do chłopaków, idących z naprzeciwka grupkami. Każdy z nich ma na głowie jakieś nakrycie. Przeważnie zwyczajną czapkę, a jeśli jest to kapelusz, to obowiązkowo czarny. Choć rzadko, trafia się również mycka. Sporo chłopaków ma pejsy. Młodsi chłopcy, gołowąsy jeszcze, są jakby speszeni kokieterią dziewcząt. Uśmiechają się jakoś niepewnie, jakby zawstydzeni. Za to starsi, co to już im puszczają się liche na razie brody, są pewniejsi siebie. Śmieją się hałaśliwie, wzajemnie przekrzykują, chcąc na siebie zwrócić uwagę dziewcząt. Świecą się oczy i jednym i drugim. Oczy mają na ogół duże, brązowe, rzadziej czarne czy zielone. W ciemnej oprawie rzęs i brwi.

Upłynęło niewiele czasu i na bulwarze zaroiło się od spacerujących Żydówek z dziećmi. Prawie wszystkie spośród nich, to kobiety o kształtach obfitych, niektóre wręcz tłuste, rozlane. Odświętnie poubierane, mają na głowach kapelusze z woalkami, ale częściej koronkowe czarne szale. Wiele spośród nich ma głowy wygolone i nosi peruki. Niektórych peruk nie sposób odróżnić od włosów naturalnych, a inne aż rzucają się w oczy swoją sztucznością. Żydówki twarze mają mocno wymalowane, a ta sama jaskrawa szminka, co na ustach, jest również w dziurkach nosa. U każdej jednej z żydowskich elegantek. Zawiewa od nich mocnymi perfumami o przeróżnych zapachach aż do nas, nad sam kanał. Spacerujące kobiety mają na sobie dużo złotych błyskotek, kolczyki, pierścionki, przeróżne wisiorki.

Spacerują gromadkami, ze stertami swoich dzieci. Rozmawiają bardzo głośno, śmieją się, przekrzykują między sobą. Dzieciaki biegają,



Za mostkiem wzdłuż kanału ciągnie się sławetny telechański „biczewnik”

wrzeszczą. Tych dzieci jakoś strasznie dużo.

W tym babskim tłumie, mężczyzn mniej jak na lekarstwo. Trudno jednak nie zauważyć wysokiej i brzuchatej postaci kupca bławatnego, Czerni. Faktycznie, to on nazywa się Czernomorec, ale wszyscy mówią na niego Czernia. Tak jest łatwiej. Kupiec bławatny Czernia rzuca się w oczy już z daleka. Nawet nie tyle ze względu na potężną posturę, co na tradycyjny żydowski ubiór, którego w Telechanach nikt prócz niego nie nosi. Wielka broda kupca spoczywa na aksamitnej kamizelce, na którą nałożony jest czarny surdut. Kuse spodnie kończą się tuż za kolanami, a niżej na butelkowatych łydkach, widać białe pończochy. Od dołu Czernia zakończony jest lśniącymi lakierkami. Głowę kupca przykrywa płaski czarny kapelusz z dużym rondem. Założone na plecy ręce trzymają lekką laskę, ze srebrnym pałąkiem uchwytu.

Kupiec dostojnie kroczy sam, nikt mu nie towarzyszy. Jego żona cała w koronkowej czerni, toczy się parę kroków za nim. Rozmiarami ciała, kupcowa niewiele ustępuje mężowi. Ona również jak inne spacerujące tutaj Żydówki, twarz ma mocno wyszminkowaną, włącznie z dziurkami nosa. Kupcową, która lśni w słońcu złotymi błyskotkami, otacza kilka pulchnych żydowskich elegantek, które zaglądając jej w twarz, bez przerwy coś mówią. Ta zaś robi wrażenie, że ostatecznie zgadza się na ich towarzystwo. Wokół tej grupki, wydaje się aż parować gęsty zapach mieszaniny perfum.

Na policzenie pozostałych mężczyzn, palców u jednej ręki za dużo. Jest jeszcze na spacerze handlarz bydlęcymi skórami, Lewin. Na imię ma Abraham, ale w Telechanach wszyscy nie - Żydzi, mówią do niego Abramek. Abramek jeździ swoją furką po rozległej okolicy i skupuje w ubojniach i od gospodarzy zwierzęce skóry. Potem dostarcza je gdzieś do garbarni. Kiedy handlarz ten jedzie przez miasteczko swoją furką zaprzężoną w niepokaźnego konika, wszyscy wiedzą o tym zawczasu, bo jego pojazd już z daleka okropnie cuchnie tymi skórami. Ale w szabas tutaj na bulwarze, zaszmelcowany w zwykły dzień Abramek Lewin, wygląda jak pan Abraham Lewin. Gładko ogolony, w białej koszuli, czarnym garniturze i kapeluszu, spaceruje z dwoma innymi handlarzami, Aronem Rubinem i Szlomą Rakiem. Oni również dzisiaj nie wyglądają jak zwyczajni, zapracowani telechańscy Żydzi. Też mają wygolone twarze i ubrani są w czarne garnitury.

Aron i Szloma są wspólnikami. Latem, na stacji wąskotorowej kolejki, skupują od Poleszuczek bagienne i leśne dary tej ziemi; czarne jagody, borówki, żurawiny i grzyby. Zakupiony towar elegancko zapakowany w łubianki, jeszcze w tym samym dniu pojedzie do Iwacewicz. Stamtąd, nocny pośpieszny pociąg dostarczy je raniutko do Warszawy, gdzie oczekiwać już będą na towar tamtejsi kupcy.

Ponadto, Aron i Szloma mają wspólne interesy z Landmanem, dzierżawcą Wólkowskiego jeziora. Łowione tam przez Poleszuków ryby, rozprowadzają wśród niezliczonych odbiorców. Zimą zaś, handlują głównie opałowym drewnem.

Trójka tych handlarzy idzie razem. Głośno o czymś rozprawiają, energicznie gestykulując. Wygląda to tak, jakby kłócili się ze sobą. Żony handlarzy z gromadkami swoich dzieci, idą kilka kroków za nimi. One też głośno rozmawiają między sobą, a ich dzieciaki wydzierają się. Chwilami trzej mężczyźni jeszcze bardziej podnoszą głosy. Zatrzymują się wówczas i stojąc ciasnym wianuszkiem twarzą w twarz, prawie wrzeszczą, wymachując rękoma przed nosami. Wtedy ich żony łapią za ubrania najbliższe dzieci ze swojej gromadki i też stają w miejscu.

Taki postój trwa dopóty, dopóki kupcy nie wywrzeszczą się. Kiedy wreszcie przycichną, ponownie ruszają z miejsca. W ślad za nimi zaczynają też dreptać ich żony, popychając przed sobą dzieciaki.

Dziwiły mnie takie zachowania i to, że w szabas spacerują właściwie same kobiety z dziećmi. Zapytałem kiedyś mamę, dlaczego w niedzielę katolicy i prawosławni spacerują po biczewniku całymi rodzinami, a Żydzi w sobotę robią to w taki dziwny sposób. I co w tym czasie robią mężczyźni, że ich nie ma. Musiałem też zgłębić tajemnicę, dlaczego ci czterej Żydzi, jeśli już pojawią się na spacerze, to chodzą z dala od swoich żon i dzieci, które wloką się gdzieś w ich „ogonie". Mama wyjaśniała mi

wówczas, że dawno temu Żydzi przybyli tutaj z kraju, gdzie panują takie właśnie obyczaje. A dla pobożnych Żydów sobota jest dniem tak świętym, że nie wolno niczego robić. Siedzą więc w swoich domach i czytają święte księgi.

- Aha, to ci czterej, co spacerują po bulwarze, nie są pobożni - rozjaśniło mi się rezolutnie w głowie.

- Synu, nie osądzaj tak ludzi. Jeśli spacerują, to ich sprawa. Każdy obyczaj, który nie szkodzi innym, należy uszanować - ucięła temat mama.

A na bulwarze, całe to hałaśliwe towarzystwo, wystrojone i rozsiewające kłębowisko woni przeróżnych perfum, przepływa w jedną i drugą stronę. Na nas, chłopaczków łowiących ryby, nikt nie zwraca uwagi. Przecież goje z wędkami nad kanałem w szabas, to normalny widok.


Współczesna fotografia miejsca, gdzie znajdowało się jeziorko

Słońce już zaczyna kryć się za koronami drzew. Powietrze jest wygrzane słońcem, ale od wody zaczyna już docierać jej świeży, wilgotny powiew. Przedwieczorny wietrzyk wzmaga szum liści na drzewach. Na bulwarze Żydzi ciągle szwargoczą, ich dzieciaki wrzeszczą, a na wysokich drzewach, ptaki próbują zapanować nad ludźmi śpiewem

Bulwar zaczyna przerzedzać się. Spacerowiczów na nim, coraz mniej. Ci, co jeszcze zostali, zaczynają opędzać się od komarów. Komary zaczynają dopiekać i nam. Najwyższy czas do domu. Mama będzie niezadowolona, że wracamy tak późno. Nawet złapane rybki nie pomogą. Znów będzie mówić, że nad kanał więcej nie puści. No to prędko do domu. Tam jeszcze parę godzin marudzenia, potem mycie, kolacja i spać. Jutro niedziela.

W niedzielne przedpołudnie, katolicy i prawosławni idą na nabożeństwo do swoich świątyń. Ci do kościoła, a ci do cerkwi. Prawosławnych jest dużo więcej.

Po mszach w kościele i cerkwi, jedni ludziska od razu idą do domu, a inni przystają, rozglądają się za krewnymi, przyjaciółmi, znajomymi. Chciałoby się ich zobaczyć, pogadać, „pobiesiadować", jak tutaj mówią. Ale kościół i cerkiew stoją w różnych, oddalonych od siebie miejscach. To też od wiosny do jesieni, jeśli tylko pozwala na to pogoda, bulwar nad kanałem Ogińskiego zwany częściej biczewnikiem, jest miejscem rodzinnych i towarzyskich spotkań. Jest także wybiegiem rewii mody dla telechańskich elegantek. Tutaj pokazuje się nowe suknie, kapelusze, pantofelki, torebki, rękawiczki...

W naszej rodzinie, moja mama i siostra Mundzia chodzą na niedzielne msze do cerkwi, a ojciec z moim bratem Stefanem i za mną, do kościoła. Po wyjściu ze świątyń, spotykamy się wszyscy przy uliczce, wiodącej nad kanał Ogińskiego. W niektóre pogodne niedziele, nie idziemy stąd prosto do domu. Godzinkę poświęcamy na spacer, w cieniu starych drzew nad kanałem.

Jakieś pół godziny po zakończeniu nabożeństw w obu świątyniach, na bulwarze jest już ludno. Nieliczni spacerują samotnie, inni parami, a jeszcze inni, całymi rodzinami. Jedne dzieci idą grzecznie obok rodziców, inne swawolnie biegają pomiędzy dorosłymi. Niekiedy któreś mniejsze dziecko przewróci się, rozpłaszczy na trawie. Popłacze trochę. A życie towarzysko rodzinne wśród spacerowiczów wre.

Oto widzę z dala moje wujostwo. Oni bardzo rzadko odwiedzają bulwar. Wuj Stefan idzie z żoną, ciotką Manią. Jest z nimi ich dorosła córka Małgosia, moja kochana Mureczka, drobna delikatna dziewczyna w okularach. Wuj jest wysoki jak tyczka do pnącej fasoli. Chodzi jak żuraw, rytmicznie poruszając głową przy każdym kroku. Do odmiany ciotka jest mała i gruba. Twierdzi, że kiedyś była szczuplutka, a

jej obecna tusza, to z powodu chorej wątroby. Kiedy wuj to słyszy, parska śmiechem i mówi ciotce, żeby dała spokój z tą wątrobą. Nic wątrobie nie jest, skoro wytrzymuje takie obżarstwo. Na to ciotka dąsa się i mruczy coś o braku wychowania, a wuj macha ręką i na wszelki wypadek znika w drugim pokoju.

Teraz, ciotka uwieszona na przedramieniu wuja, przelewa się ku przodowi na swoich krótkich nogach. Nie lubię ciotki, ona mnie też. Mówi, że przy takim charakterku, ze mnie może wyrosnąć tylko bolszewik. Ciekawe jak nazwać to, co wyrosło z ciotki.

Ale oto już nasze rodziny zrównały się ze sobą, teraz idziemy razem. Toczy się rozmowa, która mnie nie interesuje. Idę grzecznie i gapię się na ludzi.

O, właśnie nadchodzi aptekarz pan Bochiński z żoną. On jest niewielki i chudziutki, a jego staromodny garnitur krojem zupełnie nie przypomina garniturów mojego ojca, czy wuja. Także koszulę aptekarz ma ze staromodnym,



Zwodzony most na kanale Ogińskiego

wysokim nakrochmalonym kołnierzykiem. W krawacie wyglądającym jak apaszka, tkwi ozdobna szpilka. Kapelusz trzyma w ręku, a jego głowa jest golutka jak jajko. Na niej wyrasta z ciemienia lśniący, czerwonawy twór wielkości dużej śliwki. Wiedziony niespożytą ciekawością, dawno już wydobyłem od rodziców wiadomość, że ten guz na głowie aptekarza, to jakaś poważna choroba, która nie daje się wyleczyć.

Aptekarzowi towarzyszy obfite kobiecisko. To pani Bochińska. Twarz ma wymalowaną od kapelusza, aż po kaskadę podbródków. Pod nimi piętrzy się kilka pagórków ciała, przykrytych kwiecistą suknią. Ten masyw buja się w górę i w dół przy każdym kroku. Aptekarzowa ma modny kapelusz z woalką i koronkowe rękawiczki. Zalatuje od niej mocnymi perfumami.

Teraz następują nowe ukłony, uśmiechy, wymiana uprzejmych zdanek. To Polczyńscy. On wysoki, ona maleńka jak dziewczynka. Pod rękę, idzie z nią nastoletnia córka Ninka. Wszyscy Ninkę nazywają Pestka. Są też obaj synowie Polczyńskich. Starszy, to Miecio, paraduje w gimnazjalnym mundurku i takiejż czapce. Miecio uczęszcza do gimnazjum w Iwacewiczch. Na niedzielę przyjechał do domu. Młodszy chłopiec też starszy ode mnie, to Wienia. Kiedyś go zapytałem, co to za imię, dowiedziałem się, że jestem głupi. Ale potem spytałem o to moją mamę i wyjaśniła mi, że Wieńczysław.

Przemknął samotnie pomiędzy spacerującymi stary kawaler Kruczenko. Na imię ma Rościsław, i ludzie nazywają go z rosyjska Rostia. Jak w ukłonie Rostia uchyla czapkę, widać na głowie lichy kosmyczek włosów, zalizanych przy pomocy brylantyny. Ma na sobie sportowy ubiór. Kraciastą marynarkę, spodnie pumpy i pstre skarpety.

Teraz następuje wymiana ukłonów z burmistrzem, panem Kowalewskim i jego żoną. Faktycznie, to on jest naczelnikiem w Telechanach, ale wszyscy zwracają się do niego „panie burmistrzu". Pan Kowalewski jest kolegą mojego taty jeszcze z czasów kawalerskich. Kiedy po latach urodził się mój brat Stefan, to pan Kowalewski został jego chrzestnym ojcem. Toteż brat i ja z siostrą, mówimy do niego wujku, a

do jego żony cIociu. Z Kowalewskimi idą ich dzieci, dwie dziewczynki.

Burmistrz bez przerwy uchyla kapelusza i uprzejmie uśmiechając się, głową przesyła znajomym ukłony na lewo i prawo. Wtóruje mu w tym małżonka.

Na bulwarze pojawia się następna osoba, którą znają całe Telechany. To doktor Wojdyło ze swoją żoną i dziećmi. Doktor jest mężczyzną o sylwetce sportowca, nosi zgrabny wąsik, a gęste włosy ma ostrzyżone na jeżyka. On nie musi bez przerwy sięgać do kapelusza, jak pan burmistrz, bo chodzi bez nakrycia głowy. Właściwie, to doktora na codzień nie widać jak chodzi, bo on jeździ motocyklem. Doktor ma pod lekarską opieką jeszcze inne miejscowości oprócz Telechan. Na motocyklu jeździ do Świętej Woli, Wygonoszczy i Bozia wie, gdzie jeszcze.

Teraz cyklistówkę zdejmuje w ukłonie inny medyk, felczer pan Dramowicz. Uśmiecha się grzecznie, kiwa łysą głową. Jak założył czapkę, to spod niej widać z tyłu jeszcze kawałek łysiny.

Noo! Nareszcie coś fajnego! Idzie ciocia Katarzyna, chrzestna mojego brata Stefana. Bardzo ją lubię. Bywa u nas często, bo to serdeczna przyjaciółka mojej mamy. One przyjaźniły się jeszcze wówczas, kiedy były pannami.

Ciocia Katarzyna idzie w towarzystwie swojego męża i dzieci, Nadzi i Mikołaja, Koli. Nadzia jest już dużą dziewczynką, starszą od mojej siostry Mundzi. Teraz następuje powitanie, wymiana uśmiechów, ucałowania damskich rączek. Ja, mój brat i Kola stoimy z boku, gapimy się na ludzi i jest nam nudno. Wreszcie nasz tłumek rusza do przodu.

Nadal jest nam nudno iść tak bezczynnie z dorosłymi, kiedy wydaje się, że o tobie zupełnie zapomnieli. Gadają i gadają, licho wie, o czym. A nad wodą widzę Jakubaszków, Tadzia i Muńdzika. Jest okazja ucieczki od dorosłych.

- Mamusiu, pobiegamy trochę! Tam są chłopaki…

- Zgoda, tylko grzecznie. I uważajcie na siebie!

A kto by tam uważał. Tyle, że w tych nowych bucikach biega się strasznie źle. Ale zdjąć ich, mama przecież mi nie pozwoli.

-Dzieci, zawracamy - woła ciocia Katarzyna. Racja, koniec bulwaru. Tam dalej, to już wysoka niekoszona trawa, piękne stare olchy i gąszcz łozy. Z gałązek łozy robi się wiosną gwizdki i fujarki. Ja nie mam w rękach jeszcze tyle siły, aby wykręcić z gałęzi wierzby fujarkę. To robią starsi chłopcy, jak Wienia Polczyński, kulawy Gienio Gilis i inni, którzy cichcem palą już papierosy. My młodsi, zadawalamy się robieniem gwizdków z łozy, albo trąbek z młodej lipowej kory.

Kiedy idziemy nad kanał, aby robić te gwizdawki i już nam zbrzydnie to zajęcie, to kąpiemy się na golasa w kanale i opalamy, leżąc na ciepłym, złocistym piasku. Innym razem, idziemy jakiś kilometr za nasyp kolejowego toru, który nad kanałem łączy wysoki, drewniany most. Chodzimy tam od tego czasu, jak Robert podpatrzył, że robią to duże chłopaki. Idziemy gęstwiną łozy nasłuchując, czy nie dolecą do nas dziewczęce głosy i śmiechy. Oznacza to, że jeszcze kawałek za tartakiem, w kanale kąpią się młode Żydówki.

Dawno temu była tutaj przystań i kanał ma brzegi poszerzone w sztuczne jeziorko ze złocistym piaskiem na dnie. Zaczajeni w gęstwinie łozy, wstrzymując oddech, gapimy się na kąpiące się Żydóweczki. Dziewczęta pluskają się w wodzie w długich, oblepiających ciała koszulach. Jak któraś dziewczyna wyjdzie na brzeg aby zdjąć i wyżąć z wody mokrą koszulę, to uważnie obmacujemy ją wzrokiem po miejscach, normalnie niewidocznych. Po takiej edukacji, dzielimy się wrażeniami.

Kiedyś Robert podsłuchał jednego dużego chłopaka, jak opowiadał innemu dużemu chłopakowi, że on chodzi podglądać kąpiące się Żydówki, bo wtedy można sobie fajnie ulżyć. Ciekawe, co też miał na myśli?

No tak, ale dzisiaj, to nigdzie nie pójdziemy. Jesteśmy z rodzicami na niedzielnym spacerze. Może uda się przyjść tutaj po południu samemu. Teraz poszłoby się już do domu. Niewygodne są nowe buciki i chce się jeść. W domu czeka prawie gotowy już obiad, bo mama sporo przygotowała jeszcze przed pójściem na nabożeństwo. Zjemy go po powrocie do domu.

Bogdan Mielnik

WIECZÓR NA POLESIU

Są momenty tak piękne, że zapadają w duszę na zawsze jako moralne dobro człowieka. Do takich chwil należy pora sianokosu na Polesiu. A właściwie nie samego sianokosu, lecz wieczornego powrotu z kośby. Trzeba tylko, żeby Bóg dał cichy i pogodny wieczór. Wtedy to dobrze jest wyjść na drogę, na piaszczysty gościniec. Wieś leży niedaleko, a więc do niej wracają kosiarze.

Po obu stronach gościńca ciągną się łany zboża. Gościniec na Polesiu zawsze leży na wysokim i suchym miejscu, pola więc widać dokładnie, bo odchylają się one od drogi, niejako odbiegają od niej. A to jest ważne o tej porze, bo żyto kwitnie właśnie w czasie sianokosów. Jest ono wtedy wyrośnięte i dorodne i już wykłosiło się. Lekki, ale upajający zapach kwitnącego zboża przenika do głębi. Jest w tym rozkwicie żyta nadzieja i radość dojrzewania, ale i obawa przed zniszczeniem. To jakby w tym zawarte jest całe nasze życie, jego szczęście, troski i jego piękno. Przecie łany zbożowe rozkraszają się czerwienią maków, błękitem chabrów i fioletem kąkoli i jeszcze nic nie wskazuje, że żyto dojrzewa, pochyli głowy pełnych kłosów, pożółknie i dojdzie gotowe do żniw i zbioru. Dziś nic na to nie wskazuje, jest ono w rozkwicie swego piękna.

Każdy o nim myśli, każdy się cieszy, ale i każdy z niepokojem gryzie się, czy złe moce i wichura nie nawiodą nawałnicy lub, co nie daj Boże, gradu. Właśnie teraz, w okresie kwitnienia, żyto jest najmniej odporne na klęski żywiołowe, a mogą one przynieść nieszczęście położenia łanów, a nawet i głód. Czy dużo ludzi zdaje sobie sprawę z tego, czym jest własny chleb dla rolnika? A czasem tego chleba brakuje już od zimy i matka wydziela dzieciom kromeczki jakby świętość jakąś. Dlatego też nawet w tak spokojny i cichy letni wieczór patrzymy z obawą, czy zza horyzontu nie wypełzną czarne lub płowe chmury, zwiastujące grozę i zniszczenie.

Ale dziś pogodnie zachodzi słonce, chyli się do horyzontu, żegna i błogosławi świat swym blaskiem, złotem i dobrą nadzieją. Właśnie promienie jego muskają rozkwiecone kłosy i prześwietlają je fioletoworóżowym kolorem, gdy głąb łanu tuli się już wieczornym mrokiem ciemnej zieleni. Nie wiem, czy może być dla rolnika coś bliższego od patrzenia na swe żyto przy zachodzącym słońcu, po ukończonym dniu pracy.

1 właśnie o tej porze schodzą z łąk kosiarze. Zwykle ubrani są tylko w białe koszule, to z powodu gorąca nie brali ze sobą kurtek i świtek. Teraz ta biel odcina się od otoczenia łanów zbożowych i złotej poświaty wieczoru. Na ramionach niosą kosy. Wysoko nad głowami, jakby symbol swej pracy, ale i znaczenia. W promieniach wyświecone ostrza nabierają życia i blasku. Tryumfują glorią światła. Przykuwają do siebie oczy. Ludzie idą w swej bieli, jakby pod baldachimem złożonym z barw tęczy. Kołyszą się kosy w rytmicznym ruchu kosiarzy. Jest w tym powaga, jakby świadomość mocy i pewności. Wiadomo, kosiarze! Przecie u nas młodego chłopca określa się: „zdatny do kosy". To jest najwyższy wyraz uznania i pochwały. Boć przecie stanąć w rzędzie wytrawnych kosiarzy i nie wyłamać się, nie zostawiać niedokosów, dotrzymać tempa, nie odpaść – to wszystko już określa prawdziwego i odpowiedzialnego człowieka. Teraz suną kosiarze rzędem, równo, jednym krokiem, może nawet tak jak stali na pokosie. Jest dziwna powaga w tym marszu na odpoczynek po znojnym dniu pracy. W tym marszu odczuwa się nie tylko powagę, ale i poczucie pewności, szacunku dla siebie i niewypowiedzianego uznania.

Idą w osobnych grupach tanecznym rytmem dziewczęta. One przewracały i przesuszały ranne pokosy. Towarzyszy im gwar i radosna, beztroska młodość. Boć przecie i śpiewka zadźwięczy i rozperli się zdrowy śmiech, i echo rozniesie nawoływania i przekrzykiwania, ot tak sobie, z radości dobrego dnia. 1 barwne są one tak bardzo, jak i ich gwar. Bo kolorowe spódnice i białe wyszywane koszule również podkreślają uśmiech i radość. Nic dziwnego, dobrą one dziś pracę wykonały, i to nie ciężką, choć tak potrzebną. A praca przy sianie zawsze jest wesoła. Czy to zapach świeżego pokosu i woń więdniejących ziół tak podnieca? Może. Nie wiem. Wiem tylko, że ta praca zawsze jest gwarna i radosna. Może to wartość suchego siana jest tym czynnikiem? Bo siano zebrane „bez deszczu" jest na Polesiu naszą dumą i bogactwem.

Jest to zrozumiałe, ziemi uprawnej mało, zbiory z pola dobrze jak wyżywią rodzinę, resztę musi dostarczyć hodowla, a więc siano, dużo jego i to pożywnego, zebranego „bez deszczu". Stąd wynika pewność dobrze wykonanej pracy i uśmiech przesłany im przez kosiarzy na pokosie. To wszystko powoduje wesołość i roztrzepotanie dziewcząt. Teraz niby to idą i wracają do domu, ale z doganianiem, przeganianiem, nawoływaniem. Stąd i narzędzia ich pracy, grabie, nie płyną równo jak kosy,

ale latają, chwieją się i krążą. Dziewczęta nawet na chwilę nie idą w spokoju, jest to zupełnie coś innego, niż powrót kosiarzy.

Grupa grabiarek przeszła, zabrała ze sobą radość i młodość, pociągnęła za sobą i myśl i nawet tęsknotę

Słońce już nisko zapadło, już promieniami nie złoci kłosów żyta. Ludzie z łąk przeszli. Zbliża się noc.

Ale teraz ode wsi narasta nowy gwar – wypędzanych na nocne pastwisko koni. To gwar okrzyków i nawoływań chłopców. Spędzone w tabun konie czekają znaku do pędu, galopu i odpoczynku na świeżej trawie. Chłopcy jeszcze nawołują swoje psy, każdy swego, chcą je mieć za towarzyszy na pastwisku. Zawsze to raźniej z psem, bo „nie daj Boże i wilk się może trafić, albo jakie złe". Ale kundle nie są głupie, mają swoje doświadczenie. Po co im marznąć i moknąć w zimnej rosie na łące, bez podściółki, gdy lepiej zaszyć się gdzieś w domu w świeże siano i drzemać w cieple do rana. Mają rację, bo widzą, że chłopcy mimo lata mają na koszulach kożuchy i baranie czapki na głowach. One wiedzą, tak jak i pastuchy, co to jest ziąb idący z bagniska. Przecie podściółki nie ma żadnej, ani dachu nad głową, a nawet i ognia. Chłopcy mają wprawdzie ze sobą „saganczyki", w których na ogniu będą gotować kartofle (o ile je zdobędą) i będą je jedli wraz z pieczoną w popiele rybą (o ile ją złowią w rowie), ale to wszystko niepewne. Wszystko to mądre kundle spenetrowały i kryją się po różnych zakamarkach i czekają, by tylko tabun koni odszedł ze wsi. Chłopcy nic nie poradzą, na sznurku psa przy koniu nie poprowadzą, a więc tylko posyłają niewiernym towarzyszom przekleństwo: „Szczob tebe wołk zarizau"! To im się zostawia na spokojną drzemkę w cieple.

Wreszcie wysoki tuman lotnego piasku na gościńcu wskazał, że tabun ruszył. Jeszcze go nie widać, ale słychać pokrzykiwanie i pohukiwanie chłopców. Siedzą oni na swoich koniach, popędzają inne, idące luzem. Oczywiście, na gościńcu tabun idzie wolno, ostrożne pastuchy nie ryzykują galopu, bo ktoś może dojrzeć i donieść do domu, ale dochodzą do tak zwanej „smugi" lub „wyżaru". To już daleko od wzroku ojców, a łany zbóż po obydwu stronach tej drogi – przepędu gwarantują bezpieczeństwo. Na wyżarzę lepiej nie stawać na drodze pędzącego tabunu. Chłopcy mają ze sobą długie baty o krótkich trzonkach (marzenie każdego młodego jeźdźca). Jak utrzymać spokojnie ten bat w ręku, gdy konie pędzą, galopują? Zresztą koni nawet i popędzać nie trzeba, gdy idą na pastwisko. Same idą. Dopiero rano niechętnie schodzą z łąki do roboty. A więc ranny powrót jest powolny, bo każdy ojciec sprawdzi, czy koń nie jest zgrzany i spocony.

Oczywiście, pierwszą czynnością pastuchów po przybyciu na miejsce jest ugotowanie kolacji. A więc zebranie drzewa, przyniesienie wody, no i zdobycie kartofli. W tym celu istnieje między chłopcami odwieczna organizacja. Zależy ona od pojemności garnka. Wystarcza on na trzech, a wyjątkowo na czterech chłopców (zależy to od złowionej ryby). Najdoświadczeńszy chłopak pilnuje koni i jego rola w zespole nie podlega zamianie, jest on jakby wodzem zespołu. Drugi przygotowuje drzewo i wodę, trzeci łowi „sączkiem" karasie, a czwarty „ryzykant" wyprawia sie po kartofle. Zwykle poletka ich leżą niedaleko od pastwiska, a trudność tylko na tym polega, że właściciele pilnują swoich kartofli, bo sami przecie pamiętają, jak kiedyś wyprawiali się na nie. Chłopak wie, że właściciel do sądu nie pociągnie, ale na pewno pasek od spodni ściągnie. A więc jest to zawsze wyprawa ryzykowna. Pozostali członkowie zespołu ryzyka nie ponoszą, więc


Zwózka siana łódką przez rzekę



Po sianokosach obrzeża bagien roiły się od nizliczonych stogów siana

rola „kartoflarza" jest wymienna. Zmieniają się, by krzywdy nie było.

Podbieranie kartofli odbywa się mądrze. Nigdy nie wyrywa się karczów kartoflanych, tylko podkopuje się i wybiera większe kartofle. Nigdy tego nie robi się na skraju pola, ale w jego głębi, by nie było poznaki. A sprawa jest ważna, matka rzadko da chłopcu na noc kawałek chleba, najczęściej o tej porze nie ma w domu, a jeżeli i jest, to nie na „marnowanie" go na pastwisku. Dobrze, jak chłopak dostanie trochę kaszy jaglanej zawiniętej w szmatkę. No, ogórek i rzodkiew sam sobie ściągnie z ogrodu, ale jak bez gorących kartofli, które w tej nocnej uczcie odgrywają główną rolę?

Wygasły pastusze ogniska, suche gałązki olszyny i łozy szybko się dopaliły, nawet węgli nie ma, tylko szary popiół. Noc otula ziemię odpoczynkiem. Gwiazdy dobrze się rozświetliły, a od wschodu pociągnął wilgotny powiew od zasnutych oparem łąk. Człowiek wsłuchuje się w ciszę nocną, szeroko i lekko wchłania zapach parującej ziemi. Jeszcze czeka na coś, co musi nastąpić, nim ciemnica zapadnie. I wtedy ciszę wstrząśnie zryw hejnału wieczornego żurawi. Zapadły one gdzieś na błotnistym ostrowiu i teraz jeszcze żegnają odchodzący dzień, by go również pierwsze powitać przed brzaskiem.

Wszystko zasypia i człowiek, i zwierzę, i ptak, i zdaje się, że już nic nie zakłóci nocnej ciszy. Ale raptem z oddali po rosie nadleci buczenie bąka, raz po raz, z przestankami, jakby wyczekując na coś. To ten dziwny i tajemniczy ptak nocny. Nikt go w dzień nie słyszy i nikt go nie widzi. Nie opuszcza gąszczów niedostępnych topieli. Kryje się w oczeretach i szuwarach. Noc go budzi, by straszył ludzi. Bo boją się go z nim swe legendy i wierzenia utajone w groźnych moczarach.

Ot i teraz chłopcy pastuchy ułożyli się na granicy uprawnych pól, byle wyżej, na suchym, byle dalej od bagna. Przylgnęli do siebie ciasno, przykryli się kożuchami niby dla ciepła. Wiemy jednak, że tulą się do siebie dla bezpieczeństwa przed tym złem, co może nadejść z głębi bagnisk. Będą drzemać ciągle nasłuchując czegoś, czego określić nie umieją, a czego się boją. I płynie z bagnisk wraz z zimną mgłą ta groźba, która od wieków żyje w wierzeniach tych ludzi puszczańskich krain.

Franciszek Wysłouch

Foto: z archiwum ***B. Mielnika***

Przedruk z:

Antologia polskiej literatury kresowej XX wieku, Szczecin 1995, s. 96-99.